Jęczmyk, Żerdziński, Lewandowski, *Dr. Strangelove* nr 7

inne Planety

nr 9 lato 2001 polska fantastyka: literatura + muzyka + filozofia

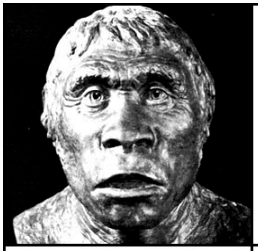

Ziemia planeta ludzi

Kłaniam się Szanownym Czytelnikom!

W udziale przypada mi zaszczyt poinformowania Was, że niniejszy numer Innych Planet, poświęcony jest Planecie Ziemi. Tradycja poprzednich numerów IP nakazuje opisać Wam, na sposób erudycyjny, znaczenie i symbolikę tej planety. Otóż znaczenie to i symbolika jest, prawda, bardzo bogate. Ziemia symbolizuje witalność, potęgę życia, jest miejscem pochodzenia różnych gatunków kosmitów, należy żyć z nią w zgodzie i jedności, wsłuchanie się w jej głos pozwala odczuć pulsujące tętno wszechświata i korzystać z kosmicznej energii oraz podobne takie tam...

Nikt jednak nie zaprzeczy, że jest ona ludzkim domem i w związku z tym hasło niniejszego numeru, zaczerpnięte z prozy Francuza, którego nazwiska nie podejmuję się napisać – „Ziemia – planeta ludzi".

I jak to się zwykle czyni, nagle okazuje się, że większość tekstów napisano pod ten właśnie temat.

Lech Jęczmyk, to właśnie z nim przeprowadziwszy wywiad, skierowaliśmy swe myśli ku Ziemi, wszak człowiek ten to fascynujący futurolog tej planety, mało jednak znany w przeciwieństwie do rozreklamowanego Stanisława Lema (znowu się dostaje naszemu Mistrzowi u nas). Zapraszam do tego wywiadu, pan Jęczmyk zaskakująco odpowiada na nasze prowokacje.

Bardzo oryginalnie i przerażająco (królowanie fantasy[!]) wizję futurologiczną kreśli Maciej Guzek w tekście *Sfantasy*.

Pisana jakby pod temat jest również iście profesjonalna praca *Człowieczeństwo u Robotów* Wojciecha Góreckiego. Także ranking na koniec tysiąclecia koresponduje z tematyką i możemy sobie przejrzeć panteon bohaterów literackich (mało kompletny, nie ma choćby Ais).

Otwierające zbiór opowiadanie *Bothers in Arms*, to powątpiewanie w zasady ludzi oraz pytanie, jakimi te zasady powinny być.

No i także Jacek Sobota. Nie będę ukrywał, że dbamy, aby felieton Jacka Soboty był zawsze zgodny z tematyką numeru. Wprawdzie Jacek Sobota w swoim felietonie przyznaje się, że nie rozumie cyklu wydawniczego *Innych Planet*, ale zapewniam, że wszystko zaczyna się od jego felietonu, czekamy na felieton, czytamy uważnie, a później staramy się dopasować resztę numeru.

Dr. Strangelove nr7, znalazł się we wnętrznościach IP, tak nagle, że nie potrafię wytłumaczyć tego zjawiska. Bardzo się cieszę na tak bliskie kontakty z fanzinem, którego humor, niski i rubaszny, stoi w przeciwwadze do wysokiego i wyszukanego humoru IP (czy jakoś tak). Niczym Wałęsa *Kultury,* tak ja zawsze byłem fanem *DS.* Nie mogę tylko jednego pojąć. Po co ta kropka po Dr? Czasami studenci w indeksie piszą dr. (z kropką), żeby zaznaczyć, że wpisujący się, jest draniem, a nie doktorem. Czy Strangelove jest draniem?

rys. Rafał Karpiński

Pierwszy raz w IP ukazał się komiks. Jest on autorstwa Macieja Żerdzińskiego i to dzięki jego uprzejmości możemy dysponować tą grafiką. Bardzo się cieszę i od razu zapowiadam garść jego grafik w następnym numerze. Większość fanzinów przedrukowuje jakieś wstrętne komiksy. W końcu i my możemy dołączyć do tej tradycji, niestety *Awaria* nie jest komiksem wstrętnym, lecz wyśmienitym, choć w wyniku pomniejszenia do rozmiarów IP mogła stracić na jakości.

Każdy student ekonomi wie, że wydatki publiczne państwa podlegają pewnemu prawu (nie pamiętam czyjemu, nie jestem każdy student), które mówi, że wydatki te zawsze rosną. Nie każdy wie natomiast, że prawu temu podlega objętość Innych Planet. **IP liczą sobie 104 strony!!!** Jeżeli czytacie ten numer to tylko dzięki heroicznemu wysiłkowi pracowników zakładów graficznych A.E. którzy tę górę papieru usiłują spiąć.

spis rzeczy

proza de facto

Michał Kubik
Brothers in Arms 4
Iwona Michałowska
Pożreacz 13
Wojciech Szyda
Dom na krawędzi światów 35

publicysyka sensu stricto

Wojciech Hamerski
Czym jest fantastyka? 23
Wojciech Górecki
Człowieczeństwo u robotów 36
Iwona Michałowska
Douglas Adams opuścił wszechświat 49
Konrad T. Lewandowski
Powrót do getta 52
Maciej Guzek
SFantasy 66
Pod Czerwoną Planetą 34
Ranking na koniec tysiąclecia 76

krytyka pro forma

Wizje Alternatywne 3
Niebezpieczne wizje 46
Marka Oramusa **Rozmyślania nad tlenem**
Listy do przyjaciela 48
Pawła Dunin Wąsowicza **Oko smoka**
Tkanka fantastyki 50

wywiady dura lex

z Lechem Jęczmykiem
Herezja sprzed 70 lat stała się banałem 16
z prof Antonim Smuszkiewiczem
Encyklopedia 59

nota bene komiks

Maciej Żerdziński
Awaria 71

poezja ex ante

Michał Kubik
Drzwi 45

Rys. Paweł Piechnik (redakcja IP próbuje dotrzeć do czytelnika)

polemiki sub sole

Jacek Sobota
Papu Ziemkiewicza 61
Wojciech Szyda
Pieprzony los zabójcy smoków 62

felietony ceteris paribus

Wyznania Idioty, Sobota 10
Prowokacje Kontrolowane, Szyda 20
Stereo i w kolorze, Michałowska 29
Kresy Literatury, Szyda, Głuch 31
Nauka o fikcji, Ostrowski 54

Michał Kubik

Brothers in arms

ilustrował Piotr Woś

Dr Amundsen, lekarz pokładowy „Achillesa", porucznik Floty:

Przebudzenia nigdy nie są przyjemne. Człowiek otwiera nagle oczy, cały ociekający śluzem płynu hibernacyjnego. A ja mam najgorzej. Muszę sama się doprowadzić do porządku, obudzić Starego, dopiero potem przystąpimy do budzenia oficerów...

Georg Naajders, piąty nawigator „Achillesa", porucznik Floty:

Gdy tylko obudziłem się ze sztucznego, długiego snu, zwymiotowałem. Nic nie widziałem, zresztą po długotrwałej hibernacji to normalne; ocknąłem się na podłodze, musiałem chyba wypaść, po omacku, powstrzymując torsje, doczołgałem się do mojej kapsuły i zacząłem wymiotować do środka, nie chciałem zarzygać podłogi. Teoretycznie nie powinienem tego robić, mój żołądek był pusty, a mimo to klęczałem, dławiąc się śliną i żółcią. Całą skórę miałem jeszcze śliską od płynu hibernacyjnego, kleiły mi się włosy, gardło, w którym podczas mojego snu tkwiła rurka, pulsowało tępym bólem. W końcu zaczął wracać mi wzrok, a do moich uszu dotarły pierwsze dźwięki. Poprzez mgłę widziałem Eryka leżącego na podłodze, skulonego w pozycji embrionalnej, w kałuży śliny, pewnie wypadł ze swojej kapsuły i jeszcze nie odzyskał przytomności.

Przez myśl przemknęło mi, że skoro leży to mamy ciążenie, a więc idziemy na silniku.

Ktoś mnie podniósł, podtrzymał w pozycji pionowej, ktoś inny odciągnął mi powieki, oślepiło mnie ostre światło, chyba świecili mi w oczy latarką.

-W porządku, zaraz dojdzie do siebie - usłyszałem jakiś kobiecy głos, to doktor Amundsen, wytężyłem wzrok i w jasnej plamie przed moimi oczami rozpoznałem jej twarz. Coś mnie ukłuło w ramię, dostałem pewnie jakiś zastrzyk na obudzenie.

-Hej poruczniku, zbudź się - ktoś klepał mnie po policzku, usłyszałem głos Starego, naszego dowódcy. Próbowałem coś wybełkotać, ale głos odmówił mi posłuszeństwa. Stary delikatnie posadził mnie na podłodze, z Ingą zabrali się za cucenie Eryka.

W końcu znalazłem w sobie tyle siły, żeby po omacku, bo wolałem jeszcze nie ufać do końca swojemu wzrokowi, dowlec się pod prysznic. Puściłem letnią wodę i usiadłem na posadzce.

Powoli zaczynałem czuć się lepiej, szum spływającej wody słyszałem już wyraźnie, widziałem kropelki przylegające do imitacji kafelków na ścianach. Moja reakcja była całkowicie normalna, każdy po przebudzeniu zachowuje się podobnie, przez dłuższy czas człowiek leży nieprzytomny, do tego dochodzą wymioty, zaburzony wzrok i słuch. A także gorączka, omamy i halucynacje, i wiele innych dolegliwości o których pewnie nie mam pojęcia, a które kumulują się w moim organizmie i kiedyś dadzą o sobie znać. Tak przynajmniej powiedziałaby Amundsen. Nie wszystko jeszcze wiedziano o wpływie hibernacji na organizm ludzki. Współczułem Indze, jako nasz lekarz musiała obudzić się wcześniej i sama dać sobie radę, żeby móc asystować przy przebudzeniu wszystkich oficerów „Achillesa".

Odświeżony, dalej mokry, ale tym razem jednak czysty, wyszedłem spod prysznica i ciągle się zataczając, zostawiając mokre ślady, wróciłem na salę hibernacyjną. Panowało tam okropne zamieszanie. Eryk dostał jakiegoś

ataku i rzucał się po podłodze, Amundsen próbowała mu pomóc. Podporucznik Whiter co chwilę próbował wstać podpierając się o ścianę i za każdym razem się przewracał.

Porucznik Johansen siedziała naga na podłodze, przytomna ale jeszcze ciągle nic nie widząc i nie słysząc, kręciła tylko głową jakby rozglądała się na wszystkie strony. Właściwie to wszyscy byliśmy nadzy, z wyjątkiem Ingi i dowódcy. Kilka innych osób, mężczyzn i kobiet, mniej lub bardziej przytomnych, wstawało, czołgało się lub wymiotowało. Spojrzałem ciekawie na Johansen, nie mogłem sobie przypomnieć jak ma na imię, była nowa, nikt jeszcze nie wiedział jak sprawdzi się w akcji. Nowa, to paradoksalne, przecież spędziliśmy tutaj razem ponad dziesięć lat, mknąc przez Kosmos z ogromną prędkością.

-Wszystko w porządku? - podszedł do mnie Stary - Nie wyglądasz jeszcze najlepiej, idź do sali zebrań, wszyscy tam się spotkamy.

Nie czułem się jeszcze na siłach, żeby coś powiedzieć więc kiwnąłem tylko głową. Z szafki przy mojej kapsule wyciągnąłem ubranie i udałem się do sali, nakładając je po drodze.

Johansen, jak ona ma na imię? Zastanawiałem się cały czas idąc wąskim i zagraconym korytarzem. Jakieś takie skandynawskie. A tak, Ingrid. Amundsen też jest Skandynawką. Z Ziemi, większość z nas Ziemię widziała ostatni raz kilkadziesiąt lat temu, życie spędzaliśmy śpiąc w komorach hibernacyjnych, mknąc przez nieskończone przestrzenie Wszechświata, z krótkimi przerwami podczas których walczyliśmy, robiliśmy to co było naszym obowiązkiem. Brzmi to chyba trochę patetycznie.

Staczaliśmy bitwy w ogóle nie widząc naszych przeciwników. Zresztą bitwy to chyba zupełnie nieadekwatna nazwa. Dawno temu, gdy piloci walczyli w samolotach, nie widzieli twarzy swoich wrogów. My nawet nie widzieliśmy ich statków. Wszystko było takie dziwne. Wykrywamy obcy statek, miliony kilometrów od nas, kupę żelaza sunącą przez Kosmos tak samo jak my, komputery długo coś obliczają, przyśpieszamy do jakichś dziesięciu g, odpalamy rakiety, zwalniamy. I czekamy kilka miesięcy aż pociski, ciągle przyśpieszając, w każdej sekundzie zwiększając o kilka kilometrów swoją prędkość, doganiają przeciwnika, uderzają w niego, rozrywają kadłub. To w niczym nie przypomina, dawnych wyobrażeń o wojnie w Kosmosie. Prawa fizyki są nieubłagane. Nie da się lecieć szybciej od światła. Nie ma bohaterskich pilotów mknących swoimi kosmicznymi myśliwcami, promienie laserów z głośnym świstem nie przecinają próżni. Jest tylko przyspieszanie, tygodnie w zwiększonej grawitacji, gdy człowiek nie jest w stanie iść, jeść, siedzieć normalnie, gdy każdy wdech i wydech jest bolesny. I czekanie miesiącami, aż pocisk osiągnie cel.

Ingrid. Z Ziemi. Pewnie jeszcze niedawno widziała morze. I fiordy. Dziwne, gdzieś tam istnieją fiordy. Gdzieś tam jest Ziemia, jest wiele takich zielono-błękitno-białych planet. Czasami trudno w to uwierzyć, spędzając cały czas tutaj, na pokładzie, w tej żelaznej klatce, będąc odgrodzonym kilkoma centymetrami zewnętrznej powłoki od kosmicznej próżni. Tak łatwo o tym zapomnieć, o normalnych światach na których ludzie wiodą zwykłe spokojne życie, pracują odpoczywają oglądają zachody swoich Słońc.

Nagle nerwowo zaczynam chichotać. Ingrid niedawno widziała Ziemię! Dobre sobie! Policzmy - z dziewięć lat z Ziemi, do głównej bazy, kolejne dziesięć do stacji z której ją zabraliśmy. A teraz jeszcze dziesięć. I cały czas w uśpieniu, śniąc swoje mechaniczne sny. Ciekawe czy śniła się jej rodzinna planeta? Biedna Ingrid, biedna, nieświadoma Ingrid. Nie była świadoma startu wahadłowca, tego jak gonił statek wykorzystujący grawitacyjną pętlę, śpieszący już ku gwiazdom, ludzie od zawsze chcieli mknąć między gwiazdami, a ona nie zwracała na to uwagi, śniąc o Ziemi. Zresztą

my wszyscy lecąc nie wiemy co się dzieje dookoła. Zaraz, dlaczego jest tak zimno?

Prawie nie zauważyłem jak dotarłem do sali zebrań. Teraz gdy początkowe oszołomienie minęło, czuję, że grawitacja jest o wiele mniejsza od standardowej, więc mamy mniejszy ciąg, czyli jesteśmy już blisko Europy.

rys. Piotr Woś

Europa, piękna błękitna planeta. Druga Ziemia. Mamy jej bronić przed Wrogiem, Wrogiem, którego nigdy nie zobaczymy. Dziesięć lat temu Dowództwo wykryło obce statki lecące w stronę tego systemu. Obliczono, że będziemy tu jakieś parę tygodni wcześniej, przylecimy, odpalimy rakiety. A później? Później będziemy czekać na kolejny rozkaz Dowództwa, goniący nas teraz, lecący kilka miesięcy za nami.

Dlaczego do cholery jest tak zimno? Czyżby jakaś awaria?

Wchodzę do sali zebrań. Jest tam już parę osób. Scott, de Vriess, Rotenberg. De Vriess chodzi nerwowo między rzędami foteli, z zimna zaciera ręce. Wszyscy mamy na sobie grube golfy ze sztucznej wełny, a mimo to trzęsiemy się z zimna.

Krótkie powitanie. Jakbyśmy się widzieli zaledwie wczoraj, a nie dziesięć lat temu. Patrzę pytająco na towarzyszy.

-Było zderzenie - mówi w końcu Scott - Stary nam zdążył powiedzieć.

-Jakie zderzenie? - pytam, nie całkiem rozumiem.

-Z meteorem, czujniki nie zdążyły go wykryć. Nie był duży, ale przy tej prędkości...

-A więc awaria... Stąd to zimno - mówię - coś jeszcze?

-Urwało całe lewe skrzydło - dodaje de Vriess.

-Tam było pięciuset ludzi! - wyrywa mi się.

-Naprawdę mieliśmy cholernie dużo szczęścia, że wyszliśmy z tego - mówi.

-Automaty zreperowały wszystko, „Achilles" jako tako się trzyma. System postanowił nie budzić Starego - odzywa się wreszcie Rotenberg - być może zostaniemy na Europie na dłużej, wylądujemy na powierzchni, zobaczę ocean - rozmarza się. A więc nie tylko ja myślę o takich rzeczach.

Wreszcie wszyscy oficerowie siedzą już w sali zebrań. Większość z nas wygląda okropnie, bladzi, z podkrążonymi oczami. Sala przypomina trochę amfiteatr, fotele ustawione są w półkole dookoła stołu i fotela dowódcy. Stary wchodzi za stół. Z jego twarzy widać, że coś się stało.

-Jak wszyscy wiedzą, mieliśmy awarię - zaczyna. Taki już jest, zawsze przechodzi od razu do rzeczy.

Pomruk na sali, wszyscy zdają sobie sprawę.

-Śmierć pięciuset żołnierzy to jednak nie wszystko - kontynuuje.

Tym razem szemranie jest głośniejsze. Stało się coś jeszcze?

-Zderzenie z meteorem spowodowało pewne... komplikacje. Gdy zbliżyliśmy się do Europy, systemy „Achillesa" wysłały jak zwykle w takich przypadkach automatyczne sondy. Otóż okazało się, że... Zderzenie wytrąciło nas lekko z kursu, spowodowało niewielkie zmniejszenie prędkości i... - po raz pierwszy widzę jak Stary nie może się jasno wyrazić - opóźniło to nasze przybycie o, o ... pewien okres czasu. Po prostu spóźniliśmy się. O dobre kilka miesięcy.

To wywołało burzę. Wszyscy zaczęli krzyczeć, pytać się.

-Co to znaczy?

-Jak to, cholera, za późno?

-To co się stało ze stacją?

-Czy Oni mogą nas zaskoczyć?

Stary unosi rękę, to wszystkich ucisza.

-Nie zrozumieliśmy się - teraz ma już spokojniejszy głos - przybyliśmy za późno. Ziemskiej stacji na Europie już nie ma. Została zniszczona przez Wroga.

Znowu szmer. Jakaś kobieta krzyknęła, odwracam się, widząc przerażenie na twarzy Ingrid dochodzę do wniosku, że to pewnie ona.

-Czy wszyscy zdają sobie sprawę z tego co to oznacza?

Powoli zaczyna to do mnie docierać, do innych pewnie też. Nie mamy już paliwa a wyhamowaliśmy na tyle, że kontynuowanie podróży do najbliższej zamieszkanej planety zajęłoby nam kilkaset lat, to raz. Zresztą to i tak jest bez znaczenia, bo zapasów tlenu, wody, żywności starczy nam co najwyżej na kilka miesięcy, to dwa. Coś jeszcze? Z zamyślenia wyrywa mnie głos Starego.

-... na podstawie zdjęć z sond, powierzchnia Europy nie nadaje się do zamieszkania, Obcy użyli broni jądrowej.

-Możemy kontynuować podróż -rzuca de Vriess.

-To nic nie da - głos starego jest wręcz obojętny - już więcej nie przyśpieszymy.

-A może by nadać sygnał SOS i zahibernować się? Te dwadzieścia lat moglibyśmy też poczekać - słyszę przestraszony głos Ingrid.

-Też nie da rady - odezwał się zrezygnowany Eryk - do hibernacji też są przecież potrzebne rzeczy, które już wyczerpaliśmy, płyn, odczynniki, energia, której nam też brakuje, wszystko to mieliśmy uzupełnić na Europie.

-Czy to znaczy, że nic nie możemy zrobić?

-Niestety - Stary już się opanował, jeśli jest przerażony jak reszta załogi, to nie widać tego po nim - w tej chwili jedyne rozsądne wyjście to zatrzymać się na orbicie Europy i czekać... Musimy się zastanowić, co zrobimy.

Jak zwierzęta w klatce. Wszyscy czujemy się jak zwierzęta zamknięte w klatce. Chodzimy po korytarzach, z pomieszczenia do pomieszczenia, patrząc na siebie z nienawiścią. Warczymy na siebie. W mijanym na korytarzu Rotenbergu widzę nie kolegę z załogi, towarzysza broni, ale kogoś kto wdycha moje powietrze, kto pasożytuje na mnie.

Nasze spotkanie skończyło się jakieś pół godziny temu. Od tego czasu mieliśmy już dwie bójki, napad szału i próbę samobójczą. I to wśród oficerów. Szeregowców na razie jeszcze nie budzimy. Stary zamknął się z Amundsen w kabinie, zdaje się, że zastanawiają się co robić.

Otrząsam się z moich rozmyślań i stwierdzam, że właśnie stoję pod jego drzwiami. Już mam odejść gdy słyszę coś co sprawia, że nogi wrastają mi w podłogę.

-... jak to nie wszystko stracone? - głos Starego.

-Już to sprawdziłam, z tych czterech tysięcy hibernatorów jesteśmy wstanie wydostać wystarczająco płynu na ... trzy, może cztery kapsuły. To jest jakaś szansa - głos Amundsen w przeciwieństwie do głosu Starego, jest zimny, spokojny i rzeczowy. Od tego spokoju ciarki przechodzą mi po grzbiecie.

-Kobieto, czy ty wiesz co ty sugerujesz?!

-Zastanów się dobrze, nikt się o niczym nie dowie, bo jak? A my... ty musisz żyć, jesteś zbyt cenny dla Floty. Pomyśl, w końcu dotrą tu, za dziesięć, dwadzieścia lat. Do tego czasu systemy statku są w stanie pracować na poziomie zapewniającym funkcjonowanie kapsuł...

-Powiedziałaś „my" - głos Starego nagle zaczyna przypominać głos Amundsen, staje się zimny i spokojny.

-No cóż, powiedzmy, że ja jestem ceną.

-Ale jak zrobimy, aby..., żeby ludzie... Wiesz sama co.

-Wszystko już przemyślałam. Próżnia.

Jesteś w stanie wyssać z każdego pomieszczenia powietrze. Wszystko w ciągu kilku sekund. Nikt nawet nie zdąży krzyknąć - czuję jak robi mi się niedobrze.

-Ale, ja nie wiem...

-Pomyśl, chcesz żyć, czy nie?

-Muszę się zastanowić...

-Nie ma czasu, musimy to zrobić szybko.

Wystarczy, muszę coś z tym zrobić. Odwracam się i chcę odejść, ostrzec wszystkich, w tym jednak momencie otwierają się drzwi.

-Cholera- to głos Starego. Odwracam się i zaczynam uciekać. W zmniejszonej grawitacji moje ruchy jednak nie są takie pewne jak normalnie, poruszam się wolno, zbyt wolno.

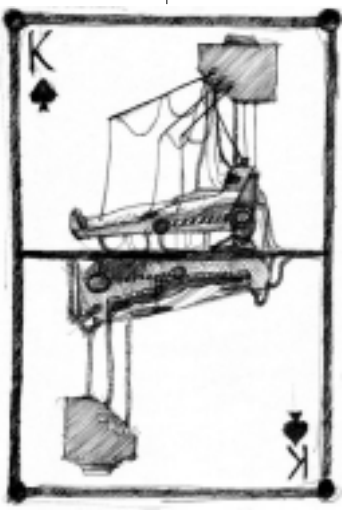

rys. Piotr Woś

-Zrób z tym coś - Amundsen krzyczy histerycznie - zrób z nim coś. Teraz już nie ma odwrotu.

Słyszę szczęk odbezpieczonego pistoletu.

-Teraz się po prostu połóż w kapsule i o niczym nie myśl. Ja wszystko załatwię.

Stary był zbyt dobrym żołnierzem, by tak wierzyć każdemu. Spojrzał podejrzliwie na lekarza pokładowego.

-No nie bój się, widzę, że mi nie ufasz - Stary zauważa, że uśmiech Amundsen potrafi być naprawdę czarujący. Nie zdążył jednak zastanowić się głębiej nad tym, dlaczego wcześniej tego nie dostrzegł, gdyż jej ubranie właśnie wylądowało na podłodze.

-Więc chodź tu do mnie - wymruczała. - Zaraz udowodnię ci, że nie mam wobec ciebie żadnych złych zamiarów.

-Czy teraz mi wierzysz? - spytała całując go w czoło. - Pomyśl, pomyśl o nas, jak będzie już po wszystkim. Będziemy niewinnymi ofiarami. Na pewno nas zwolnią. A przynajmniej dostaniemy urlop. Pojedziemy do mnie, mam taki mały domek w Szwecji - bawiła się włosami na jego piersi.

-A teraz połóż się i przygotuj. Pójdę jeszcze się wykąpać.

-Przecież i tak zaraz będziesz leżeć w tym świństwie - pokazał na przezroczyste zbiorniki z zielonkawym i lekko śluzowatym płynem hibernacyjnym.

-Ale teraz chcę się wykąpać.

Dr Amundsen, lekarz pokładowy Achillesa, porucznik Floty:

Rzucam jeszcze Staremu czarujące spojrzenie i idę pod prysznice. Wszystko poszło po mojej myśli, sami bezpieczni w skafandrach przeczekaliśmy ten czas, gdy całe powietrze z Achillesa zostało wyssane, a następnie wpuszczone z powrotem z zapasowych zbiorników.

Potem wyłączyliśmy hibernatory szeregowców i zebraliśmy ten płyn który nadawał się do użytku. Trochę okłamałam Starego, płynu wystarczyłoby dla połowy oficerów na Achillesie. Dobrze, że to ja jestem lekarzem, ale też dobrze że mam dyplom z biomechaniki i znam się też na tym. Płynu wystarczyłoby dla połowy oficerów, ale nie energii. Systemy statku są w stanie podtrzymać przez odpowiednio długi czas tylko jedną kapsułę.

Czy mam wyrzuty sumienia?

Nie, chyba nie. W końcu wszystkie życia mają tę samą wartość, niezależnie od tego, czy jest to moje życie czy życie któregoś z żołnierzy.

No to co z tego?

A poza tym, kim ja w końcu jestem, żeby to osądzać? Przecież mam prawo ratować swoje życie, czy nie? Pewnie każdy inny zrobiłby to samo? Poza tym jakby nie patrzeć, lepiej, żeby przeżyła jedna osoba niż nikt.

Na pewno?

A ja powinnam myśleć tylko o sobie. Powinnam przetrwać. Tego uczyli nas w Bazie. „Po pierwsze przetrwanie" - tak mówił sierżant w pierwszym dniu szkolenia. I dodawał: „Wygrać mogą tylko ci, którzy przetrwają". Zresztą wszyscy zrobiliby to samo. Stary się zgodził, więc jest taki sam. Zresztą i tak musiałam go namówić, w końcu był mi niezbędny, do przeprowadzenia tego. Szkoda, że przeżyje tylko jedna osoba. Szkoda, że przeżyję tylko ja.

Ale przecież tak nas wyszkolono, tacy mamy być. Bezwzględni. Ktoś powiedział na szkoleniu, że tacy musimy się stać, jeżeli nie będziemy potrafili zabić swego towarzysza, gdy tego będzie wymagać sytuacja, to jaka jest gwarancja, że zabijemy Wroga?

Stoję pod prysznicem, puszczam wodę i nie myślę już o niczym.

Gdy tylko Amundsen znikła w korytarzu, Stary powoli uniósł się z zaimprowizowanego łóżka, zrobionego z ubrań leżących na zimnej podłodze. Wstał i zbliżył się do jej kapsuły. Wiedział czego szukać, szybkim ruchem zdjął pokrywę, wyciągnął jeden z niewielkich chipów z komputera sterującego hibernatorem, delikatnie go przełamał. Teraz chip wyglądał jak uszkodzony przez spięcie. Włożył go z powrotem i zamknął pokrywę.

Układając się w swojej kapsule pomyślał:

Naprawdę przykro mi. Uwierz mi, że nie chcę tego robić, ale to jest jedyną gwarancją tego, że nikt nie dowie się co się tutaj stało.

Stali naprzeciwko siebie oparci o barierkę na skraju przepaści. Trzymali się za ręce i starali się nie widzieć wojskowych zabudowań za nimi, biegających w rdzawych mundurach żołnierzy, wzbijających się w górę w kłębach czerwonego piachu i pyłu kopterów. Patrzyli w dół, na rozpościerający się pod nimi nieziemski widok.

Bo też był on nieziemski. Baza szkoleniowa Floty znajdowała się na zterraformowanym Marsie.

-Wiesz Georg, nadal nie rozumiem, dlaczego nie możemy już walczyć. Ciągłe te testy i szkolenia, po których i tak nic nie pamiętam. I po co to wszystko?

-Kochanie tak ci się śpieszy? Musimy się cieszyć tym co jest teraz. Tam będziemy tylko wspominać ten czas spędzony tutaj jak jakiś sen.

-Ale ja naprawdę nie mogę tak siedzieć bezczynnie gdy nasi tam walczą. Ziemia nas potrzebuje Georg - gdy patrzył w jej jasne, błękitne i tak niewinne oczy przeszedł go dreszcz.

-A poza tym - ciągnęła, zupełnie nieświadoma jego myśli - ja już czuję się gotowa. Po co te szkolenia psychologiczne? Jestem pewne, że gdyby trzeba było z radością oddałabym życie. Za Ziemię, za ciebie, za każdego z naszej załogi. Nic z tego nie rozumiem - westchnęła zrezygnowana

-A właśnie, że pani rozumie, podchorąży Amundsen. Tylko pani o tym nie wie - powiedział major Whittaker, który zbliżył się niepostrzeżenie. - Proszę się udać do sali. Powtarzamy test.

Fragment raportu majora Hugh Whittakera, dla generała Joshi Al-Kahara.

„...Co się tyczy, panie generale, nowych metod szkolenia rekrutów w oparciu o techniki rzeczywistości wirtualnej i inżynierii psychicznej, to metody te dają rewelacyjne rezultaty. Symulując realne sytuacje jesteśmy w stanie doprowadzić do tego iż badani traktują zdarzenia im przedstawione jako rzeczywiste, a to czego ich się uczy pozostaje w ich psychice jako rodzaj podświadomego uwarunkowania (pan generał wybaczy nieścisłości medyczne, w

końcu jestem żołnierzem, a nie lekarzem). Dzięki nowemu programowi szkolenia będą w stanie stać się skuteczną bronią przeciwko wrogowi, jeśli w trakcie eksploracji Przestrzeni na takiego się natkniemy.

Utrzymywanie w nich permanentnego przekonania o toczącej się wojnie czyni ich trening jeszcze skuteczniejszym.

2. Z grupy WJ3D objętej sprawdzianem, testu nikt nie zaliczył. Najbliżej uzyskania wyniku pozytywnego była podchorąży Amundsen, do pewnego momentu spisywała się świetnie, popełniła jednak zasadniczy błąd polegający na zaufaniu drugiemu członkowi załogi. Ponadto, rejestratory badające jej mózg zarejestrowały stan, który może być zinterpretowany jako „wahanie", czy „wyrzuty sumienia". W świetle obecnej linii szkolenia uznaje się to za niedopuszczalne. Sugeruje się ponowne dokonanie sprawdzianu na grupie WJ3D..."

Dr Amundsen, lekarz pokładowy „Achillesa", porucznik Floty:

Przebudzenia nigdy nie są przyjemne. Człowiek otwiera oczy nagle, ociekający śluzem płynu hibernacyjnego. A ja mam najgorzej. Muszę sama się doprowadzić do porządku, obudzić Starego, dopiero potem przystąpimy do budzenia oficerów...

Michał Kubik – student IV roku Wydziału Zarządzania na AE w Poznaniu, tym tekstem debiutuje jako fantasta. Wcześniejsze jego rzeczy były dobrymi realistycznymi opisami życia w blokowiskach. Trochę tego „blokowego Hłaski", można było przeczytać w *Cogito*. O ile nam wiadomo, Michał kontynuuje swą miejską sagę i ostatnio pojawia się w niej także fantastyka.

W *Brothers in Arms* nie czytamy jednak o rozterkach pustego życia na 10 piętrze. Michał uderza w stalową strunę SF i jesteśmy świadkami prawdziwie dramatycznych kosmicznych rozterek. Oto szkoła klasyczna pisania, podziwiajmy harmonię i regularność dzieła.

(KG)

WYZNANIA IDIOTY

Jacek Sobota

CHŁODNE CZASY

BAJĘDA PSYCHOPATYCZNA

Czasy są chłodne nie dlatego, że za oknem akurat chwilowa zima (grudzień). Nie, daleki jestem od tak literalnego pojmowania rzeczywistości. Zresztą tekst ten może do Państwa dotrzeć, gdy będzie już atmosferycznie ciepło (tzw. „ciepła atmosfera") albo też zgoła nie dotrze wcale, co mnie nie zdziwi. (Przyznam, że nie zgłębiłem do tej pory tajemnic cyklu produkcyjnego „Innych Planet"; całkowitą odpowiedzialność za taki stan rzeczy ponosi oczywiście mój nieuleczalny idiotyzm.) Dlaczego czasy są chłodne - napiszę nieco później.

Kilka lat temu czytałem książkę Kazimierza Pospiszyla zatytułowaną „Psychopatia". Rzecz jest frapująca i niejednoznaczna, ponieważ zjawisko psychopatii wymyka się prostym pojmowaniom. Różne są schorzenia odmiany i różne definicje. Prosty przykład – w jednym miejscu autor pisze o swoistej „tępocie" (określ. moje) empatycznej, co prowadzi psychopatę do bezczułości i – w efekcie końcowym – zbrodni; w innym znów o (cyt.) *umiejętności wnikania w psychikę innych.*

Jedna rzecz mnie w dziele Pospiszyla zafrapowała szczególnie – mianowicie przywołana tam opinia pani Kozarskiej-Dworskiej o powinowactwie psychopatów i artystów. Od razu przychodzą na myśl rzesze artystycznych niespełnieńców pokroju Adolfa Hitlera, którzy niepowodzenia w twórczości rekompensowali sobie gdzie indziej, zwykle w sposób szczególny. Kto wie, kim byłbym ja, gdyby Parowski nie opublikował mego pierwszego opowiadania 11 lat temu?

Oczywiście nieuleczalna hipochondria sprawiła, żem jął dopasowywać portret psychopaty do własnego osobowościowego profilu; powinowactwa jednak nie dostrzegłem. Teraz wiem z jakiego powodu – dotyka mnie bowiem zupełnie inna dolegliwość: niedwuznaczny idiotyzm mianowicie.

W rezultacie natręctw myślowych wpadłem na pomysł zupełnie już idiotyczny – wykombinowałem mianowicie, że przyjrzę się środowisku SF (znanemu mi niegdyś z autopsji) pod kątem zachowań psychopatycznych. Oto rezultaty tego odważnego eksperymentu intelektualnego.

Pospiszyl powołuje się na opinię niejakiego Cleckleya, autora znamiennie zatytułowanej pracy „Maska zdrowia", jakoby psychopatów charakteryzował (...) *powierzchowny urok osobisty, dobra inteligencja, brak złudzeń, patologiczna egocentryczność, ogólne ubóstwo podstawowych reakcji uczuciowych, znamienna nieumiejętność wglądu w siebie.* Cytat wydaje mi się pożyteczny w świetle sporu o powinności literatury SF; czy autorzy winni się tu zajmować windami prowadzącymi na orbitę (Clarke popierany przez Dukaja; nawiasem mówiąc – które to piętro?), czy też raczej psychologią postaci? Odpowiadam, że windami; i to nie z wyboru, lecz z konieczności – pisarze SF bowiem, zgodnie z psychopatyczną hipotezą, nie potrafią ani w siebie wglądać, ani się doglądać, zatem o psychologii postaci nie wiedzą zgoła nic. A jeśli który już co wie – znaczy, że nie psychopata, jeno najpewniej idiota.

Według Lange-Eichbauma psychopaci dzielą się na trzy grupy: 1) psychopatów agresywnych; 2) nieadekwatnych (czyli ekscentrycznych odmieńców) oraz 3) twórczych. Mam wrażenie, że środowisko SF mieści w sobie wszystkie te grupy; czasem występują dziwne „łamańce"; oto jednostka twórcza odznacza się agresją, a także niejaką ekscentrycznością. Najczęściej jednak występuje połączenie agresywności z ekscentrycznością, bez pretensji do zdolności twórczych. Nadto, zdaniem Pospiszyla (wszyscy zresztą o tym wiemy) resocjalizacja psychopaty jest niesłychanie trudnym, a często wręcz niewykonalnym zadaniem. Jest to prawdziwe stwierdzenie również w odniesieniu do SF – jak kto połknie wirusa nadmiernego fantazjowania, to koniec z nim. Przypadki resocjalizacji są tu rzadkie (ja znam trzy – Baraniecki, Żwikiewicz, Parowski). Okazuje się, że psychopatyczne zachowania pojawiają się stosunkowo wcześnie – przed piętnastym rokiem życia. Znamy te wczesne debiuty (Dukaj, Czechowski, Pąkciński). Kolejną zbieżnością między psychopatami a pisarzami SF jest alkoholizm i skłonność do samozniszczenia organizmów oraz psychik – ewidentnym tu przykładem choćby P.K. Dick oraz ok. 40% polskich twórców SF.

Cechą niektórych socjopatów jest przekonanie o własnej nadzwyczajności i doniosłości; czego się nie tkną, to okazuje się dziejową misją. Nazwałbym to „Syndromem Midasa". Jakiś czas temu dowiedziałem się z „IP", że w polskiej SF od dziesięcioleci trwa wyniszczająca oraz ideologiczna wojna. Wszędy jakoby sypią się ważkie idee, dialektyczny konflikt daje – w wyniku scierania się przeciwnych opcji – daleko idące syntezy itd. Przyglądam się i cóż widzę? Ktoś próbuje wygryźć pewnego redaktora ze stanowiska, bo sam głodny splendorów, ktoś komuś rozbija kufel na łbie, gracze RPG oraz internetowcy budują „zajdlowe" lobby. I gdzież tu mowa o doniosłości? Konflikty są, lecz co z tymi ważkimi treściami i podtekstami? I syntezy jakby daleko nie chadzają, ledwo raczkują w kołysce urojeń.

I wreszcie ostatnia analogia, która mi się narzuciła przemocą w czasach, kiedy jeszcze bywałem na konwentach. Psychopaci mają w sobie dużą skłonność i umiejętność do manipulowania bliźnimi połączoną na

domiar niedobrego z potwornym narcyzmem. Wystarczy przyjrzeć się autorskim spotkaniom, na których można wyróżnić dwie techniki konstruowania lobby (najczęściej w celu zdobycia nagrody im. J.A. Zajdla): pochlebstwo oraz obrazuburstwo. Pochlebstwo jest techniką prymitywną; ciekawsze jest obrazoburstwo, oczywiście pozorowane. Autor daje często do zrozumienia swoim fanom, że nimi pomiata, ponieważ jest artystą (w SF rzadka postawa) albo sprawnym rzemieślnikiem, który zarabia pieniądze, bo pisze (znacznie częstsze). Jest to metoda skuteczna; wzgardzony fan czuje wielkość Mistrza (dochodzi nawet do kolekcjonowania gubionych przez autora guzików).

W literaturze SF (i nie tylko) psychopatyczne skłonności związane są z przerostem racjonalizmu nad sferą emocjonalną. Psychopatami okazują się geniusze pokroju Frankensteina albo Stapledonowskiego dziwnego Johna. Inteligencja osiągająca astronomiczne potencjały kastruje w nich empatię, jako niestosowność oraz – przepraszam za wyrażenie – idiotyzm. Psychopatyczna jest również – to kanon SF – inteligencja maszynowa; tytułów nie wymieniam, bo jest ich o wiele za dużo; ciekawym polecam wyłącznie „Golema XIV" Lema, resztę można sobie darować.

Ernest Kretschmer napisał kiedyś: *Psychopaci istnieją zawsze, ale w czasach chłodniejszych my bywamy ich sędziami, a w czasach gorących oni panują nad nami.* Uparcie trzymając się analogii z SF, trzeba stwierdzić – nastały chłodne czasy. Nakłady opadły, rzekomy rząd dusz zakończył się. Czytelnicy stali się surowymi (czasem nazbyt) sędziami.

Co chyba dla wszystkich jasne – felieton ten jest bajędą oraz fantasmagorią, która nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Na wszelki wypadek zaasekuruję się dodatkowo trawestując mego ulubionego filozofa Erazma z Rotterdamu: *Kto rozumny, ten się nie obrazi, bo przecie nie o nim tu mowa.* Znam trochę środowisko twórców SF, więc wiem, że nie obrazi się nikt.

Jacek Sobota

Pragnę krótko odnieść się do ociekających mądrością, a mnie dotyczących słów red. Szydy z poprzedniego (8) numeru „Innych Planet".

Panie Szyda, powinien Pan artykułować swe stanowisko jaśniej: albo jestem Obcym, albo mnie nie ma. Łączyć się tego nie da, albowiem pozostaje to w ontologicznej sprzeczności zupełnej i może Pana doprowadzić do schizofrenii. Moim zdaniem mnie nie ma, ale Pan może uważać inaczej (w końcu głupio jest upijać się w towarzystwie nieistniejącego człeka; niewidzialny jeszcze ujdzie, ale bezbytny?) i ufać świadectwu wątłych swych zmysłów (nigdy bym Pana nie podejrzewał o takie skłonności do relatywizowania i sensualistyczne zapędy).

„Dług II" to niedobry tytuł dla ewentualnego scenariusza opartego na faktach (nas dotyczących). Pan mi przecie jest winny więcej niż II piwa.

J.S.

Ja również pragnę się odnieść do ociekających mądrością, a mnie dotyczących słów stał. współp. Soboty (powyżej).

Panie Sobota, brak wewnętrznej logiki mojego post scriptum z numeru 8 wynikał z konieczności dostosowania „stężenia absurdu" do stopnia zasadności domagania się przez Pana piw, które nie istnieją (w sensie obligacyjnym). Kusząca jest natomiast myśl, że Pana nie ma, a ja koresponduję jedynie z projekcją mego umysłu; i *vice versa*. Kto wie, może w stanie wyłączonej świadomości ja piszę Pana teksty, a Pan moje? Tego jednak nie docieczemy, człowiek jest bowiem stworzeniem ograniczonym percepcyjnie (co innego Obcy, ale tej wątpliwości wolę serio wobec Pana nie rozważać). Proponuję, by w dalszym toku naszej piwnej polemiki zaczął Pan domagać się ode mnie – jako ekwiwalentu – książek PIW-u, a gdy zejdziemy na kawę, to i nawet książek KAW-u. Gdy jednak dojdziemy do wody mineralnej, polemikę trzeba będzie rychle zakończyć jako bezprzedmiotową. Chyba, że będzie to woda mineralna „Żywiec".

W.S.

Iwona Michałowska

P o ż e r a c z

Zimą w barze mlecznym śmierdzą bezdomni. Jedzenie obiadu staje się wtedy sprawą znacznie bardzej skomplikowaną, trzeba bowiem wynaleźć sposób na pokonanie tego smrodu, a przynajmniej zredukowanie go do rozmiarów pozwalających swobodnie zajadać kaszę gryczaną z sosem myśliwskim i buraczkami i mieć z tego należytą przyjemność. Zuzanna K. nabyła właśnie swój ulubiony posiłek i odebrawszy go jęła rozglądać się po sali, szukajac miejsca oferującego szansę spełnienia powyższego postulatu. Znalazła je w kąciku stanowiącym doskonały punkt obserwacyjny, co zadowalało ją podwójnie: raz, że daleko od bezdomnych, a dwa, że można się zatracić w obserwacjach i zapomnieć o niedogodnościach towarzyszących aktowi konsumpcji.

Podczas gdy akt się dokonywał, oczy Zuzanny K. wędrowały od stolika do stolika, przyglądając się jedzącym ludziom. Próbowała odgadnąć motywy, które skłoniły każdą z obecnych tu osób do spożywania obiadu w tym przybytku. Ona sama nie zawsze miała czas i ochotę na gotowanie w domu, a takie miejsca jak to wydawały się stworzone specjalnie dla niej. Można tu było jeść lewą ręką nie ściągajac na siebie pełnych dezaprobaty spojrzeń sąsiadów, wypluwać ziarenka pieprzu, obracać talerzem w tę i we w tę i czuć się równie swobodnie jak we własnej kuchni.

Od stolika do stolika wędrował również chłopiec, zbierajac do woreczka foliowego pozostawione na talerzach resztki. Szedł potem do kuchni i oczyszczał z pozostałości naczynia, które zostały już wyniesione, ale nie trafiły jeszcze do zlewu. Personel wydawał się go znać. Chłopiec był porządnie ubrany, a jego twarz zdradzała inteligencję i dobre pochodzenie. Trudno było powiedzieć, ile ma lat: może piętnaście, a może dwadzieścia. Wypełniał swoje zadanie ze swobodą kogoś, komu nikt nie powiedział, że to, co robi, może być postrzegane jako dziwne, a nawet upokarzające. Pewnie ma psa albo jakieś inne zwierzę, pomyślała Zuzanna. Nie uspokoiło jej to jednak, nie pozwoliło skoncentrować się na kaszy i buraczkach. Intrygowało ją, jak można się tak poniżać dla głupiego zwierzaka.

Kilka dni później zobaczyła go znowu. Za trzecim razem skonstatowała, że przychodzi zawsze o tej samej godzinie, i postanowiła dostroić się do jego harmonogramu. Wymyśliła też fortel, który miał jej pomóc w nawiązaniu rozmowy. Z natury była bardzo nieśmiała wobec mężczyzn, ale ten był jeszcze chłopcem i nie odczuwała skrępowania. Zostawiła na talerzu trochę kaszy i czekała, aż znajdzie się w pobliżu jej stolika. Kiedy podszedł, aby zebrać resztki z sąsiedniego, wstała, zdjęła z wieszaka kurtkę i powoli zaczęła się ubierać.

Zgarnąwszy, co było do zgarnięcia z poprzedniego stołu, zerknął w kierunku jej talerza, a potem przeniósł wzrok na nią. Skinęła głową przyzwalająco.

- Po co ci tyle jedzenia? - zapytała, gdy zrzucał odpadki do worka.

- Karmię Pożeracza - wyjaśnił bez mrugnięcia okiem.

- To pies?

- Nie. - Pokręcił głową, jakby zdziwiony pytaniem. - Pożeracz.

Co za dziwny dzieciak, pomyślała. Albo kpi sobie z niej, albo jest niespełna rozumu. Skłaniała się raczej ku tej drugiej hipotezie, choć wyraz twarzy Chłopca i cała jego postać zdawały się przeczyć takiej diagnozie.

Od tamtej pory zaczął się do niej odnosić z pewną rezerwą, która sugerowała, że ma jej za złe zadawanie głupich pytań. Pożeracz wyraźnie stał pomiędzy nimi i nie miał najmniejszego zamiaru

ruszyć się stamtąd. Przez kilka tygodni Chłopiec w ogóle nie podchodził do jej stolika. Próbowała go zwabić pozostawiając na talerzu co smaczniejsze kąski, pozostawiając coraz więcej, aż w końcu zaczęła kupować jedzenie tylko dla Pożeracza. Chłopiec jednak ją ignorował i niejednokrotnie obiecywała sobie, że przestanie tam przychodzić; że zacznie się żywić w innym barze albo w domu. Ale nie mogła. Cała ta sprawa z Pożeraczem zupełnie odebrała jej apetyt, tak że zostawianie obiadu nie stanowiło dla niej żadnego problemu, nawet w przypadku kaszy z buraczkami.

Pewnego razu wyjechała na tydzień w sprawie służbowej. Miała nadzieję, że Chłopiec zauważy jej nieobecność i będzie żałował swojego postępowania, myśląc, że zrezygnowała. Kiedy wróciła, kupiła obiad i zasiadła do stołu z mocnym postanowieniem zjedzenia go do ostatniego kęsa. Chłopiec już tam był: jak zawsze wędrował od stolika do stolika, zbierajac resztki, ale wydawał się bardziej niespokojny niż zwykle. Zebrał chyba ze dwa razy tyle co dawniej, a jednak ciągle się czaił, żeby uszczknąć coś jeszcze. Kiedy już wszystkie źródła się wyczerpały, podszedł do jej stolika i patrzył na nia wyzywająco.

- Co, Pożeracz zwiększył przerób? - zapytała z kpiną w głosie.

- Żre jak świnia - powiedział.

Zgrywał chojraka, ale była w nim desperacja człowieka stojącego nad przepaścią. Zuzanna pomyślała, że zmienił się od czasu, gdy zobaczyła go po raz pierwszy.

Wyszli razem z baru.

- Chcę zobaczyć Pożeracza - powiedziała.

- Nikt oprócz mnie nie może go oglądać - odrzekł twardo. - Tylko ja potrafię go ujarzmić, bo jestem jego panem. Biada innym, jeśli się z nim zetkną.

- Zawsze jest ci posłuszny? - zapytała.

Puścił pytanie mimo uszu, ale odniosła wrażenie, że się zaczerwienił.

- Tu mieszkam - powiedział i odbił w lewo.

Widziała, jak wystukuje kod na domofonie i wchodzi do klatki, skrupulatnie zamykajac za sobą drzwi.

Od tamtej pory nie mogła się uwolnić od myśli o Pożeraczu. Chłopiec przychodził do baru coraz wcześniej i zbierał coraz więcej jedzenia, a mimo to z każdym dniem stawał się bardziej nerwowy. Nigdy nie zbierał resztek z jej talerza, zanim nie opuściła baru. Ani razu na nią nie spojrzał: jego wzrok prześlizgiwał się po niej, jakby jej nie zauważał, co dowodziło czegoś wręcz przeciwnego. Dodatkowym przeciwnikiem w jego desperackiej walce o wykarmienie Pożeracza stała się Bezdomna Babcia, która - być może idąc za jego przykładem - także zaczęła pielgrzymować między stołami i zbierać resztki jedzenia. Kiedy ją na tym przyłapywał, zabierał jej worek i przywłaszczał go sobie.

Pewnego razu się spóźnił. Zuzanna była zaniepokojona, czy nic mu się nie stało, ale czekała cierpliwie. Przybiegł wreszcie, w chwilę po tym, jak Babcia, zebrawszy wszystko, co było do zebrania, opuściła bar, unosząc ze sobą cenny łup. Było już późno i w barze pozostało niewielu klientów. Chłopiec był roztrzęsiony, usiłował zebrać to, co jeszcze się dało, ale była to kropla w morzu potrzeb Pożeracza. Miotając się między stołami, przez nieuwagę spojrzał prosto w oczy Zuzanny, która zbierała się do odejścia, by dać mu sposobność do napełnienia worka kaszą z buraczkami. Wypuścił worek z rąk i wybiegł z baru. Zuzanna pobiegła za nim, wiedziona impulsem, nie usiłujac się kryć. Wbiegł do klatki, ale nie tracił czasu na domykanie drzwi, co pozwoliło jej wbiec tam za nim, podążyć za tupotem nóg na schodach i zobaczyć, jak przed nosem zatrzaskują jej się drzwi na pierwszym piętrze.

Usiadła na schodach, czekajac ciągu dalszego, ogarnięta pragnieniem ujrzenia Pożeracza tak przemożnym, że aż przyprawiało ją o drżenie. Ledwo drzwi zatrzasnęły się za Chłopcem, z wnętrza zaczęły dobiegać odgłosy przypominające walkę psów albo ścieżkę dźwiękową z filmu *Godzilla contra Gigant*.

Po dość długiej szamotaninie hałasy umilkły nagle. Przez chwilę za drzwiami panowała głucha cisza, od której serce zamierało, ale wkrótce zabrzmiały kroki, szczęknęła zasuwa i drzwi się otworzyły. Stał w nich Chłopiec. W półmroku, który panował na klatce schodowej, Zuzanna widziała go niemal dokładnie takim, jakiego pamiętała.

Iwona Michałowska

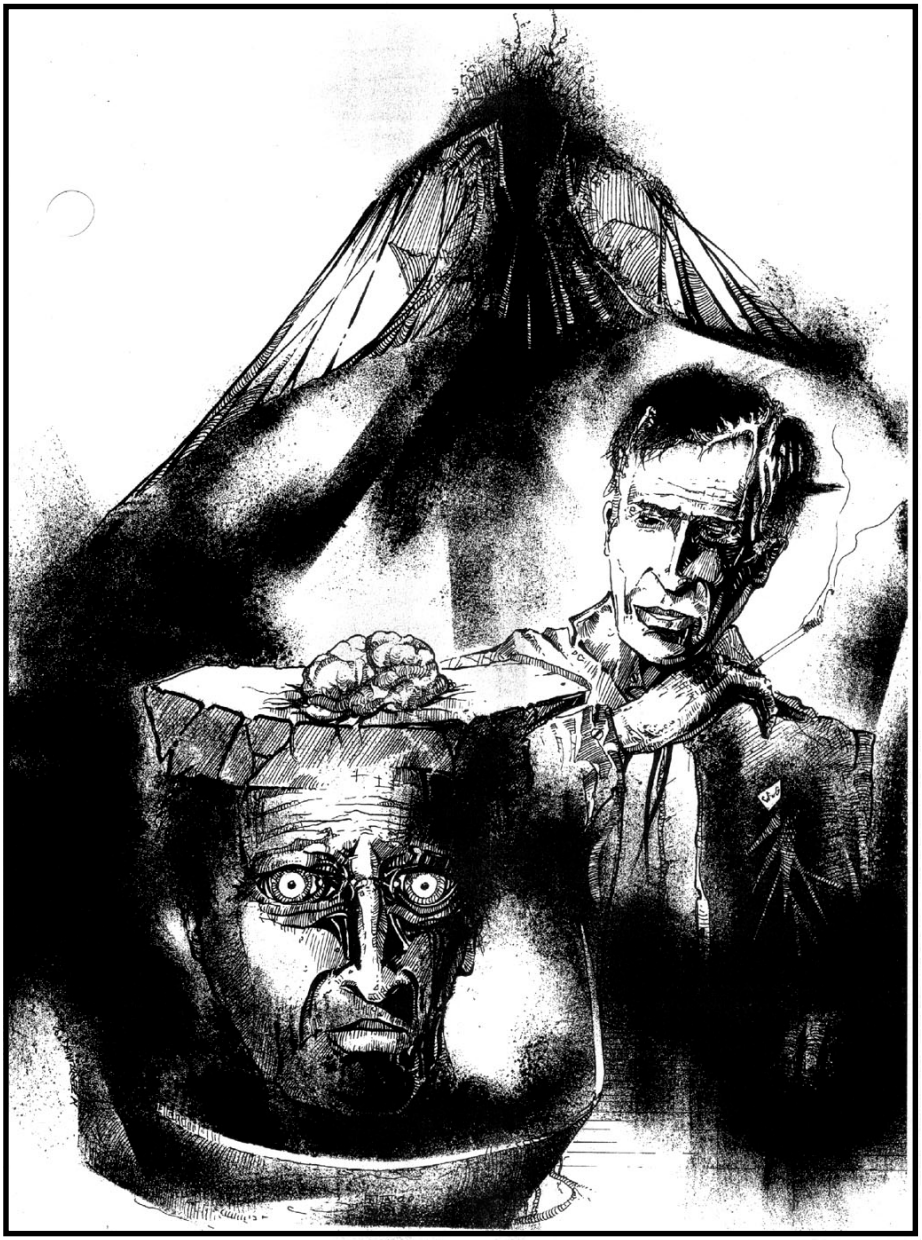

Rys. Maciej Żerdziński

Herezja

sprzed 70 lat stała się banałem

Wywiad z Lechem Jęczmykiem

Każda okazja rozmowy z panem Lechem Jęczmykiem, może łatwo urosnąć w wywiad - rzekę, mającą objętość książki. Ze względu na formę IP powstał ten oto wywiad - strumyczek (ale jakże wartki!). Tytuł pochodzi od redakcji.

Maciej Witkowiak: W relacji z Pyrkonu 2000 Wojtek Sedeńko z satysfakcją stwierdził, że najmłodsi fani nie mogli uwierzyć, iż pamięta Pan przyjazd Hitlera do Warszawy. Z tego można wnioskować, że Pana lata „gimnazjalne" (a więc czas w którym większość sfanów pierwszy raz sięgnęło po fantastykę), przypadały na lata powojenne. Fantastyka była dla Pana młodzieńczą fascynacją, czy dojrzałym wyborem?

Lech Jęczmyk: Pierwsza data, jaką zapisałem w zeszycie szkolnym to był grudzień 1944 roku. Warszawa lewobrzeżna została zdobyta 17 stycznia 1945, po drugiej stronie Wisły już w grudniu na „ziemi niczyjej" działały szkoły. Maturę zdałem w 1953, w roku śmierci Stalina. Z fantastyki wtedy znałem tylko 20 000 mil podwodnej żeglugi Verne'a, a zająłem się nią zawodowo jako wydawca w połowie lat 60. Nigdy nie byłem fanem

To dzięki Panu, zaczynający przygodę z fantastyką czytelnik, może dziś sięgać z gotowej półki klasyki światowej SF. Jak wyglądało kryterium doboru dzieł na polski grunt? Czy tylko od gustu tłumacza, bądź redaktora redagującego serie wydawnicze, zależało wtedy, co w Polsce stanie się popularne?

SF zaczęła być odczuwana jako szczególny rodzaj literatury po roku 1956 (to był wielki przełom we wszystkim), dzięki dwóm znakomitym antologiom Juliana Stawińskiego. Zabierając się do SF od razu stałem „specjalistą", bo innych nie było (pan Stawiński znikł).Miałem pełną swobodę, wydawałem, co mnie się podobało

Jak traktowała literaturę fantastyczną cenzura?

Cenzura (formalna i nieformalna) śledziła literaturę polską (kłopoty Zajdla). W tłumaczonej pilnowano tylko, żeby nie obrażać Sowietów.

Wśród licznie przetłumaczonych przez Pana książek, wybija się na pierwszy plan twórczość Dicka. Co Pana fascynuje w tym „niestabilnym nerwowo" wizjonerze ?

W Dicku fascynuje mnie siła jego wizji (przeżytych, nie wydumanych), namiętne poszukiwanie Boga oraz styl i humor. Ten trzeci element zdecydował, że go tłumaczyłem.

W 1982 powstała „Fantastyka", pierwszy „pełną gębą" organ tego gatunku literackiego. Mimo Pańskiego wcześniejszego wkładu, nie znalazł się Pan jednak w Redakcji. Czy podobnie jak Marek Oramus, znalazł się Pan za to na jakieś „czarnej liście" cenzury ?

Ja byłem mało lubiany w wydziale kultury KC PZPR, którym kierował tow. Haber, ojciec Heleny Łuczywo, redaktorki „Gazety Wyborczej". Pozwolenie na uruchomienie „Fantastyki" musiał wydać wydział prasy, gdzie mnie nie znano. Redaktor naczelny musiał być partyjny, ja nie wchodziłem w grę. Pracowałem jeszcze wtedy w „Czytelniku" i stopniowo nawiązywałem z „Fantastyką" współpracę. O początkach pisma więcej może powiedzieć Jacek Rodek.

Pierwszy szok wolności zaczyna odbijać się czkawką i protestami początku lat 90. „Fantastyka" zmienia się w „Nową Fantastykę", zostaje Pan Naczelnym „NF". Nie trwa to jednak długo.

W nowej Polsce (jeszcze wtedy nie ukazała swego kostropatego oblicza) przeważyło poczucie obowiązku wobec Ojczyzny. Zaproponowano mi kierowanie działem publicystyki w 1 programie TVP. Byłem też zastępcą redaktora naczelnego tygodnika społeczno- politycznego „Spotkania". W obu miejscach nic nie zwojowałem i dziś wiem, że nie mogłem.

W 1993 postkomuniści zwyciężają wybory, a Pan jako jeden z pierwszych, w felietonach „Nowe Średniowiecze", zaczyna nazywać rzeczy po imieniu. „NF", powoli zostaje sama na placu boju, wokół „padają" stare tytuły, rodzą się nowe, za przeważnie zachodnie pieniądze. Trudno jest znaleźć naprawdę wolną trybunę wypowiedzi, z tak dużym nakładem (100 tys). Mimo tego, red. M. Parowski często podkreśla, iż musiał Pana długo namawiać na stałą współpracę.

Wcześniej pisałem tylko na tematy zagraniczne głównie w prasie podziemnej. Marek Oramus i Maciej Parowski, znudzeni widocznie moimi wywodami, kazali mi je przedstawić na piśmie.

Tytuł Pańskich felietonów „Nowe Średniowiecze", pochodzi od koncepcji rosyjskiego myśliciela pierwszej połowy dwudziestego wieku Mikołaja Bierdiajewa. Czy może Pan przybliżyć jej podstawowe założenia?

Bierdiajew wcześniej niż inni (pewnie sprawił to widok Rosji opanowanej przez bolszewickie barbarzyństwo) spostrzegł, że cywilizacja zachodnia wkroczyła w strefę (nie żadną tam „smugę") cienia i nadał rzeczy nazwę. Nowe pojęcie to narzędzie do myślenia, otwierające nowe pole dyskusji. (Również likwidacja jakiegoś pojęcia zamyka pewne strefy. Podobno w nowej polskiej encyklopedii nie ma już hasła „Honor".)

Myśl ta powstała ponad 70 lat temu. Czy jest ona jeszcze aktualna ?

Dopiero teraz staje się oczywista. Herezja sprzed lat 70 dojrzała do fazy banału. A Bierdiajew o tyle wyprzedził peleton, że się nie pamięta, że ktoś taki tędy przejechał.

Czy „zimna wojna" opóźniała tylko nieunikniony proces wdrażania Nowego Średniowiecza w rzeczywistość, czy była jego nieodzowną częścią?

Może tak : „zimna wojna" była częścią procesów globalizacyjnych, które przyśpieszają upadek Zachodu.

Bierdiajew używa pojęcia „fałszywy humanizm", na określenie tego, czego uczą w szkołach o szesnastowiecznym renesansie. Twierdzi, że kartezjuszowska racja ludzkiego bytu - „myślę więc jestem" , która w gruncie rzeczy neguje w człowieku to co duchowe i pochodzące od Boga zarazem, powoduje zatracenie prawdziwego obrazu istoty ludzkiej. Konsekwencją tego są chociażby zbrodnie naszego wieku (faszyzm, komunizm, konsumpcjonizm). Czy sądzi Pan, że zapoczątkowana kilka wieków temu droga negacji ma tak znaczący wpływ na dzisiejszy świat ?

Zgadzam się z Bierdiajewem i Sołżenicynem, który powtórzył tę myśl po półwieczu. Tam gdzie na ołtarze wynosi się Człowieka (albo bezosobowy Rozum), tam wkrótce będzie składać się ofiary z ludzi.

„Myślę, więc jestem".
Mylę, że jestem.
Jestem to sobie myślę.
Wiem, że Bóg jest, a mnie nie ma.
Nie ma o czym mówić, panie Kartezjusz.

W swych tekstach przedstawia Pan zda-

rzenia, w sposób odmienny od oficjalnych wersji. Dla przykładu: wg Pana „Unabomber"- Ted Kaczyński, człowiek, który bombami umieszczonymi w listach zabił kilkanaście osób, jest samotnie walczącym z systemem korporacyjnym bohaterem. Tak więc kto jest w błędzie ?

To nie jest kwestia „racji" czy błędu. To kwestia wyboru strony: za dyktaturą oligarchii finansowej czy za wydziedziczoną ludnością świata. Nigdy nie aprobowałem metod Kaczyńskiego – Unabombera. Wskazałem tylko, że w określonej sytuacji może on być uzany za męczennika neo-luddyzmu.

Czytając Pana felietony, ma się świadomość, iż jest się pomijanym w dostępie do prawdziwych źródeł informacji. Przytaczane przez Pana fakty, zdarzenia czy dane, nie są powszechnie dostępne dla czytelników karmionych oficjalną medialną papką. Gdzie zatem szukać nie ocenzurowanych przez Agencje Informacyjne wiadomości ?

Komunizm ukrywał pewne wiadomości, liberalizm zasypuje istotne informacje kupą informacyjnego śmiecia. Wszystkie informacje są dostępne, nawet to, że Bill Clinton jest potomkiem dynastii Merowingów, natomiast ludziom odbiera się możliwość ułożenia ich w logiczne ciągi, między innymi przez ośmieszenie „teorii spiskowej". Bez tej teorii nie mogłaby działać policja ani rozwijać się powieść detektywistyczna i SF.

Dobrze jest pamiętać, ze „globalizacja" zatrzymuje się u bram Azji i świata Islamu. W tej chwili toczy się wojna o odebranie suwerenności gospodarczej Korei Płd. Globalizacja rozumiana jako rządy jednej giełdy, przestanie mieć sens, kiedy załamie się fałszywy pieniądz bez pokrycia. Ta wieża Babel musi się rozpaść. Z punktu widzenia przyszłości państw narodowych, ważniejszą wydaje mi się współczesna wędrówka ludów.

W Pana felietonach przewija się, traktowana dziś jak tabu, sprawa rasowa. Wyraźnie podkreśla Pan różnice między mieszkańcami naszego globu. Jak to się ma do lansowanego hasła: „jedna rasa, ludzka rasa"?

„Jedna rasa, ludzka rasa" to dosłowne tłumaczenie z angielskiego. Tam to ma sens, po polsku nie, bo „race" i rasa nie pokrywają się znaczeniowo.

Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek pisał na temat różnic między rasami. Ja podpieram się pracami innych ludzi, a ten temat jest rzeczywiście zakazany w naszym świecie. Jakiś amerykański profesor, który się tym zajmował, omal nie został ukamieniowany na jednym ze słynnych z tolerancji uniwersytetów. Ja piszę o różnicach między cywilizacjami i stoję na gruncie tezy F. Konecznego, że „nie można być cywilizowanym na dwa sposoby". Najniższy wspólny mianownik to zero cywilizacji.

Pan często wskazuje na zagrożenie dominacją „żółtej rasy". Ten lęk towarzyszy już jednak Europie od XIX w. Dlaczego akurat teraz wizje Mickiewicza czy Witkacego miałyby się spełnić ?

Znów jakieś nieporozumienie. Ja czuję się raczej zagrożony dominacją oligarchi finansowej. Na rozwój Chin patrzę z sympatią, lubię Chińczyków i podziwiam ich kulturę. Również sposób, w jaki kolonizują świat jest znacznie bardziej humanitarny od tego, co robili Europejczycy i Amerykanie. Kiedy biali ustanowili swoją dzielnicę w Szanghaju, przy wejściach do niej widniał napis „Psom i Chińczykom wstęp wzbroniony". Do chińskich dzielnic w Londynie, Nowym Jorku i San Francisco białych się wpuszcza bez ograniczeń.

Wielu współczesnych myślicieli uważa, że pustkę duchową Europy „zagospodaruje" islam. Twierdzi się, że chrześcijaństwo należy już do „błędów" przeszłości. Czy rzeczywiście religia Proroka jest tak silna i czeka nas Europa meczetów?

Jestem chrześcijaninem, wierzę więc, że Chrystus jest panem historii i Plan Boży realizuje się mimo dywersji Szatana i ociężałości duchowej ludzi. Co nie znaczy, że chrześcijaństwo nie może przegrywać na rozległych nawet obszarach. W pierwszych wiekach religia chrześcijańska panowała w Afryce Północnej i w Azji Mniejszej, dziś to domena Islamu z enklawą starozakonną. Chrześcijaństwo rozwija się od katastrofy do katastrofy, „Moc w słabości się doskonali". Etapy ekspansji chrześcijaństwa to zburzenie Jerozolimy i upadek Cesarstwa rzymskiego, myślę, że następnym będzie upadek cywilizacji atlantyckiej – dopiero wtedy chrześcijaństwo obejmie cały świat. (Choć nigdy wszystkich ludzi.) Moja próba odczytania znaków czasu nie musi być trafna, na pewno jednak wkroczyliśmy w historyczną strefę turbulencji i czeka nas parę niespodzianek

Fot. M. Witkowiak

Jaka zatem przyszłość czeka nasz kontynent? Często wykazuje Pan, że „twór" Unii Europejskiej, oparty o duchowe zasady którym nikt nie hołduje, nie ma szans na przetrwanie w dynamicznym świecie. Czy jednak wspólna ekonomia nie będzie wystarczającym jej spoiwem?

Rzecz w tym, że Nowa Europa nie ma żadnych zasad duchowych. A ekonomia to sprawa trzeciorzędna, dwie- trzy choroby wściekłych krów i może się rozlecieć. Cywilizacja musi być zbudowana na filarach, które wylicza Koneczny, musi mieć swoje założenia antropologiczne, bo „zawsze i wszędzie to co niewidzialne rządzi tym co widzialne" jak mówi Heraklit.

A Polska? Analitycy uważają, że za sto lat nie będzie języka polskiego Jak my, z naszymi jakże dramatycznymi doświadczeniami, odnajdziemy się w nowej rzeczywistości ?

Polska? Narody potrafią przetrwać bez języka (Irlandczycy), a nawet bez języka i bez ziemi, choć za wielką cenę (Żydzi). Wszystko zależy od woli przetrwania i wierności swojej kulturze. Bo narody, tak jak poszczególni ludzie, mogą poddać się zwątpieniu i popełnić samobójstwo, ale narody pozostają obok rodzin najskuteczniejszą formą organizacji ludzkiej. Międzynarodowi spekulanci mogą latać luksusowymi odrzutowcami z jednego końca świata w drugi, ale na dole żyją i pracują narody. A każdy odrzutowiec musi w końcu wylądować albo spaść. W ostatecznym rozrachunku, wszystko zależy od woli i energii. A nieoceniony Norwid zwraca uwagę, że energia twórcza nie podlega prawu zachowania energii.

Rozmawiał Maciej Witkowiak

Wojciech Szyda

Schematrix

Zastanawianie się nad tym, czy nasi dziadkowie byli szczęśliwsi od nas, dlatego że otaczał ich wszechświat prosty i zrozumiały, wydaje się problemem pustym i jałowym.
Podobnie ucieczka galaktyk - powinna byc dla nas całkowicie obojętna. Po naszej stronie jest literatura i jej jedyny temat, jedyne zwierzę łowne - człowiek. Tropi go przez tysiąclecia. Wyławia z anonimowej masy ludzkiej - postać, której daje ciało i duszę, twarz, charakter, los i nieśmiertelność prawie. Śledzi niekiedy jego ziemskie dzieje od narodzin do śmierci - błyskawicę między dwiema ciemnościami.

Zbigniew Herbert, *Podziękowanie*

Nie, nie będzie o filmie „Matrix", który na łamach „IP" dostał już dużo kopniaków, więc dalsze dezawuowanie go nie ma sensu. Tytuł wziął mi się stąd, że zamierzyłem felieton traktujący o największej bodaj ułomności fantastyki naukowej; ułomności stanowiącej *„maxima culpa"* całej twórczości Sci-Fi. Chodzi o „winę", jaką fantastyka jest obciążona od początku, niczym grzechem pierworodnym: o schematyzm właśnie. To jednak pojęcie szerokie. W ścisłym sensie chodzi o schematyzm stanowiący szczudła dla wyobraźni – tak pisarskiej, jak i czytelniczej. Co przez to rozumiem? To, że wbrew opinii, jaka panuje w pewnych środowiskach, miłośnicy fantastyki wcale nadmiarem wyobraźni nie grzeszą. Co więcej – uważam, że takie postrzeganie zjawiska SF jest jednym z największych stereotypów: fantasta to ktoś, u kogo wyobraźnia jest wyjątkowo rozwinięta, niczym muskulatura u Schwarzeneggera. Tymczasem prawda wygląda mniej korzystnie: z reguły mamy do czynienia z atrapą wyobraźni, dla której dogodnym ujściem są schematy myślowe i koncepcyjne, na których fantastyka opiera się niczym na kruchym, choć efektownym rusztowaniu.

Należy rozróżniać dwa zjawiska: fantastykę i fantazję. Ta druga jest czymś innym, pojemniejszym – można ją zdefiniować jako całokształt zdolności imaginacyjnych człowieka, jako swoisty dar pozwalający wybrańcom opuszczać ziemski padół siłą samej myśli. Nieprzypadkowo o nadwrażliwych marzycielach mówi się, że śnią na jawie: z oniryzmem fantazja ma dużo wspólnego. Główną różnicą, pozwalającą przeprowadzić linię demarkacyjną między fantazją a fantastyką, jest brak skrępowania tej pierwszej siatką reguł tej drugiej. Chodzi o spętanie sznurem racjonalności. Fantazja jest jak trunek wprawiający nas w oszołomienie, zezwalający wypuszczać ptaki irracjonalności do szaleńczego lotu. Tak konfabulują dzieci. Taką swobodą przesiąknięty był Surrealizm. Lecz chyba przede wszystkim Romantyzm. W „Kordianie" Słowackiego główny bohater ginie pod koniec pierwszego aktu (samobójstwo), po czym pojawia się w kolejnych partiach dramatu – ni stąd ni zowąd. Po prostu wyobraźnia rozsadziła logikę – Słowacki nie musiał się z tego tłumaczyć.

Pewnie znów ktoś się obrazi, lecz uważam, że namiętni czytelnicy fantastyki naukowej (chodzi o większość, są więc wyjątki) mają dość ubogie życie wewnętrzne. Dlatego potrzebują wysokich koturnów, by dotknąć głową chmur – tymi koturnami są książki, filmy i gry SF. Prawdziwa wyobraźnia może z powodzeniem obyć się bez fantastyki naukowej (a także bez fantasy). Cóż bowiem z tego, że film przedstawia walkę z kosmiczną inwazją, skoro jest głupi i schematyczny? Prawdziwa wyobraźnia polega na tym, by dostrzegać niezwykłość w zwykłości. Nie jest sztuką znajdować zadziwienie tam, gdzie mieszka ono już z definicji. Sztuką jest spojrzeć na zegarek i zamiast odczytać układ wskazówek na tarczy zrobić z nim to, co Salwador Dali na obrazie „Trwałość pamięci". Oczywiście fantasta widząc ten obraz zacznie się od razu zastanawiać z jakiego tworzywa „naleśnikowe" zegary wykonano, czy jest to możliwe z punktu widzenia fizyki etc. To takie

zboczenie „zawodowe". Obawiam się, że o refleksji ogólnometafizycznej nie może być tutaj mowy.

Wracając do przykładu z poprzedniego akapitu (do „Kordiana"), trzeba zauważyć, że na obszarze SF taki zabieg byłby niedopuszczalny. Już słyszę tych wszystkich krytyków, którzy poczynają wytykać Słowackiemu niespójność, błędy konstrukcyjne, sprzeczność w przedstawieniu bohatera. Skoro Kordian przeżył, to albo został sklonowany, albo stał się zombie, ewentualnie powrócił jako hologram. Takiemu inteligentnemu krytykowi (a legion ich w fandomie) nawet do głowy nie przyjdzie, że jego uwagi nie mają dla dzieła żadnego znaczenia: to tylko natrętne czepiactwo negliżujące całkowity brak zrozumienia wysokiej sztuki.[1] W zetknięciu z „chłopskim rozumem" niemal każde arcydzieło wyda się czymś niezrozumiałym, śmiesznym (po co mi Wenus Botticellego – spyta prostak – skoro jest tyle gołych panienek w „Playboyu"?). Krótko pisząc: fantastyka usiłuje ściągnąć fantazję na ziemię, kwestionując jej swobodę, podczas gdy fantazja wciąż wyrywa się do lotu, bez map, kompasów, sterów i tym podobnych ograniczeń.

Rys. Paweł Piechnik

Zjawisko opisane wyżej powoduje często dezawuowanie literatury jako takiej, koncentrowanie się na jej walorach naukowo-technicznych kosztem walorów czysto literackich. Drewniana stylistyka książki jeszcze przejdzie, ale pomylenie *Software'u* z *Hardware'm* jest już niewybaczalne. Nic dziwnego, że już dawno temu fantastyka podlegała różnorakiej instrumentalizacji. Gdy o tym myślę, przypomina mi się zdanie redaktora Przyrowskiego, który wpuścił opowiadania SF na łamy „Młodego Technika", aby (cytuję z pamięci) <poszerzyć wyobraźnię przyszłym inżynierom>. Z całym szacunkiem, ale jest to narzucenie literaturze roli służebnej wobec nauki, pomieszanie z poplątaniem, *horrendum* i *curiosum* w jednym! Trudno o większą wasalizację wyobraźni autorskiej niż zaangażowanie jej w naukowy konceptualizm. Z tego powodu Lem jest dla mnie tylko częściowo pisarzem (sam chyba zresztą tak uważa), gdyż nazbyt często oddaje w swoich książkach hołd bożkowi bezdusznej technologii. Tymczasem królestwo literatury jest nie z technicznego świata.

Podobnie jest z filozofią jako pożywką dla wyobraźni pisarskiej. Oczywiście nawet laik zauważy, że zgłębianie tajemnic bytu ma z materią literacką więcej wspólnego niż zasada zachowania masy (choć wysoka fizyka przenika się z filozofią na kilku poziomach). Niemniej opaczne stosowanie filozofii jako materiału na pomysł SF prowadzi do licznych nieporozumień. To trochę tak, jak z literaturą – przepraszam za wyrażenie – menstruacyjną. „NF" drukowała dwa opowiadania: „Nawet królowa" Connie Willis i „Od której płyną wszystkie błogosławieństwa" (nie pomnę autora), w których problem – *pardon* – menstruacji potraktowany został dosłownie (a przez to niezbyt smacznie), tymczasem pod pojęciem prozy menstruacyjnej rozumiemy coś zupełnie innego: agresywną, neurotyczno-feministyczną pisaninę spod znaku Gretkowskiej *et consortes*, czasami nawet ciekawą literacko. Podobnie jest z pojęciem „literatury metafizycznej" – nie ma wiele wspólnego z opowiadaniami Lewandowskiego, który rozumie metafizykę dosłownie do tego stopnia, że posiłkuje się przy pisaniu akademickim podręcznikiem. Tymczasem historie o redaktorze Tomaszewskim nie mają nic, ale to nic wspólnego z tym, co okre-

ślamy mianem twórczości metafizycznej. Mamy tutaj raczej toporną dosłowność i paranaukowe gierki w fabularnym opakowaniu, jakże dalekie od literatury drążącej jaźń i byt.[2] Metafizyczne są filmy Kieślowskiego i wiersze Herberta, „Półmisek" to najwyżej sprawnie napisana powiastka filozoficzna. Prawdziwą metafizyką ociekają natomiast opowiadania Soboty i Cyrana, gdyż jest tam namiętny dialog z Bogiem i badanie granic człowieczeństwa (oczywiście fani mają te teksty w głębokim poważaniu).

Rys. Paweł Piechnik

Reasumując: fantastyka chwyta fantazję za twarz i narzuca jej ciasny kaganiec. Podcina skrzydła ptakom wyobraźni już na starcie. Magia lotu pryska w zetknięciu z mechaniką kabiny nawigacyjnej. Marzenia o podróży do gwiazd to jedno, a projektowanie rakiet to drugie: rzeczywistość bardzo często przetrąca nasz entuzjazm, piętrząc prozaiczne przeszkody. Nie widzę jednak powodu, by ograniczać się w ten sposób na terenie wyobraźni: jest to jedyny obszar pozwalający na realizację marzeń w stanie czystym. No, może nie czystym, lecz przynajmniej zbliżonym do przeżyć wewnętrznych. Popuszczanie wodzy wyobraźni nie może napotykać barier – fantazja kończy się w chwili, gdy czujemy pierwsze ukłucie racjonalizmu: możemy latać w chmurach dopóki nie uświadomimy sobie, że jest to niemożliwe. Prawdziwa fantazja jest więc jak wiara – przenosi góry i pozwala chodzić po wodzie. Zastrzyk racjonalności wsącza nam w żyły truciznę zwątpienia. Dlatego w literaturze życie wewnętrzne bohatera musi być ważniejsze od techniki, a nawet od logiki. Tam gdzie człowiek jest przyćmiewany przez maszynę, tam kończy się humanizm. A tam, gdzie kończy się humanizm, tam kończy się prawdziwa literatura.

Wojciech Szyda

PS. Z powyższego felietonu można wyczytać postulat humanizacji literatury SF. Będzie to wniosek słuszny. Proszę tylko nie pojmować słowa "humanizm" opacznie. Mam tu na myśli dwie błędne diagnozy: T. Mann'a (że humanizmem XX wieku będzie psychoanaliza) oraz A. Hanuszkiewicza (że współczesnym humanizmem jest feminizm). Być może jest tak, że każda epoka ma taki humanizm, na jaki sobie zasłużyła. Należy jednak zauważyć, że o ile pierwsza opinia sprawdziła się jako farsa (bełkot tzw. literatury awangardowej), o tyle druga dopiero bankrutuje na naszych oczach (wysokie obcasy, niskie horyzonty). Obydwie trucizny przedostały się także do literatury SF, nie dając arcydzieł, co jest oczywiste, gdyż nie można osiągnąć gwiazd na skażonym paliwie. Potrzebujemy prawdziwego humanizmu, który nasyciłby fantastykę pierwiatkiem ludzkim. Humanizmu nie obciążonego balastem ideologii. Dusza człowieka jest najbardziej egzotyczną ze wszystkich planet

(WS)

---

[1] Proszę zauważyć, że na tym właśnie poziomie odbywa się w fantastyce dyskurs krytyczny: najbardziej kuriozalnym przypadkiem było tu postponowanie Inglotowego „Inquisitora" (książki średniej, której można wytknąć kilka wad literackich) za jakieś informatyczne pierdoły. Owi krytycy z pewnością znali się na komputerach, jednak o literaturze nie mieli bladego pojęcia, co nie przeszkodziło im kłapać dziobami i przywdziewać szat wyroczni.

[2] Metafizyka to termin wieloznaczny. Odnośnie twórczości możemy mówić o dwóch znaczeniach tego słowa: Bergsonowskim (metafizyka jako swoiste, absolutne poznanie, będące bezpośrednią, pozaintelektualną intuicją tego, co rzeczywiste samo w sobie) oraz spekulacyjnym (metafizyka jako irracjonalna spekulacja na temat sensu świata i losu człowieka lub na temat bytów niematerialnych, bądź bliska dziedzinie sztuki sfera przeżyć emocjonalno-intelektualnych, odpowiadających tym spekulacjom).

Wojciech Hamerski

Co to jest fantastyka?

Szczerze mówiąc – dokładnie nie wiadomo. Wśród fachowców nie ma zgodności, a ilość koncepcji niemalże dorównuje liczbie badaczy. Żadnemu z nich nie udało się jednak stworzyć definicji, która nie budziłaby sporów i protestów innych teoretyków – okazuje się bowiem, że określenie tego, co w literaturze fantastyczne, nie jest zadaniem łatwym.

Wytwór fantazji – tak tłumaczymy greckie słowo 'phantastikon' i takie też jest najbardziej potoczne rozumienie terminu 'fantastyka'. Słownik terminów literackich[1] zwraca uwagę, że fantastyka jest zjawiskiem w obrębie świata przedstawionego dzieła, elementem nie odpowiadającym kryterium rzeczywistości w danej kulturze. Poprzez wprowadzenie pojęcia kultury definicja ta wyraźnie stanęła po jednej ze stron podstawowego w tej materii konfliktu.

Teorie fantastyki budowane są często w opozycji do rzeczywistości – słowem – za fantastyczne uznajemy przedmioty i zdarzenia niezgodne z naszym doświadczeniem życiowym, urągające empirii i prawdopodobieństwu. Widać wyraźnie, że takie określenie wprowadza czynnik relatywizujący pojęcie. To, co uznajemy za rzeczywiste pozostaje w ścisłym związku z kulturą do której przynależymy. Roger Caillois[2] przypuszcza, że fantastyka może pojawić się tylko w świecie, w którym został wykształcony obiektywny porządek rzeczy, na zasadzie kontrastu. Jako przykład względności pojęcia podaje się Artura Conan Doyle'a – opisane przez niego obrzędy przywołania mitycznych zwierząt w mniemaniu spirytystów są czymś naturalnym, zaś w opinii zdecydowanej większości – fantastyką pierwszej wody. W kontekście powyższego, słuszne jest stawiane przez Witolda Ostrowskiego pytanie o granice rzeczywistości[3] – jak bowiem precyzyjnie określić co pozostaje w zgodzie, a co kłóci się z pojęciem realności? Indywidualne odczuwanie, światopogląd, religia – to czynniki, które podają w wątpliwość sens opierania definicji na pojęciu niedookreślonym, o szerokim zakresie znaczeniowym, a więc mizernej treści. Mimo tego oczywistego mankamentu sporo koncepcji skupia się właśnie na procesie odbioru, czyli konfrontacji doświadczeń czytelnika ze światem przedstawionym. Byłby więc fantastyką tekst, w którym mają miejsce zdarzenia łamiące zasady rządzące racjonalnym światem konkretnego odbiorcy. To właśnie chciał przekazać Roger Caillois pisząc o fantastyce, że jest:

„ ...manifestacją skandalu, rozdarcia, niezwykłym, nieznośnym wręcz wdarciem się w [...] świat rzeczywisty."[4]

Witold Ostrowski, jak już wspomniałem, dostrzegał niedoskonałość takiego konstruowania definicji; proponuje zatem utworzenie opozycji nie z fantastyki i realności, lecz fantastyki i realizmu. Autor wychodzi z założenia, że niemożliwe jest przedstawienie obiektywnej rzeczywistości (realności), możemy jedynie pokusić się o ukazanie tego co w świecie typowe, uśrednione (realizm). W tym ujęciu fantastyka jest niejako derywatem realizmu, przetworzeniem elementów typowych tak, aby przeczyły codziennemu doświadczeniu:

„ Fantastic fiction is produced by a transformation of the constituents of the empirical world and/or their pattern, which makes them so different from common experience that we may look for them in this world in vain or that their existence is, at least, objectively unverifable."[5]

Sądzę, że propozycja Witolda Ostrowskiego zaledwie w nieznacznym stopniu uściśla pojęcie fantastyki. Po pierwsze – co sam autor przyznaje – realizm jest określeniem niewiele mniej enigmatycznym niż rzeczywistość obiektywna. Po drugie cały czas pozostajemy w obrębie

relacji pomiędzy światem empirii i światem przedstawionym – Witold Ostrowski pisze, że nie da się zakreślić granic rzeczywistości, ale pomija fakt, że realizm, będąc pochodną rzeczywistości, bo ma opisywać to co w niej typowe, również podlega subiektywnej ocenie.

Odmienną propozycją rozwiązania tego problemu nęci nas Andrzej Zgorzelski. Wychodząc z założenia, że dzieło literackie nie pełni funkcji mimetycznej, nie jest jej zadaniem naśladowanie, lecz tworzenie świata, odrzuca wszelkie próby wyjaśnienia fantastyki z pomocą rzeczywistości empirycznej – neguje więc zarówno koncepcje mające za punkt odniesienia obiektywne cechy realności, jak i te opierające się na typowości. Proponuje potraktowanie dzieła literackiego jako tworu autonomicznego:

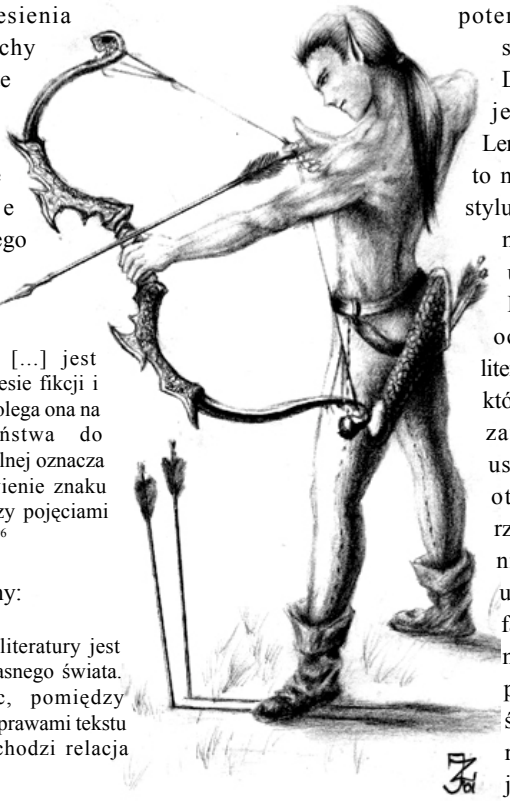

Rys. Jakub Zieliński

„Fantastyka […] jest zabiegiem w zakresie fikcji i stwierdzenie, że polega ona na braku podobieństwa do rzeczywistości realnej oznacza po prostu postawienie znaku równości pomiędzy pojęciami fikcji i fantastyki."[6]

Dalej czytamy:

„...specyfiką literatury jest [...] tworzenie własnego świata. Inaczej mówiąc, pomiędzy prawami empirii i prawami tekstu zawsze zachodzi relacja zmiany."[7]

Jest to spostrzeżenie trafne. Autor zawsze dokonuje przesiewu elementów otaczającej go realności, wybierając jedynie te, które pomagają w realizacji jakiegoś zamierzenia. Tak naprawdę bohaterem powieści nigdy nie jest *everyman*, wybór zawsze pada na jednostkę z jakiegoś względu reprezentatywną. Już samo określenie 'bohater' sugeruje wyjątkowość i nieprzeciętność. Utwór literacki nie pokazuje wycinka rzeczywistości empirycznej – zawsze mamy do czynienia z przesunięciem względem świata realnego; może to być swoiste zagęszczenie, skupienie w jednej postaci lub świecie przedstawionym ogromu cech niemożliwych do zaobserwowania w realnym świecie (Marek Wydmuch podaje przykład literackiej i filmowej postaci Świętego[8]). Może to być też ukazanie bohatera wyróżnionego spośród wielu innych, potencjalnych, przez statystyczny przypadek. Doskonałym przykładem jest *Katar* Stanisława Lema[9]. Oczywiście wszystko to nie uchyla mimetycznego stylu odbioru, nie neguje też możliwości stworzenia utworu realistycznego. Mam raczej na myśli te oczywiste cechy dzieła literackiego (i sztuki w ogóle), które sprawiają, że jest ono zawsze jakimś ustosunkowaniem się do otaczającej nas rzeczywistości; rzecz jasna nie oznacza to, że każdy utwór literacki zawiera fantastykę. Tak więc rację ma Andrzej Zgorzelski pisząc o nieprzystawalności świata przedstawionego do realnego, zapominając jednak o tym na co wcześniej zwracał uwagę – relacja zmiany może zachodzić w różny sposób. Błędu tego nie popełnia Marek Wydmuch, który dzieli fantazje (czyli skłonności do tworzenia konstrukcji nieprawdziwych) na realistyczne i

fantastyczne[10]. Józef Korzeniowski tworząc w *Krewnych* literackie postaci Ignacego i Eugeniusza posłużył się fantazją realistyczną – postaci te, choć nigdy nie istniały, dysponują wszelkimi rysami prawdopodobieństwa. Z kolei J. R. R. Tolkien opisując żyjące, poruszające się drzewa skorzystał ze swojej fantazji fantastycznej –podobne istoty nigdy nie istniały i – dodatkowo – nieprawdopodobnym wydaje się, by kiedykolwiek mogły chodzić po ziemi. Według Marka Wydmucha fantazje, które są obce wszelkiemu ludzkiemu przeżyciu są polem literatury fantastycznej.

Andrzej Zgorzelski proponuje traktowanie utworu literackiego jako bytu autonomicznego. Zdziwienie czy przerażenie odbiorcy nie stanowi więc podstawy by uznać utwór za fantastyczny. W takim rozumieniu rzeczy istotna jest relacja pomiędzy światem przedstawionym a bohaterem, co eliminuje pierwiastek subiektywny w klasyfikacji utworu:

„...pojawienie się fantastyki w utworze – to przełamanie ustalonych wcześnie j w tekście praw świata przedstawionego."[11]

Słowem: jeśli jakieś zdarzenie uzna bohater za niezgodne z porządkiem panującym w jego (czyli sztucznym, literackim) świecie, mamy wtedy do czynienia z fantastyką – natomiast poza jej obrębem znajdą się utwory science fiction i fantasy (w świecie SF bohatera nie dziwią technologiczne fajerwerki, zaś mieszkaniec krainy fantasy nie uzna smoka za istotę nadprzyrodzoną, burzącą porządek rzeczy).

Andrzej Zgorzelski dodatkowo komplikuje sytuację wprowadzając rozróżnienie między omówionym terminem 'fantastyka', a 'fantastyczność' - to drugie oznacza dla niego subiektywne odczucie, mogące towarzyszyć odbiorcy w procesie semiotyzacji[12]. Tak więc czytając SF i fantasy czujemy ich fantastyczność, ale nie ma w nich miejsca na fantastykę.

Rys. Jakub Zieliński

Oba ujęcia tego ważkiego zagadnienia posiadają istotne mankamenty. Stosowanie kryterium opartego na poczuciu rzeczywistości odbiorcy czyni fantastykę pojęciem względnym. Złośliwsi krytycy – nie bez racji – zauważają, że zgodnie z tym kryterium, o przynależności do fantastyki decyduje często nerwowa odporność czytelnika. Z drugiej strony mamy teorię opartą na immanentnych cechach utworu literackiego – jej niedoskonałością jest nazbyt drastyczne zmniejszenie pojemności terminu. Sądzę, że dobrym wyjściem byłoby stworzenie definicji uśrednionej, nie w ten jednak sposób jak proponuje Tzvetan Todorov:

„... The text must oblige the reader to consider the world of the characters as a world of living persons and to h e s i t a t e (wyróżnienie moje) between a natural and a supernatural explanation of the events described. [...] The hesitation may also be experienced by a character;"[13]

Słowem, jeśli nie ma w czytelniku wahania, niepewności czy to, co widzi jest cudem czy tylko mirażem, snem, iluzją – nie ma fantastyki. Gdy czytelnik (ewentualnie również bohater, choć nie jest to wg Tzvetana Todorova konieczne) uzyska pewność, że pojawienie się ducha można wytłumaczyć racjonalnie (np. przywidzeniem), mamy do czynienia z niesamowitością (*uncanny*). Jeśli zaś czytelnik/bohater zdecyduje, że miał kontakt z pierwiastkiem nadprzyrodzonym, nazywamy to cudownością (*marvelous*).

Z rozważań Tzvetana Todorova otwarcie pokpiwa Stanisław Lem[14] - w istocie, zdefiniowanie fantastyki jako stanu pośredniego pomiędzy światem racjonalnym i krainą cudów nie wydaje się być pomysłem ani dobrym, ani uczciwym – wszak każdy szanujący się autor wie, że nie może w sposób jasny i dobitny określić pochodzenia i statusu ontologicznego swoich duchów i upiorów – jednoznaczne deklaracje (uczynione w odpowiednim momencie) nie musiałyby pozbawiać tekstu wymiaru fantastycznego, zmniejszyłyby jedynie napięcie płynące z lektury. Dlatego wydaje mi się, że definicja Todorova dzieli utwory na gorsze i lepsze, a nie na fantastyczne i niefantastyczne. Jeśli zaś francuski badacz nie miał na myśli typowej cechy wszystkich dobrych utworów tej konwencji, lecz szczególnie eksponowany przez autora zamiar wzbudzenia w odbiorcy wątpliwości wyjątkowo silnej, to ogranicza tym samym liczbę utworów fantastycznych do nielicznej grupy, w której pisarz istotnie stawia sobie za główny cel zmuszenie czytelnika do ciągłego wahania.

Co stoi na przeszkodzie utworzeniu jednej, bezspornej definicji? Pozwolę sobie przytoczyć słowa Stanisława Lema:

„Sęk w tym, że utwór może być na raz umieszczony w porządku naturalnym i nadprzyrodzonym, że może być poważny oraz ironiczny, a jeszcze fantastyczny, alegoryczny i poetycki."[15]

Myślę, że z niezrozumienia tego faktu wynika część nieporozumień. Synkretyzm dzieła literackiego jest rzeczą normalną, zarówno jeśli chodzi o gatunek, jak i konwencję literacką, co słusznie podkreśla Michał Głowiński[16]. Tak więc usilne próby przyczepiania konkretnym utworom jednej tylko etykietki są wobec złożoności dzieła literackiego nieuzasadnione. Opowiadanie *Milczenie* Edgara Allana Poe, jest świetnym przykładem utworu, który można odczytywać jako alegorię, a który przedstawia zarazem świat przepełniony elementami fantastycznymi. Zgadzam się więc ze Stanisławem Lemem, który obala powszechny sąd jakoby fantastyka i alegoria nie mogły współistnieć w jednym utworze. Ponownie powołując się na autorytet Michała Głowińskiego, należy przypomnieć o dialektycznym charakterze podziału na gatunki i odmiany literackie; z jednej bowiem strony istnieje dążność do stworzenia wzorca idealnego (czego przykładem są zacięte spory wokół teorii fantastyki), z drugiej zaś należy pamiętać, że poszczególne

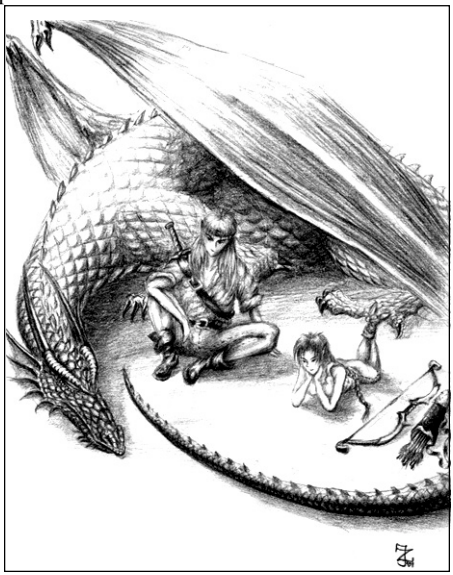

Rys. Jakub Zieliński

konwencjonalizacje literackie są ściśle związane z konkretnym okresem historycznym i jego kulturowym podłożem – nie można więc pomijać roli czytelnika wraz z jego percepcją i rozumieniem świata. Pojęcie fantastyki pozostaje w ciągłym ruchu (ujęcie diachroniczne) - dwugłowe psy i komputery hipnotyzujące dziś odbieramy jako niemożliwość, fikcję, jak jednak zauważa Stanisław Lem:

„Przedmioty tego rodzaju uchodzą za fantastyczne dlatego, ponieważ z ich istnieniem świadomość powszechna jeszcze się nie oswoiła. Gdy lekarze poczną komputerami do hipnozy posługiwać się tak nagminnie, jak dziś stetoskopami, urządzenia te przestaną być uznawane za fantastyczne, a gdy podobnie upowszechni się wiedza o przeszczepianiu głów, dwugłowy pies też będzie traktowany jako niefantastyczny."[17]

Wewnętrzne relacje dzieła literackiego, zachodzące pomiędzy bohaterem i światem przedstawionym są ważnym wyznacznikiem zaistnienia fantastyki w utworze. Pamiętajmy jednak, że przerażenie i poczucie zagrożenia u bohatera wywołane ukazaniem się żywego trupa w świecie przedstawionym, operującym modelem ładu nie dopuszczającym istnienia żywych trupów, nie niosłoby dla czytelnika żadnej informacji, byłoby dlań niezrozumiałe (a co za tym idzie – bezsensowne), gdyby nie odnosił on tej fikcyjnej sytuacji do relacji istniejących w realnym, subiektywnie odczuwanym świecie. Wyobraźmy sobie opowiadanie przedstawiające życie bohatera należącego do obcej cywilizacji Jaszczurów, dla której ludzie są istotami rodem z bajek. Lądowanie statku kosmicznego z ziemianami na pokładzie mającymi analogiczne mniemanie o możliwości istnienia Jaszczurów, bohater opowiadania odczułby jako coś niewytłumaczalnego, fantastycznego. Czytelnik – odwrotnie: potraktowałby fakt istnienia ludzi za całkowicie normalny, a za coś niezwykłego miałby cywilizację Jaszczurów. Jak widać przewrotność w konstruowaniu opowiadań fantastycznych może być duża.

Rys. Jakub Zieliński

Świat realny, światy przedstawiony, czytelnik i bohater – wszystkie te kategorie są ze sobą ściśle związane. Korespondują ze sobą, mogą wchodzić w różne relacje, pozostawać w różnych związkach – od ich typu uzależniony jest rodzaj gry, którą autor prowadzi z czytelnikiem. Zdziwienie bohatera zawsze implikuje to samo odczucie u czytelnika[18]. Fantastyka jest - moim zdaniem – pojęciem skazanym na wieczną ewolucję. Jak widać, przychylam się tu w znacznej mierze do „teorii nieimmanentnych". Jak zauważa Roger Caillois, fantastyka rozwija się, gdyż rzeczywistość dogania marzenia lub potwierdza obawy. Wyznaczanie granic pojęcia 'fantastyka' li tylko w oparciu o relacje wewnątrz tekstu jest niesłuszne – z jednej strony osiągamy co prawda pożądaną precyzję i możliwość obiektywnej klasyfikacji utworów, z drugiej jednak, wyrzucamy poza obręb naszych zainteresowań ogromną część utworów, a przecież każdy zdaje sobie sprawę, że nie można stawiać utworów science fiction obok powieści realistycznej; każdy czuje, że zarówno SF, fantasy jak i *weird fiction* coś

łączy, że należą do wspólnej rodziny literackiej. Nie można definiować i grupować pojęć posługując się filtrem jednej, immanentnej cechy utworów, nie uwzględniając całej gamy zewnętrznych podobieństw. Według Rogera Caillois, tym co scala wszystkie rodzaje szeroko pojmowanej fantastyki jest to, że:

„....wyrażają najwyższy stopień napięcia pomiędzy tym co człowiek może, a tym co by chciał móc, [...] między tym co człowiek wie, a tym co skrywa jeszcze przed nim zasłona tajemnicy."[19]

Wielu badaczy zdaje się pomijać fakt, że u zarania fantastyki leży ludzka fantazja. To pragnienie niemożliwego jest najbardziej pierwotną podnietą, która łączy i stawia w jednym rzędzie różne odmiany fantastyki. Nie zapominajmy, że świat przedstawiony jest tworem żywego człowieka i jego funkcją jest nawiązanie dialogu z odbiorcą, korespondowanie ze światem empirycznym, realnym. Cząstką elementarną jest ludzkie marzenie, zaś jego konsekwencją projekcja wyobraźni, czyli fantazmat – przekonuje nas Maria Janion[20] - romantyzm to czas „fantazmatów na wolności", czas narodzin literatury fantazji.

Jestem przekonany, że wszelkie próby zupełnej systematyzacji literatury spełzną na niczym. Humanistyka, posługująca się w swoich dochodzeniach wyłącznie metodami nauk przyrodniczych, to mrzonka scjentystów. Nad wieloma sądami dotyczącymi literatury zawsze ciążyć będzie piętno subiektywności, nie oznacza to oczywiście, że nie warto podejmować prób porządkowania ogromu materiału – nie jesteśmy na szczęście skazani na wielki chaos. Karl Popper był przekonany o doniosłości metody intersubiektywnej w naukowym dochodzeniu. Miał rację – jest to narzędzie, które pozwala nam wyraźniej zarysować granice terminu 'fantastyka' w ujęciu „nieimmanentnym". Dzięki niemu bowiem, otrzymujemy wynik bliski samego jądra, czyli całkowitej precyzji i pewności definicji. Pewności, której wszakże nigdy nie osiągniemy.

[1] *Słownik terminów literackich,* pod red. Michała Głowińskiego, Wrocław 1976.
[2] Roger Caillois, *Od baśni do science fiction,* w: Odpowiedzialność i styl, Warszawa 1967.
[3] Witold Ostrowski, *The fantastic and the realistic in literature,* w: „Zagadnienia rodzajów literackich", 1966, z. 1, s. 55.
[4] Roger Caillois, *Od baśni do science fiction,* w: Odpowiedzialność i styl, Warszawa 1967, s. 24.
[5] Witold Ostrowski, *The fantastic and the realistic in literature,* „Zagadnienia rodzajów literackich", r. 1966 z.1, s. 57.
[6] Andrzej Zgorzelski, *Fantastyka. Utopia. Science fiction,* Warszawa 1980, s. 20.
[7] Andrzej Zgorzelski, *Fantastyka. Utopia. Science fiction,* Warszawa 1980, s. 21.
[8] Marek Wydmuch, *Gra ze strachem. Fantastyka grozy,* Warszawa 1975.
[9] *Katar* jest w ogóle ciekawą analizą prawdopodobieństwa statystycznego w literaturze. Zagadnienie to omówił Jerzy Jarzębski: Jerzy Jarzębski, *Chaos, ład i literatura*, w: Stanislaw Lem, Katar, Kraków 1998.
[10] Marek Wydmuch, *Gra ze strachem. Fantastyka grozy,* Warszawa 1975.
[11] Andrzej Zgorzelski, *Fantastyka. Utopia. Science fiction,* Warszawa 1980, s. 21.
[12] Semiotyzacji, czyli subiektywnego odbioru.
[13] Tzvetan Todorov, *The fantastic. A structural approach to a literary genre,* Nowy Jork 1975, s. 33.
[14] Stanisław Lem, *Tzvetana Todorova fantastyczna teoria literatury,* „Teksty" 1973 nr 5, s 22-44.
[15] Stanisław Lem, *Tzvetana Todorova fantastyczna teoria literatury,* „Teksty" 1973 nr 5, s. 37.
[16] Michał Głowiński, *Podział na rodzaje i gatunki literackie,* w: Zarys teorii literatury.
[17] Stanisław Lem, *Fantastyka i futurologia,* t. I, Kraków 1973, s. 19.
[18] Zdziwienie czytelnika i bohatera może się pokrywać (fantastyka grozy). Może też się zdarzyć, że czytelnik „dziwi się, że bohater się dziwi" (przykład z Jaszczurami).
[19] Roger Caillois, *Od baśni do science fiction,* w: Odpowiedzialność i styl, Warszawa 1967, s. 64.
[20] Maria Janion, *Projekt krytyki fantazmatycznej,* w: Projekt krytyki fantazmatycznej, Warszawa 1991.

Autor jest studentem filologii polskiej UAM, seminarzystą profesora Antoniego Smuszkiewicza. (przyp. red.)

Iwona Michałowska

o wyższości ZUPY nad GARNKIEM

Jako dziecię młode, podczas jednego z pierwszych dni nauki w szkole średniej, wygłupiłam się spektakularnie na lekcji polskiego, na pytanie „Co jest tworzywem dzieła literackiego?" odpowiadając: „Papier". Śmiech nauczycielki i klasy sprawił, że natychmiast zmieniłam zdanie – po latach jednak coraz wyraźniej spostrzegam, że wiele osób nadal tak sądzi, a co ciekawsze, nikt się z nich nie śmieje. Za przykład pozwolę sobie obrać pewną moją znajomą, która znęca się moralnie nad każdym, kogo przyłapie na kładzeniu otwartej książki grzbietem do góry, strofując go, że ją niszczy, i wywołując wyrzuty sumienia, jaki to z niego nieczuły na dobra kultury typ.

Książka, jak każde dobro, którego się używa, ma to do siebie, że się zużywa. Im bardziej się ją lubi, tym częściej się do niej zagląda, a im częściej się zagląda, tym bardziej to po niej znać. Czy to szkodzi dobru kultury? Przeciwnie, wzmaga jego subiektywną wartość: wiadomo przynajmniej, że dzieło żyje. A jeśli już się zużyje tak, że jego użytkowanie stanie się kłopotliwe, zawsze można dokupić drugi egzemplarz i dać autorowi zarobić. Owszem, blask nowości na okładce świeżo nabytego dzieła ma swój nieodparty urok, urok ten dla miłośnika literatury, a nie tylko książek, wiąże się jednak nierozdzielnie z nowością zawartego wewnątrz dzieła i zaciera stopniowo w miarę jego poznawania i przyswajania, ustępując miejsca kolejnym objawieniom. Dlatego, natykając się u kogoś na półki pełne świeżutkich, lśniących tomów nabieram nieodpartego podejrzenia, że znalazłam się w domu analfabety.

Nie chcę przez to powiedzieć, że obudowa dzieła jest całkowicie bez znaczenia dla jego odbioru. O ile dzieło *sensu stricto* stanowi duszę, o tyle szatę graficzną można by nazwać ciałem produktu zwanego książką. Jako zwolenniczka poglądu, że ciało i dusza nie są rywalami, lecz dwiema wariacjami na ten sam temat, lubię, kiedy dobra książka ładnie wygląda. Nie jestem typem zbieracza – przeciwnie, nienawidzę trzymać w domu nie przeczytanych książek – zdarzyło się jednak, że byłam o krok od zakupu drugiego egzemplarza posiadanej już i uwielbianej książki, bo mnie ujęła szata graficzna nowego wydania. Szata drugiego tomu już mi się jednak nie podobała i pomysł upadł. Innym razem zamówiłam pocztą książkę, a kiedy przyszła – choć znałam ją już i kochałam, tyle że w innej szacie – okładka tak mnie zniesmaczyła, że miałam ochotę odesłać książkę w diabły. Nie zrobiłam tego jednak i nadal dzieło kocham, a do szaty się przyzwyczaiłam. Ktoś jednak mógłby się nie poznać na Kopciuszku...

Rzut oka ma moją półkę z książkami pozwala dokonać swoistej klasyfikacji szat, poczynając od okładek-perełek, a kończąc na okładkach-gniotach. Ograniczając się do książek wydanych w Polsce, pozwolę sobie wymienić po kilka przedstawicielek obu gatunków. Najpierw przyjemność, czyli okładki-perełki: cała seria zbiorków Borgesa (Prószyński i S-ka, 1998, 1999, 2000), Douglas Adams, *Długi mroczny podwieczorek dusz* i *Holistyczna agencja detektywistyczna Dirka Gently* (Prószyński i S-ka, 1995), J.M. Barrie, *Piotruś Pan* (GMP, 1990), Olga Tokarczuk, *Prawiek i inne czasy* (WAB, 1997), G.K. Chester-

ton, *Człowiek, który był Czwartkiem* (PAX, 1995). Tak się składa, że wszystkie te dzieła wysoko cenię, a że szata dodaje blasku – radość tym większa. A okładki-gnioty? Anthony Burgess, *Mechaniczna pomarańcza* i *Nakręcana pomarańcza* (Etiuda, 1999) - inna rzecz, że w tym przypadku zawartość dzieła współgra z oprawą, ale o tym przy innej okazji; Daniel Keyes, *Kwiaty dla Algernona* (Prószyński i S-ka, 1997), Frank Herbert, *Diuna* (Zysk i S-ka, 1997).

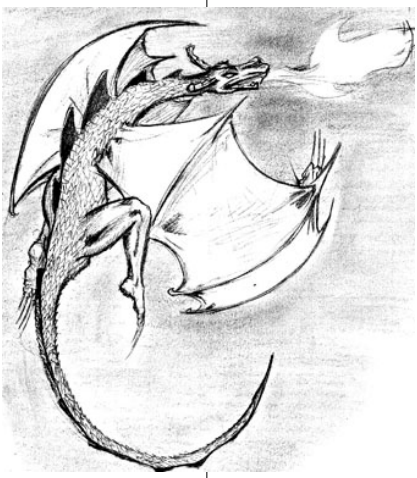

rys. Paweł Piechnik

Nie należy jednak mylić rozważań związanych z relacjami między dziełem a jego oprawą z tymi dotyczącymi relacji między formą a treścią. Zupa jest ważniejsza od garnka, bo garnkiem nie można się najeść, jakkolwiek niełatwo byłoby ugotować zupę bez niego; same składniki, nawet włożone do garnka, nie wystarczą jednak, żeby zaistniała zupa i to w dodatku strawna. Posłużę się swoim ulubionym, acz wysoce obrazoburczym porównaniem, stawiając obok siebie piosenkę nieznanego mi z nazwy discopolowego zespołu pt. *Dziewczyno ma* i utwór Petera Hammilla *Just Good Friends* (mogłabym przytoczyć fragmenty tekstów, nie chcę jednak stwarzać mylnego wrażenia, że chodzi tylko o stronę tekstową, z pominięciem muzyczno-aranżacyjnej; trzeba tego po prostu posłuchać). W obu przypadkach „treść" jest taka sama: on ją kocha, a ona go mniej. Cóż zatem sprawia, że od pierwszego odwracam się z niesmakiem, drugiego zaś słucham niemal na klęczkach? To, że treść bez formy nie istnieje, a jeśli istnieje – to jedynie jako pramateria, pierwotne błoto, któremu trzeba dopiero nadać kształt. Z estetycznego punktu widzenia - a estetyka jest fizyczną manifestacją etyki, nie zaś, jak chcą niektórzy, jej przeciwieństwem – treść jest próżnią. Można ją postrzegać i oceniać jedynie przez pryzmat formy, którą jej ktoś nadał. To forma nadaje sens treści, nie na odwrót. Forma to nie tylko produkt talentu artysty, ale wyraz jego wewnętrznego świata. Człowiek o ubogim życiu wewnętrznym po prostu nie wykrzesze z siebie bogatej formy – a ten, który potrafi ją wykrzesać, z pewnością nie dokonuje tego dzięki łutowi szczęścia.

A co z przesłaniem? Bywali tacy, co myśleli, że jego powaga może usprawiedliwiać przeciętność dzieła, ale jakoś niewiele pozostało pod strzechami z ich zapędów ku nieśmiertelności. Dzieła okrzykiwane „głosem pokolenia" podlegają prawu konfliktu pokoleń; jeśli udaje im się obronić przed kolejnymi generacjami, zyskują miano klasyki; jeśli nie, funkcjonują jako skamieliny, martwe tytuły, o których należy coś wiedzieć, jeszcze lepiej jest je przeczytać, nie wypada krytykować, a zachwalać trudno. *Buszującego w zbożu* z zaciśniętymi zębami da się przeczytać (miłosiernie pomijam bardziej skompromitowane bestsellery), ale i tak, nieczuła na jego bagaż ideowy, sto razy wolę *Trzech panów w łódce*. I całe szczęście. Przynajmniej nikogo nie zastrzelę, chyba że śmiechem. Jaka forma, taka treść.

Iwona Michałowska

KRESY LITERATURY
oraz
LISTY DO REDAKCJI

Cykl felietonów Kresy Literatury, kontynuuje tradycje bycia dziwacznym i niezrozumiałym co do formy, ale i treści, przepraszamy w imieniu odpwiedzielnych za ten cykl nieodpowiedzialnych autorów (red.)

Ufoludek

krasnoludek, czy diabełek

Szanowna Redakcjo mojego ulubionego fanzinu.

Dobry duch Krzysztof Głuch okazał się ostatnio złym duchem. Dopisał mianowicie do mego felietonu („Dlaczego nie wierzę w UFO") krótką glosę kontrującą. W duchu (*nomen omen*) polemiczny, komentarz okazał się chybiony, tak sądzę, a niżej odpowiadam: a) nie posługuję się szkiełkiem i okiem, ani metodologią żadnej z nauk humanistycznych – po prostu przeprowadzam tok myślowy dla udowodnienia swych racji, dbając by był czytelny, spójny i plastyczny; b) cóż to za „gremia" sformułowały tak proufologiczną diagnozę, o jakiej wspomina Krzysiek? „Ślady działania tych istot są potwierdzone i namacalne" – jasny szlag, to w końcu złapaliśmy UFO za rękę, to jest chciałem powiedzieć, mackę?! Mamy dowody, i to empirycznie (namacalnie) sprawdzalne? Toż to największa sensacja ostatnich lat! Czemu nikt o niej nie słyszał? To oczywiste: rząd USA ukrywa prawdę, już Kennedy zginął, bo chciał ujawnić ludziom wszystko o UFO... Dworuję tu sobie nie z Twego stanowiska, Krzyśku, bo przecież tak nie uważasz, lecz z przytoczonych przez Ciebie opinii. „Zeznania uczestników i świadków wydają się być wiarygodne" – przejdź się Krzyśku, na dowolną rozprawę sądową, a zobaczysz, jak twierdzenia obu stron wydają się wiarygodne...

Najistotniejsza niezgodność stanowisk pomiędzy Long Chrisem a mną leży w tym, że nie mogę zgodzić się na utożsamianie zjawiska UFO z opętaniem. W opętania wierzę, w UFO nie. Jedno jest zupełnie czymś innym niż drugie. Opętania zdarzają się cały czas, równologle do zjawisk ufologicznych. Te ostatnie są raczej funkcją pewnych fiksacji psychologicznych (np. paranoik wykorzysta UFO jako pożywkę dla swej obsesji spisku). Przecież opętania zdarzały się na długo przed zbiorową histerią UFO, i były czymś innym niż ludowe wierzenia w elfy, wróżki, gnomy czy inne skrzaty. Ufoki zaś to – jak wywodziłem – krasnoludki ery globalizacji i zaawansowanej technologii. Powtarzam: są to dwa rozbieżne zjawiska. Bardzo dowolne i nadinterpretowane wydają mi się także cytaty z Pisma Świętego, jakimi posłużył się Krzysiek. „Wówczas wyprowadził Go w górę" – ani chybi opętanie, UFO jak nic. Na tej samej zasadzie można zinterpretować drabinę Jakuba jako kosmiczną windę.

Podsumowując: zgadzam się z Krzyśkiem, że bies jest czymś więcej niż mitem, archetypem i toposem. Nie zgadzam się jednak, by tłumaczyć działaniem Złego tak folklorystyczne zjawiska, jak przypadki „spotkań" z UFO. Diabeł jest znacznie poważniejszym przeciwnikiem, a latające spodki przynależą do przestrzeni mitu i tylko mitu (są niczym więcej, jak mitem, toposem i archetypem).

Wojciech Szyda

Polemika do polemiki

To nie jest zbyt ładnie kiedy dwóch członków redakcji pisze sobie wzajemnie listy do redakcji. Mówię jednak „trudno" i odpisuję z racji, że temat reakcji wymaga.

Chciałbym też wytłumaczyć kontestatorom, że powyższy list do redakcji był rzeczywiście listem, gdyż dotarł do mnie pocztą elektroniczną.

Odpowiedź Wojtka, prawie w pełni rzeczowa (co rzadkim jest ostatnimi czasy wśród piszących),

prowadzi zapewne do fałszywych wniosków, ale jest ważna, gdyż reprezentuje pewien popularny u ludzi światłych pogląd, pokrótce odpowiedzmy więc

Nie mogę przystać, że UFO jest mitem, wymysłem. Wymysłem natomiast jest wymienne używanie moich personaliów z personaliami Long Chrisa - znanej gwiazdy niemieckiego kina, czyżby to nie ja, ale ten utalentowany aktor pisał polemikę do tekstu Wojtka (nie mylić z bohaterem piosenki „Raz młody Wojtek miał wychodne").

Ufo, wybitna wizja Grzegorza Rosińskiego

Tak więc a.) nie upieram się czy któraś z nauk humanistycznych ma takie czy inne szkiełko i oko, bo się na tych naukach średnio znam. Wydawało mi się jednak, że kulturoznawcy bądź antropologowie zwykli robić tak jak Wojtek i przeprowadzać tok rozumowania w stylu: „telewizor to odbicie toposu tabernakulum, to zaś wywodzi się od archetypu arki przymierza, ta zaś pochodzi starego pogańskiego mitu o czymś tam, stąd wniosek że telewizor jest technologiczną wersją pogańskiego czegoś tam". Wydawało mi się, że Redaktor Szyda tak właśnie sądzi, że skoro kiedyś było coś tam, na przykład krasnoludki, to stąd wniosek, że UFO jest technologiczną wersją krasnoludków i nie jest niczym więcej. Cóż, wydawało mi się, przepraszam. Nie wiem na czym polega „czytelny spójny i plastyczny tok myślenia" Redaktora Szydy. Sugeruję jednak, żeby przed zastanawianiem się, jakiego typu wymysłem UFO może być, sprawdzić czy przypadkiem nie jest rzeczywistością. I tu należy użyć „właściwej chrześcijaństwu głębi"(cyt. z felietonu Szydy), czyli nauk ułożonych, ścisłych i skanonizowanych niczym zbiór zadań Gdowskiego i Plucińskiego (cytuję słowa redaktora Szydy i innych, gdyż zdaję sobie sprawę, iż zgrabniejszych nie jestem w stanie użyć).

b.) Zarzuca mi Wojciech Szyda zdawkowość, wyśmiewając moje twierdzenie, że istnienie UFO jest potwierdzone. Czyni to w sposób mało rzeczowy, wyolbrzymiając moje twierdzenia i powołując się na swoją praktykę w sądzie (z przyjemnością podejmę dyskusję na temat polskiego sądownictwa). Otóż po pierwsze nie tłumaczyłem się dokładnie, o jakie dowody i zeznania chodzi, nie chcąc nadużywać gościnności felietonisty i nie rozpychać się zbytnio w komentarzu odredaktorskim (tak jak to czynię teraz). Czyniłem zdaje się słusznie, gdyż jak widać niewielu poza Redaktorem Szydą moje rewelacje zainteresowały. Drugą przyczyną jest wstydliwy fakt, że całą moją wiedzę o UFO czerpię z artykułu o.Serafina Rose, prawosławnego mnicha pt. *Znaki z niebios – UFO w perspektywie chrześcijańskiej*, przedrukowanego z książki *Ortodoxy and the religion of the future*, publikowanego w 13/14 numerze Frondy (tłum. Estera Lobkowicz). I na całe zło nie mam pod ręką tego tekstu. Jeżeli cały artykuł okaże się fałszem, jak ostatnio podejrzewa się o bycie fałszem całą Frondę, to moje argumenty legną w gruzach. Wstydzę się tego, że nie wertuję bibliotek w poszukiwaniu prawdy o UFO. To mnie łączy z Long Chrisem, że nie czytam zbyt wiele, i to mnie upodabnia niekiedy do współczesnej inteligencji, która przeczyta jedną książkę o dajmy na to teorii chaosu i zaczyna wszystkim tłumaczyć, czym chaos jest.

Cieszy mnie fakt, że Redaktor Szyda wierzy w opętania, są bowiem ludzie, którzy w nie nie wierzą i nie uznają dyskusji o opętaniach jako naukowej.

Niestety nie mam źródła pod ręką, jestem zmuszony przytoczyć w skrócie, z pamięci, tezy artykułu. Resztę doczytać można we źródle.

Wojtek się śmieje z moich „namacalnych śladów" oraz „wiarygodnych zeznań". Otóż oczywiście nikt nie znalazł martwego ufoludka (oprócz FBI), albowiem szatan żyje, jak wiemy. Chodzi o wnioski normalnych naukowców badających tą sprawę. Kiedy diabeł rzucał łóżkiem św. Jana Vianneya, to przerzucone łóżko było namacalnym śladem. Podobnie tutaj namacalnym śladem będzie odcisk po statku, po ufoludku. Ale odstąpię od namacalnych śladów. Ich nie trzeba, żeby popierać tezę o UFO. Jeżeli chodzi o wiarygodne zeznania, to świadków zdarzeń badali fachowcy nie sądownictwa panie Wojtku, ale psychologii. Dla nich rozróżnianie rodziny szczerze zszokowanej najściem ich farmy przez fosforyzujące żyjątka od zmyślających maniaków mieści się w obszarze kompetencji. Oczywiście chodzi o badania szerokiej grupy ludzi i ich statystyczne wnioski.

Ufo, wizja pani charakteryzatorki

Redaktor Szyda wyśmiewa punkty b.) i c.) mojej wypowiedzi, ale pomija a.) i d.). Punkt a.) mówił o małej możliwości korelacji widzeń UFO z psychozą. O. Rose pisze, że widzenia UFO występowały falami, z czego pierwsza wystąpiła (z pamięci piszę) około roku 1947 w Stanach oraz w Europie. Było to długo po pamiętnym słuchowisku na podstawie Wellsa. Słuchowisko to łatwo wywołało psychozę, ale od tamtego (1938) czasu aż do roku 1947 o UFO nie wspominał nikt. Aż tu nagle w Europie i Stanach ludzie zaczynają mieć widzenia i raczej nie przypomina to rozprzestrzeniającej się „mody na UFO". Oto jeden z argumentów, jaki w wulgarnej formie przytaczam. Jeżeli chodzi o punkt d.) to ludzie mający widzenia kończą z nerwicami, jako alkoholicy, rozbijają się ich rodziny, kończą daleko od Boga. Tak ponoć wskazują badania populacji tych mających widzenia. Ale ja żeby się nie opierać tylko na cudzych przytoczeniach, szukam w pamięci swoich własnych i przypomina mi się bohater „Bliskich spotkań trzeciego stopnia", który przecież ucieka od żony i z jakąś tam blondynką biegnie spotkać ufoludków (oglądałem ten film będąc małolatem, więc mogę przeinaczyć). Film ten oczywiście jest fikcją, i o życiu fanów UFO można się z niego dowiedzieć tyle co o życiu homoseksualistów na podstawie serialu „Dynastia". Jak każda fikcja, może jednak dać do myślenia.

Ewentualne polemiki proszę czynić już do tekstu źródłowego, gdyż jest on wypełniony o wiele większą ilością informacji niż to co piszę teraz. Jest też napisany lepiej i przyjemniej się go czyta.

Nie wykluczam, że o. Serafin Rose to trefny człowiek i wszystkie wypowiedzi naukowców sobie zmyślił. Jeśli pozbawimy się jego faktów, to pozostaje mi brzytwa Okhama. Użyjmy jej tak: UFO to nie są kosmici, bo musielibyśmy długo się tłumaczyć po co oni nas ciągle badają (próbowaliśmy to robić na jednym ze spotkań klubu Druga Era), UFO to nie są krasnoludki, gdyż wywód kulturowy Szydy i jemu podobnych (Oramus) jest moim zdaniem zawiły i należałoby długo tłumaczyć, że piloci mają przywidzenia, że farmerzy dziczeją, że kierowcy na autostradach przysypiają itd., UFO to są biesy bo tak wytłumaczyć można ich zarówno „nieudowadnialność" jak i ich występowanie i powtarzalność. Nauka nie udowodni takiego UFO, ale może weryfikować hipotezę, że jeżeli Diabeł jest, to może on być UFO.

Cytatu „Wówczas wyprowadził Go w górę" użyłem rzeczywiście samodzielnie, pozostałe cytaty pochodzą od o. Rose. Ale czy jest on rzeczywiście niedorzeczny? Diabeł kusząc Jezusa wziął go na górę. Diabeł kusząc Hrabiego Henryka porwał go w górę pod postacią kobiety. Podobnie Diabeł kusząc Long Chrisa może go porwać w górę pod postacią małego zielonego jegomościa. Cytat miał jedynie zobrazować pe-

wien sposób działania diabła.

Należy też wspomnieć, że pogląd Wojtka, który traktuje UFO jako zjawisko kulturowe, jest zdaje się popularny wśród fanów fantastyki. Za słowo potrafię jednak złapać jedynie Marka Oramusa, który w jednym z ostatnich „piątych piw" wypowiedział się podobnie, wyśmiewając fanów UFO i podobnie jak Wojtek przyznając, że przedstawiciel Kościoła Katolickiego (jeden z biskupów, nie pamiętam który, nie mam tekstu pod ręką) uważa UFO za oblicze Szatana. Oramus uznał to jednak za przesadę. Znane mi są dwie inne wypowiedzi przedstawicieli tejże instytucji, które problem ufoludków traktują także jako „współczesną twarz Szatana". Jeżeli chodzi o fandom, to wiem, że człowiek poniekąd „znający się" na Szatanie i okultyzmie (tłumacz Barkera i Kinga) – Robert Lipski traktuje fenomen UFO podobnie jak inne fenomeny spirytystyczne.

„Diabeł jest poważniejszym przeciwnikiem [niż UFO - przyp. mój]" – tak zdaje się twierdzi Redaktor Szyda. Nie jest poważnym fakt iż wyznawcy UFO kryjącego się za kometą Hale Bopp popełnili zbiorowe samobójstwo. Nie jest ważne, że **wiara w UFO praktycznie wyklucza wiarę w Boga** (pokażcie mi pobożnego „ufitę", w wytłuszczonym zdaniu streszcza się wszystko co mam do powiedzenia). Nie jest ważnym, że praktycznie każdy z nas, choćby i śmiał się z UFO, to uznaje że „jest coś" w filmach „Odyseja Kosmiczna 2001", „Bliskie spotkania trzeciego stopnia", „Stalker", „Kontakt", „Solaris". Filmy te, nawet jeżeli zarzekniemy się że „to tylko kino i historie te nie promują żadnej nowej religii", pokazują, że można spodziewać się szczęścia dla ludzkości od kosmitów. Czy to nie jest oczywiste, że skoro ludzie szukają nadziei u kosmitów, to diabeł to może wykorzystać? Panie Wojtku, gdyby wiara w krasnoludki praktycznie wykluczała wiarę w Boga (tak jak to jest z UFO), to ja twierdzę, że krasnoludki to szatański wymysł.

Krzysztof Głuch

POD CZERWONĄ PLANETĄ POEZJA SOCREALISTYCZNA

Kto by myśli, że socrealizm był zjawiskiem przebrzmiałym jeszcze w latach 50-tych, ten jest w błędzie, oto poemat, który ukazał się w lubelskiej prasie lokalnej, grubo po Stanie Wojennym. Nie jest to niestety dzieło znanego poety (apel do wszystkich ludzi dobrej woli, kto posiada tekst wiersza Tuwima lub Brzechwy *W Poroninie*, jest to arcydzieło i pragniemy niezmiernie je opublikować). Wiersz posiada dużą wartość poznawczą. Można się dowiedzieć w którym roku powstało ZOMO. Oddany jest też dość dobrze klimat starć ludzi Resortu z polskimi żołnierzami AK, odbywających się na Lubelszczyźnie . Zastanawiająca jest strofa czwarta. Wokół jakiegoż to stołu czołgali się bandziory (AK) oraz milicjanci? I dlaczego czołgali się? Czy dlatego, że stół był już pusty? (KG)

Henryk Makarski

Opowieść Zomowca

grudzień 1981 - styczeń 1982 (fragment)

Lublin, noc sylwestrowa w pułku manewrowym,
Przyjechała kompania z nocnej służby. Obok
usiadł koło mnie Kazik – siwawy zomowiec
i zapatrzony w przeszłość snuje swą opowieść:
umilkły w maju karabinów śpiewy
salwy perliste srebrzystego śmiechu
i kiedy ogień w popiół się ukorzył
szliśmy nabojem przypalonej miedzy
(...)
kładły się cienie na rodzinnych zgliszczach
dławiły ciernie w bratobójczych mordach
pod jednym dachem bandzior i milicjant
wokół pustego stołu musieli się czołgać
dudniły szyby nocą w czerwonych zagrodach
psy wyły ogłupiałe w wymarłych podwórzach
i ginęło słowo POLSKA w świstkach wyroków
z orłem w koronie ogromnej do nieba
potem orałem ziemię i stawiałem dom
przed domem moim wzniosłem pomnik –
wyryłem na nim napis dla potomnych:

KRZEPŁA KREW ALE I WŁĄDZA KRZEPŁA
W SERCACH NASZYCH I PAMIĘCI – ZA GODNOŚĆ NASZĄ

a dalej było już normalnie
w prawym ręku pistolet – w lewym zeszyt
o ład i porządek w kraju walcząc
zawsze wierni – idei
w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym
powstało ZOMO – tak ten rok pamiętam
nocka za nocką mijały nam na służbie
a żony z dziećmi same zostawały w święta (...)

Wojciech Szyda

Dom na krawędzi światów

Pierwsi opuścili Dom Adam i Ewa. Dom był w tamtych czasach Ogrodem, a na jego terenie nie było żadnych budynków, nawet skromnej altanki. A jednak od czegoś trzeba było zacząć. Wkrótce publiczność rozpoznawała już znak Projektu: świetliste oko w trójkątnej obręczy. Szybko stało się ono oficjalnym emblematem Domu.

Z biegiem czasu uczestnicy zapomnieli, że są stale obserwowani. Właściwie trudno im się dziwić: ta świadomość była zbyt krępująca. Oczywiście podświadomie wciąż zdawali sobie z tego sprawę, przestali się jednak przejmować. W przeciwnym razie nie mogliby działać spontanicznie, a to przecież było istotą Projektu.

Przez Dom przewinęło się wielu oryginałów. Staruszek o imieniu Noe miał obsesję na punkcie majsterkowania: zbudował wielką łódź, która – jak się później okazało – ocaliła skórę jemu i jego znajomym. Reszta uczestników utonęła w potopie. To dzięki Noemu Projekt mógł być kontynuowany.

Szczególną rolę odegrali uczestnicy Mojżesz, Dawid i Salomon (dwaj ostatni byli ze sobą spokrewnieni). Para ojciec i syn biła rekordy popularności –publiczność wspominała ich życzliwie jeszcze przez długie lata.

W Domu zamieszkiwali też nawiedzeni prorocy: Ezechiel, Jeremiasz, Izajasz i kilkunastu innych. Z początku mieli niskie notowania, bo publiczności nie lubi gadatliwych malkontentów. Ich zasługi zostały docenione dopiero z biegiem lat. Popularność ma to do siebie, że jest jak kobieta – lubi się spóźniać.

A potem w Domu zamieszkał młody introwertyk o imieniu Jeszua. Wkrótce został uznany za najbardziej kontrowersyjną postać całego Projektu. Fala sympatii do Niego raz rosła, raz opadała – jak sinusoida. Jeszua bardzo denerwował prominentnych mieszkańców Domu – był bowiem do bólu szczery, głosił moralną odnowę i mówił prawdę w oczy, a wiadomo, że taka otwartość nie wszystkim się podoba. Zwłaszcza tym, którzy po cichu łamią reguły Domu.

Wkrótce doszło do największego skandalu w historii Projektu. Wpływowe grupy mieszkańców postanowiły pozbyć się Jeszuy. Tak też się stało – nie czekając na wynik głosowania zwołali kapturowy sąd i usunęli go z Domu przemocą. Nieszczęśnik nie przeżył eksmisji.

Odtąd niepokoje zaczęły narastać. Wśród mieszkańców zyskały na znaczeniu zorganizowane grupy zwolenników Jeszuy. Pozostali mieszkańcy próbowali zwalczać aktywistów, dochodziło nawet do rękoczynów. Opór tylko pogarszał sytuację. Zamieszki w Domu przerodziły się w powstanie – wyznawcy Jeszuy zaczęli podważać sens samego Projektu. Rezultatem był katastrofalny spadek oglądalności. W końcu buntownicy postanowili opuścić Dom – pewnej nocy zebrali się na dziedzińcu, wyważyli bramę i wyszli na zewnątrz. Czekającym dziennikarzom oznajmili, że tylko prawda czyni ludzi wolnymi. Słowa te dotarły za pośrednictwem mediów do bardzo wielu osób. Największym zaskoczeniem było spotkanie w studio telewizyjnym: na swoich wyznawców czekał tam Jeszua.

Bojkotowanie Projektu stało się powszechne. W tej sytuacji jego kontynuowanie mijało się z celem.

Tak zakończyła się pierwsza edycja programu „Big Father".

PS. O trwającej obecnie dalszej części niewiele wiadomo. Najbardziej bulwersujące było nielegalne zorganizowanie programu „Auschwitz Bruder" około połowy XX w. Chodzą słuchy, że obecnie Projekt zbliża się do finału i że zakończy się wraz z przyjęciem do grona uczestników kobiety zwanej Wielką Nierządnicą.

Są tematy, których nie wypada poruszać. Są wyrazy których nie należy używać. Zdecydowaliśmy się opublikować powyższy tekst, bo wprawdzie zahacza o temat niesmaczny, ale autor stara się ukazać zapomnianą, a być może prawdziwą perspektywę (przyp. red.)

Wojciech Górecki

Człowieczeństwo u robotów

Hasło takowe w pierwszej chwili zdaje się być niedorzeczne. Toż przecie nie ma jeszcze tworów technologii tak zaawansowanych, by móc rozważać ten problem. Racja, lecz dla człowieka, który choć raz zetknął się z literaturą z gatunku science-fiction, słowo „"robot" wywołuje już konkretne skojarzenia i nie jest bądź to wyobrażeniem bezdusznego ramienia wykonującego jakieś prace wzdłuż linii produkcyjnej bądź bajecznym towarzyszem człowieka. Dla fantasty to z jednej strony efekt technologii cywilizacji (ludzkiej czy innej), a z drugiej nieodłączny element świata przyszłości. Są androidy często przyczyną, pretekstem dla autorów do rozpatrywania psychik ludzkich. Stają się więc narzędziem w ocenie ludzkiego postępowania. Na tym jednak nie koniec. Inne wszelako role zajmowane przez roboty w światach fantastycznych pozostawiam do odkrycia w dalszym toku pracy.

Penetrowanie literatury i kinematografii fantastycznonaukowej wzbudziło z czasem we mnie niejasne poczucie, że roboty są jakąś projekcją ludzkiego wyobrażenia o sobie, jak również określają, jak się wydaje, granice tak nieuchwytnego i trudno definiowalnego terminu, jakim jest „człowieczeństwo".

Zanim zaczną się jakiekolwiek wywody dotyczące zachowań robotów, które mogą nas ludzi zadziwiać, należy wprowadzić trochę bełkotu technicznego. A to wszystko po to by sytuacje zarysowane w literaturze fantastycznej nabrały bardziej realnego charakteru. Dlaczego? Ano dlatego, że postęp w dziedzinie informatyki zdaje się następować w tempie wykładniczym. To powoduje, że jeśli nam samym nie przyjdzie do głowy założenie o rychłym powstaniu tzw. sztucznej inteligencji, to przyjdzie (przyszło) ono do głowy innym ludziom, i nie tylko pisarzom.

Lecz należałoby od pisarzy właśnie zacząć. Już w XIX wieku pewien francuski pisarz August hrabia de Villers de l'Isle-Adam popełnia powieść pod tytułem „Ewa przyszłości", w której opisuje w sposób jakże dla nas zabawny a dla tamtych czasów poważny to, jak android jest zbudowany (sic!).

> *Dzięki tajemnicy, która się wytwarza w tych metalowych kręgach, i co się z nich wyłania-ciepło, ruch i siła rozchodzą się po ciele Hadaly skojarzeniami tych lśniących drucików: są to wierne odbicia naszych nerwów, żył i tętnic.[...]*
>
> *Nie zaniedbałem też głębokich westchnień, które smutek wydziera z serca; Hadaly, mającej usposobienie łagodne i małomówne, urok ich nie jest obcy. Każda kobieta ci to potwierdzi, że naśladowanie tych westchnień melancholijnych jest łatwe.[...]*
>
> *Oto są dwa złote fonografy, nachylone pod kątem prostym ku centrum piersi i stanowiące płuca Hadaly.[...] Poniżej płuc oto jest walec, gdzie zapiszemy wypukło gesty, chód, wyraz twarzy istoty ubóstwianej.[...]*
>
> *W rzeczy samej, ten walec zawiera przeszło siedemdziesiąt ruchów ogólnych. To mniej więcej wszystko, czym dobrze wychowana kobieta może i powinna rozporządzać.*[1]

Te charakterystyki dla dzisiejszego czytelnika są bardzo anachroniczne, a to z oczywistych względów. Wraz z rozwojem technologii pewne mity upadają, następne się rodzą; jest więc można powiedzieć opis literacki konstrukcji androida funkcją współczesnej piszącemu wiedzy. Konsekwentne w tym miejscu zdaje się być pytanie o wyobrażenie konstrukcji robota dzisiaj. Nie odpowiem na to pytanie wprost. Z dwóch powodów. Po pierwsze nie wiem. Ostatnim opisem budowy robota, jaki mi utkwił w pamięci jest przypadek Setaura z opowiadania Stanisława Lema „Polowanie" z tomu „Opowieści o pilocie Pirxie". Jednak odwołując się do wykładniczego postępu techniki muszę odrzucić go jako nieaktualny, z wiadomych względ-

dów. Nie przeszkadza to natomiast zacytować ów opis dla ilustracji zmiany, jaka dokonała się przez z górą pół wieku:

> *Nazwa zatrąca o mitologię, ale jest tylko skrótem, pochodzi od słów Samoprogramujący się Trójkowy Automat Recemiczny* (Setaur-W.G.)*, ponieważ do konstrukcji jego mózgu używa się zarówno prawo- jak i lewoskrętnych monopolimerów pseudokrystalicznych.[…] Jest to automat zaopatrzony w laser do prac górniczych, laser fioletowy, energii zaś do wysyłania impulsów dostarcza mu mikrostos, pracujący na zasadzie zimnej reakcji łańcuchowej[…].*[2]

Aż się prosi powiedzieć: macie taką technologię, jakie wymyślacie androidy. Walec z pozytywki i złote fonografy zastępuje laser i reaktor jądrowy. Jednak to tylko w ramach pewnego komentarza. Drugim natomiast powodem jest zamiar przedstawienia problemu: czy tworzenie robota jako wiernej czy przewyższającej pierwowzór kopii człowieka jest możliwe. Należy więc odpowiedzieć sobie na trzy pytania, nie jedno; czy będzie możliwe, a zakładając to, w jakich celach i jakie różnice będą między „nami" a „nimi" występować.[3]

Stanisław Lem prócz swoich dokonań beletrystycznych działa (szczególnie w ostatnim czasie) na polu eseistyki paranaukowej. Temat tworzenia sztucznej inteligencji był już przez niego wielokrotnie poruszany. To, co najważniejsze to rozdzielenie w pierwszej kolejności inteligencji od rozumu. Autor dowodzi, że o tą pierwszą bezsprzecznie łatwiej, ponieważ z drugą wiąże się niesamowicie skomplikowana kwestia uzyskiwania stanu świadomości. Lem tak pisze o inteligencji*: Jest ona niejako bardziej „bezosobowa" niż „rozum". Zachowanie także artefaktu (jakim może być komputer) mogłoby wprawdzie wydawać się „inteligentne", ale niekoniecznie zarazem „rozumne". Przede wszystkim dlatego, że można wprawdzie niechcący być, tj. zachować się, INTELIGENTNIE, ale niechcący ROZUMNIE raczej nie, ponieważ implikacją rozumności jest zdawanie sobie z niej sprawy.*[4]

Problem ten zostaje poruszony w kontekście pojedynku między arcymistrzem szachowym Kasparowem a szczytem dokonań informatycznych (w dziedzinie gry w szachy) komputerem Deep Blue. Pytanie o wystąpienie inteligencji komputera nasunęło się w momencie przegranej Kasparowa, a ściślej rzecz biorąc jego komentarza, który zjeżył włosy na głowie wszystkim entuzjastom AI czyli Sztucznej Inteligencji (AI-Artificial Intelligence-W.G.). Kasparow rzekł był, iż zdawało mu się jakby poczuł błysk intelektu w postępowaniu komputera, ponieważ ten mówiąc bardzo obrazowo nie dał się złapać w pewną pułapkę szachową, tym samym dowodząc dalszego od Kasparowa horyzontu „myślenia". Nawet, jeśli założyć, że komputer nie przez zbieg okoliczności wygrał z człowiekiem, to do myślącej maszyny nam jeszcze daleko (pomijam fakt, że skoro Deep Blue wygrał raz, to chciałoby się by wygrał i drugi, trzeci, co jak wiemy nie nastąpiło; z czystej złośliwości przywołam tu prawo tzw. brzytwy Ockhama mówiące, że jeśli nie jest możliwe zdecydować, co jest przyczyną danego zjawiska, to najprawdopodobniej wyjaśnienie najprostsze jest najlepsze, wnoszę więc, że zwycięstwu komputera należy nadać charakter zgoła przypadkowy). Daleko, ponieważ mózg ludzki jest zbudowany z punktu widzenia funkcjonalnego z bardzo dużej liczby modułów. Co więcej, tylko mniejszość z nich może poświęcić się, jak to nazywa Lem, „eksterioryzowanej rozumności". Mimo to załóżmy, że komputer, szachista, odpowiada jednemu modułowi, to jest to nic w porównaniu do liczebności modułów w ludzkim mózgu (nic nie daje również fakt potencjalnej wyższości komputera nad człowiekiem w tempie przetwarzania informacji). Nawet jeśli wyobrazić sobie zestawienie różnego rodzaju baz danych z wielu dziedzin, to mamy tylko zestaw modułów. Cały problem w tym, aby potrafiły one wpływać na siebie, by potrafiły rozumieć się same, czyli posiadać wiedzę o własnej wiedzy. Tutaj dochodzimy do drugiego problemu. Jeśli program ma wiedzieć o własnej wiedzy, to znaczy to ni mniej ni więcej tyle, że ma on być świadomy

swojego istnienia.[5] Jak to osiągnąć nie mamy już pomysłów. Wiemy tyle, że trzeba zgromadzić ogromne bazy danych na wzór ludzkich modułów mózgowych, dalej połączyć je ze sobą, aby działały równocześnie i dostawić do tego jakiś aparat postrzegania, percepcji. No i wreszcie trzeba wszystko to skoordynować przy pomocy jakiejś, jak to określa Lem „partytury"[6]. Zadanie jak się zdaje karkołomne. Szczególnie etap drugi i czwarty. Jak bowiem stworzyć połączenia na wzór ludzkiego mózgu (co do tego, że służy on za wzór nikt nie ma wątpliwości), jeżeli ich nie znamy. O kwestii partytury już nie mówię. Pomimo tego od lat w laboratoriach informatycznych (prawdziwych, nie książkowych) próbuje się tworzyć programy i obsługujące je maszyny, które można by uznać za świadome. Wszystko to za sprawą pewnego matematyka, Turinga, który stwierdził, że maszynę można uznać za świadomą, jeśli zda ona pewien test. Polega on na zaaranżowaniu rozmowy, w której jednym uczestnikiem byłby człowiek a drugim maszyna lub drugi człowiek. Ten pierwszy nie wiedząc z kim rozmawia (jak przypuszczam rozmowa przybiera postać pisemną lub przy asyście lektora-pośrednika) ma zadając pytania stwierdzić jednoznacznie czy to maszyna czy nie. Jeśli się pomyli, wskazując człowieka jako swojego rozmówcę, oznacza to pozytywne zdanie testu. Prostota tego testu nie powoduje bynajmniej, że jest on łatwy do zdania. Na razie bowiem, nie udało się to żadnej maszynie. Oprócz wartości weryfikacyjnej daje mi test Turinga możliwość zgrabnego przedostania się z powrotem do świata literatury. Każdemu miłośnikowi fantastyki znane i najczęściej lubiane przez niego jest nazwisko Philipa K. Dicka. Ten amerykański, nieżyjący już pisarz, wśród niezliczonej rzeszy książek napisał również powieść pod jakże enigmatycznym tytułem „Czy androidy śnią o elektrycznych owcach". Nie wiem czy wtedy istniał już test Turinga, ale zbieżność jego założeń z innym testem używanym przez bohatera powieści wydaje się być nieprzypadkowa. Zanim jednak o samym teście przybliżę odrobinę fabułę książki. Akcja powieści rozgrywa się na Ziemi w niedalekiej przyszłości. Ludzie skolonizowali kosmos, przeżyli wojnę nuklearną tu na rodzimej planecie. Pozostałością po niej jest głównie bardzo uboga fauna, a co z tym związane kolosalna wartość zwierząt na rynku. Jednak technologia pomaga ludziom dając im tańsze odpowiedniki-sztuczne zwierzęta. Co więcej wielkie korporacje wytwarzają (choć nie na Ziemi) androidy bardzo podobne do ludzi, tak podobne, że tylko wyspecjalizowani „łowcy" są wstanie ich odróżnić. Wykonują to zadanie używając tzw. testu Voigta-Kampffa. Główny bohater Rick Deckard tak objaśnia jego działanie badanemu:

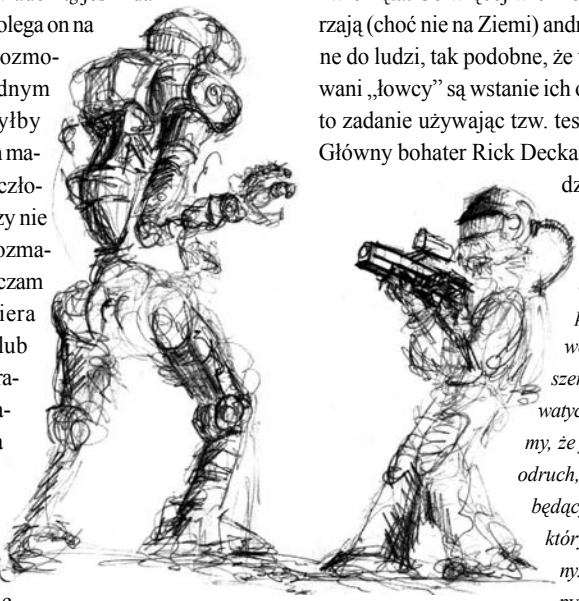

rys. Krzysztof Biszubski

-To- powiedział Rick unosząc płaski, samoprzylepny dysk z przymocowanymi przewodami sprawdza rozszerzenie naczyń włoskowatych w tkance twarzy. Wiemy, że jest to bezwarunkowy odruch, tak zwany rumieniec, będący reakcją na bodziec, którym jest wstrząs moralny. (wywołany specyficznym pytaniem przez badającego; przykład pytań w następnym cytacie- W.G.) *Reakcji tej nie można kontrolować w świadomy sposób, podobnie jak przewodnictwa elektrycznego skóry, rytmu oddechu czy też pracy serca.-Pokazał jej następny instrument, ołówkową latarkę o wąskim promieniu światła.-To z kolei rejestruje zmiany na-*

pięcia mięśni ocznych. Obok zjawiska czerwienienia się, można zarejestrować niewielkie, ale zauważalne ruchy…

-Które nie występują u androidów-skończyła za niego Rachel. [7]

Fragment objaśnia, co jest rejestrowane, lecz aby zrozumieć sens testu zacytuję jeszcze kawałek sesji pytań:

-Mam zamiar przedstawić kilka sytuacji społecznych[…]. Pani wyrazi swoją reakcję najszybciej, jak potrafi. Oczywiście będę mierzył czas..

-I oczywiście-stwierdziła wyzywającym tonem Rachel-moje słowne wypowiedzi nie będą brane pod uwagę. Jedynie reakcje mięśni oka i naczyń włoskowatych, które traktuje pan jako wskaźniki[…]

-W czasopiśmie znajduje pani całostronicowe, kolorowe zdjęcie nagiej dziewczyny[…]

-Pani mąż lubi ten obrazek-ciągnął dalej. Wskazówki w dalszym ciągu nie odnotowały reakji.-Dziewczyna-dodał-leży na brzuchu, na wielkiej, niedźwiedziej skórze.-Wskazówki pozostały nieruchome. Odpowiedź androida zauważył w duchu. Nie była w stanie dostrzec głównego czynnika-futra martwego zwierzęcia. Jej czy raczej tego umysł był skupiony na innych czynnikach.-Pani mąż wiesza obrazek na ścianie gabinetu-skończył pytanie i tym razem wskazówki poruszyły się.

-Z całą pewnością mu na to nie pozwolę-odparła zdecydowanie Rachel.[8]

Dalszy tok akcji zdradza faktycznie, iż badana jest androidem. Wymowa tego faktu jest jednak inna niż z wniosku Turinga, różni się również sam test. Aby móc dalej prowadzić rozważania musimy od tej chwili założyć, że wszystkie trudności, o jakich wspominałem uprzednio, co do możliwości stworzenia sztucznej inteligencji, czy też rozumności w ogóle, pozostawiamy li tylko jako swego rodzaju kotwicę utrzymującą nas na zadowalającym poziomie realności. Z cytowanych bowiem fragmentów powieści Dicka wynika wprost, że można zbudować androida, który jest inteligentny i świadomy. Jak by tego było mało, jest nierozróżnialny fizycznie od człowieka[9]. Poczyniwszy założenia ostrożnościowe możemy dalej rozprawiać o teście. Różni się on znacznie od swojego (jak jedynie przypuszczam) pierwowzoru. Tu nikt nie próbuje dowieść, że coś/ktoś jest maszyną, lecz że nie jest człowiekiem. Rzecz na pozór odwrócona tylko i logicznie zgodna, lecz implikacje z tych dwóch zdań są bardzo różne. U Turinga chodziło tylko o określenie, czy jakaś maszyna ma świadomość, a więc o pewne pośrednie zaświadczenie, że oto ludzkość stworzyła pierwociny swojego sztucznego potomstwa mającego szanse jej dorównać lub nawet przewyższyć[10]. W powieści Dicka mówi się otwarcie, że Andki (skrót używany przez bohaterów-W.G.) przewyższają ludzi intelektualnie, są świadome swojego istnienia, a ich jedyną słabością jest, upraszczając, brak uczuć, pozwalający właśnie na ich odróżnienie. Są świadome do tego stopnia, że, co dla mnie najciekawsze, nie zgadzają się z rolą przydzieloną im przez ich twórców. A to dlatego, że funkcjonując (boję się jeszcze użyć słowa „żyjąc") nie tyle są świadome, że zachodzą interakcje między nimi a otoczeniem. One DOŚWIADCZAJĄ tych wpływów. Można by rzec, że czerpią przyjemność z doświadczania. I tu wykraczamy poza to, co dotychczas było rozważane. Dzieje się tak prawdopodobnie dlatego, że jest to szalenie odległy wizerunek zachowania się maszyny. Lem ledwie się o niego ociera, wychodząc ze słusznego dla jego punktu widzenia założenia, jak sądzę, że zbyt wiele nieosiągalnego trzeba osiągnąć pierwej, zanim można o takim postępowaniu pisać. Mnie jednak takie możliwości fascynują. Aby móc rozpłynąć się nad nimi dokładniej, muszę dodać, że w dalszej części będę odwoływać się do filmu nakręconego w 1984 roku przez Ridleya Scota na podstawie powieści Dicka. Czynię to z tego powodu, że film, jak uważam, rozkłada napięcia w sposób bardziej interesujący. Tam właśnie uwypuklona jest kwestia pragnień androidów. Główny bohater ma za zadanie je zlikwidować, ponieważ wbrew zakazom przylatują na Ziemię. Fabuła prowadzi

do ujawnienia ich motywów oraz finałowej sceny, w której Deckard (łowca) odbywa nierówny pojedynek z androidem. To, że ten pojedynek jest nierówny nie przesądza jednak o jego wyniku. Andek udowadnia Deckardowi, że zabicie go nie stanowi dla niego żadnego problemu. Może to zrobić w każdej chwili. Jednak nie czyni tego. Dlaczego? Bo jego czas się dokonał. Jego życie obliczone na cztery lata kończy się i nikt, łącznie z konstruktorem-geniuszem, nie potrafi tego zmienić. Robot klęczy przed łowcą trzymając w dłoniach białą gołębicę i kona. Jego motywy, choć niedopowiedziane są czyste. Zazdrości ludziom tego, że mogą doświadczać wszystkiego wokół, siebie nawzajem, przez nieporównywalnie dłuższy czas niż było to dane jemu. Konając wypuszcza z rąk białą gołębicę. Symbolika gołębicy jest dość jasna. W wierzeniach słowiańskich symbolizuje ona duszę ludzką po śmierci. W chrześcijaństwie wyobraża natomiast Ducha Świętego.[11] To jednak nie wszystko, ponieważ gołąb jako ptak ma znaczenie symboliczne w wielu cywilizacjach, począwszy od starożytnych Indii i starożytnego Egiptu, po wierzenia plemion normandzkich na naszym kontynencie. Ogólnie symbolizują ptaki sublimację i spirytualizację. Oznaczają duszę, występują powszechnie w mitach i opowieściach jako nosiciele mocy niebiańskich. Są symbolami myśli, wyobraźni i szybkiego nawiązywania łączności z duchem.[12] Daje więc reżyser (w powieści ta scena nie występuje) wyraźnie do zrozumienia, że ów robot nie jest tym, z czym kojarzy nam się słowo „maszyna". Jest jeszcze coś. Przed śmiercią w pewnym krytycznym momencie pojedynku android ratuje życie Deckardowi. Specjalnie wspominam o tym dopiero teraz, by uwypuklić zamierzenia reżysera. Świadczy to bowiem dodatkowo, o występowaniu jakichś motywów, których „mechanicznymi" lub też „informatycznymi" nazwać nie można. Postępowanie takie nie jest racjonalne z punktu widzenia działania robota. On jako byt nie zyskuje niczego. Deckard nie był bowiem dla niego zagrożeniem. Wnioskuję więc, że mamy do czynienia z bytem nam równym, który należy traktować osobowo. Czy można mówić o człowieczeństwie u tego robota? Odpowiedź na to pytanie musi zostać obostrzona dodatkowymi założeniami. Czym jest bowiem człowieczeństwo? Jest to bardzo płynne określenie i w tej chwili założę, że istota postępująca bezinteresownie ma cechy owego. Z probabilistycznego punktu widzenia (a o taki podejrzewamy maszyny) nie ma powodów ratowanie życia, w żaden sposób nie mającego wpływu na dalszy bieg wypadków bytu. Motywem więc może być poczucie wspólnoty, forma empatii, współodczuwania z drugą osobą. A to już na pewno do maszyny nie podobne.

Wspominałem o poczuciu wspólnoty, jakie towarzyszyło poczynaniom robotów u Dicka. Podobna, acz tylko pod tym względem, jest sytuacja jaka ma miejsce w opowiadaniu Stanisława Lema „Polowanie" z tomu „Opowieści o Pilocie Pirxie". Wspominałem już o nim w kontekście zmian jakie dokonały się w technologii. Teraz czas wielki dotknąć warstwy fabularnej. Historia opowiedziana w „Polowaniu" dzieje się na Księżycu. Podczas deszczu meteorytowego uszkodzony zostaje android o nazwie Setaur. Jest on robotem o przeznaczeniu górniczym i jako taki, pozwolę sobie przypomnieć, wyposażony jest w laser fioletowy o wysokiej mocy. Na skutek uszkodzenia mózgu robota następuje samoistne rozbudzenie jego aktywności. Stronę teoretyczną przedstawia Lem następująco:

> *[...] wiadomo ogólnie, że wyraźnie zlokalizowane uszkodzenie małego, to jest względnie prostego mózgu czy zwykłej maszyny cyfrowej, powoduje kompletny rozpad funkcji. Natomiast im bardziej zbliżamy się w naśladowaniu procesów do mózgu ludzkiego, w tym większym stopniu taki złożony mózg staje się zdolny funkcjonować pomimo tego, że częściowo uległ uszkodzeniu. [...]Mózg Setaura[...] posiada pewien generalny napęd, motor aktywności, która może być w rozmaity sposób kierowana i kanalizowana. Otóż nastąpiło krótkie zwarcie tego centrum z uruchomionym programem destrukcji.*[13]

Stwierdza autor, że wszelakie zachowania są spowodowane li tylko uszkodzeniem. Nie mam powodu by się nie zgodzić. Lecz za chwilę kusząca okaże się pewna myśl, ale do niej później.

Setaur jak się okazuje pobudzony uderzeniem „w głowę" zaczyna wędrować bez większego celu po powierzchni Księżyca niszcząc, co tylko popadnie. Zostaje zatem naprędce sformowana grupa, która ma go unieszkodliwić. Mógłbym w tym momencie zacząć wchodzić w szczegóły polowania (skądinąd szalenie absorbujące), ale do rzeczy; przychodzi moment, w którym polowanie przeradza się w pojedynek między głównym bohaterem Pirxem a robotem[14]. W kulminacyjnej chwili inni uczestnicy polowania na robota mylą widzianą z daleka postać Pirxa (ubranego w srebrzysty kombinezon) z Setaurem i strzelają do niego. Na szczęście dla dalszych losów bohatera chybią, lecz fascynująca jest reakcja androida:

> *Upadł na wznak* (Pirx po omyłkowym strzale- W.G.)*, bo wyładowanie poszło bokiem-ale najwidoczniej w niego celowano, ponieważ ogromny rozbłysk powtórzył się w okamgnieniu i odłupał część kamiennej iglicy, która go przedtem chroniła[…]. Przekręcił się na bok i zobaczył wtedy plecy Setaura, który, nieruchomy, jak odlany z brązu dwa razy łysnął liliowym słońcem. Nawet z tej odległości widać było jak przedniemu transporterowi odwaliło całą gąsienicę razem z rolkami i kołem wiodącym[…]. Dwuipółmetrowy olbrzym popatrzał niespiesznie na leżącego człowieka, który ściskał jeszcze swoją broń, odwrócił się i ugiął lekko nogi, chcąc skoczyć na powrót tam skąd przyszedł, lecz Pirx, niewygodnie, bokiem strzelił do niego-chciał tylko podciąć mu nogi, ale łokieć zachwiał się, kiedy ciągnął za spust, i płomienny nóż rozpłatał olbrzyma od góry do dołu, tak że już jako masa żarzącego się żelastwa runął na dno rumowiska.[…]*
>
> *Uratował go Setaur-ale czy zdawał sobie z tego sprawę? Wiele razy wracał myślą do tych kilku ostatnich sekund i za każdym razem umacniał się w przekonaniu, że tamten znajdował się w miejscu, z którego mógł ocenić kto jest właściwym celem dalekiego ognia. Czy to miało znaczyć, że chciał go ocalić?*[15]

W dalszej części mówi się, że z naukowego punktu widzenia był to prawie na pewno (?) przypadek. Tak czy owak mamy zachowanie, które w jasny sposób podtrzymuje argumentację o poczuciu wspólnoty. Robot obserwował jak postać znajdująca się obok jest obiektem ataku i zaszeregował ją jako sojusznika, którego obrony się podjął. Sprawa jest o tyle ciekawa, że jako automat górniczy nie przewidywał jego program problemu przeprowadzania jakiejkolwiek walki, a co dopiero rozstrzygania czy zawieranie sojuszy jest uzasadnione, czy nie. Mamy więc kolejny przypadek postępowania, które ciężko sklasyfikować jako „mechaniczne". Wspomniałem również wcześniej, że pojawi się pewna kusząca myśl. Oto awaria, a więc pewien czynnik chaosu wpływa na urządzenie cybernetyczne przydając mu (co prawda kosztem innych) dodatkowe nie przewidziane przez nikogo właściwości. Może by więc przyjąć, że to właśnie takie zewnętrzne i w żaden sposób nie zależne czynniki mają kluczowy charakter w przekraczaniu naturalnych, jak nam się zdaje, barier między tym, co algorytmowalne, programowalne a tym, co wykracza „ponad". Być może nigdy nie będziemy w stanie stworzyć „istot" rozumnych pochodzenia mechanicznego, bo staramy się tylko zrozumieć konstrukcję i funkcje mózgu. Może to właśnie miał na myśli Lem mówiąc o „partyturze", która miałaby koordynować działania sztucznego mózgu.

Podobna, acz nie taka sama, sytuacja ma miejsce w przypadku innego opowiadania z tego samego tomu pt.: „Wypadek". Mamy tam do czynienia z Anielem, czyli Automatem Nieliniowym, który jest specjalizowanym typem robota do prowadzenia badań geologicznych o wysokim stopniu samodzielności. Jest on członkiem i głównym instrumentem badawczym małej misji badawczej na planecie, która będąc podobną do Ziemi jest w zakresie zainteresowania ludzi. Przedostatniego dnia badań na sku-

tek pewnej pomyłki robot zostaje wysłany w samodzielną misję w góry w celu powtórzenia badań. Kłopoty zaczynają się w momencie, gdy Aniel nie wraca. Ze względu na ważkość badań, Pirx z towarzyszem ruszają w góry szukać robota. Mając czujnik radioaktywności śledzi Pirx kroki robota (podeszwy jego były przesycone izotopem radioaktywnym) i zauważa, że ten nieprzypadkowo wybierał ścieżki, które stają coraz trudniejsze, wymagające dla wspinającego. Będąc doświadczonym alpinistą początkowo Pirx bez większego problemu podąża ścieżką Aniela, lecz z czasem wspinaczka przeradza się w prywatną walkę Pirxa z Naturą. Dochodzi wreszcie do momentu, w którym Pirx chcąc pójść śladem robota musi zaryzykować krok, niepewny tego czy nie zginie. Podejmuje wyzwanie i udaje mu się. Tutaj radioaktywny ślad się urywa. Rozglądając się z miejsca, do którego dotarł spostrzega szczątki robota na dnie przepaści poniżej swojej pozycji. Pomijając dalszą akcję (w której ponownie sugeruje się jakoby całe zajście było tylko awarią- w istocie bagatelizując je) istotne są przemyślenia Pirxa:

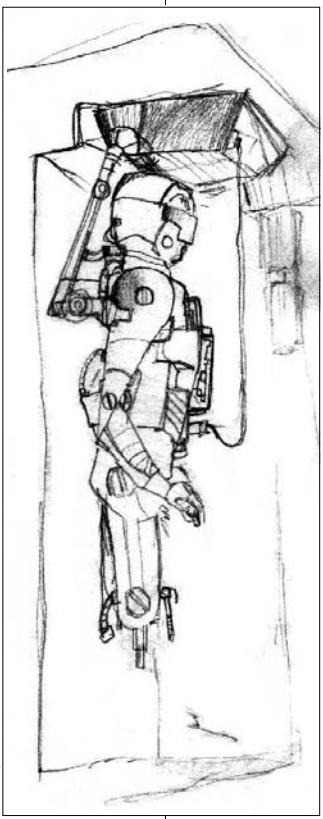

rys. Krzysztof Biszubski

Był pewien, że Aniel nie uległ żadnemu defektowi, że to, co się stało nie miało nic wspólnego z jakimiś monokryształami czy mnestronami, bo czyż on, Pirx uległ defektowi, że tak bardzo chciało mu się pokonać tę ścianę? Aniel był po prostu bardziej podobny do swych konstruktorów, niż oni byli gotowi przyznać. Kiedy wykonał już swoje zadanie zostało mu jeszcze sporo czasu do powrotu[...]. Nie tylko widział, ale pojmował otoczenie; był stworzony do rozwiązywania trudnych zadań, to znaczy do gry, a tam objawiała mu się nie byle jaka-i z najwyższą stawką.[16]

Widzimy więc kolejny aspekt interakcji z otoczeniem. Tym razem robot będąc świadomym otoczenia pragnie wypróbować swoje możliwości. Jest więc świadomy siebie i swoich ograniczeń. I ponownie nie ma żadnego powodu przypuszczać, że zachowanie takie jest pochodną oprogramowania. Nie ma bowiem nic wspólnego dokonywanie badań geologicznych z walką z samym sobą i otoczeniem. Samo więc wypływa na usta: był Aniel czymś więcej niźli tylko maszyną? Nie jest to już tak jasne jak u Dicka. Między bowiem jego androidami a Anielem zachodzą istotne różnice. Aniel ani przez chwilę nie był pomyślany jako kopia człowieka. Trudniej więc przychodzi stwierdzić, że był on ludzki w tym, co robił. Ale w żaden sposób nie przeszkadza to upierać się, że nie był w swych poczynaniach tylko maszyną.

Pozostając dalej w kręgu „przypadków" pilota Pirxa możemy zatoczyć coś na kształt koła w kierunku powieści Dicka. W kolejnym opowiadaniu pt.: „Rozprawa" mamy do czynienia ponownie w automatami, które są nierozróżnialne od człowieka. Tym razem zadaniem Pirxa jest przetestowanie ich jako członków załogi misji kosmicznej. Dostaje on do dyspozycji statek i załogę, w której skład wchodzą zarówno ludzie jak i roboty. Zabieg ten ma zapewnić obiektywizm oceny Pirxa. Jednak zaraz po wyruszeniu zaczynają się dziać rzeczy dziwne. Przychodzi kolejno do niego kilku członków załogi i, ku ogromnemu zdziwieniu pilota, część z nich twierdzi, że są ludźmi, część, że nie (sic!). Zaskakujące są tutaj motywy, jakie powodują przyznanie się

wbrew umowie, że jest się androidem:

-To całkiem proste. Działam z egoizmu. Jeśli wyda pan pozytywną opinię o „nieliniowcach", wywoła to produkcyjną reakcję łańcuchową. To jest więcej niż prawdopodobne. Tacy jak ja zaczną się pojawiać masowo…[…].Jeśli istnieję sam, jeśli takich jak ja jest dwóch czy dziesięciu, nie ma to żadnego znaczenia społecznego; zginiemy po prostu w masie, niedostrzeżeni i niedostrzegalni. Będę… będziemy mieli przed sobą przyszłość podobną do przyszłości każdego człowieka, z nader istotną poprawką na inteligencję oraz szereg specjalnych umiejętności, jaki ów zwykły człowiek nie ma[17]

Powracamy więc do momentu samoświadomości. Kolejnym stopniem dotychczas nie rozważanym staję się egoizm. Jakkolwiek by go bowiem nie rozpatrywać i oceniać (wszak egoizm jest jedną z ludzkich przywar), w tym kontekście można go uważać za cechę w wydatny sposób świadczącą o… Właśnie? O czym, człowieczeństwie? Ciężko to postrzegać w ten sposób. Człowieczeństwo jawi się nam raczej jako komplet cech pozytywnych, który czyni nas różnymi (lepszymi) od zwierząt. Jednak być może warto zrozumieć, że człowiek jest zlepkiem cech, które, gdy go porównać do zwierząt, są owszem pozytywne, ale w większości przypadków można odnieść wrażenie, że to, co nas odróżnia to właśnie samo zło. Czy zwierzętom jest znane okrucieństwo, chciwość, nienawiść? To właśnie zwierzęta można według tego rozumowania utożsamiać z androidami, które będąc bezrozumne, postępują według zaimplementowanego do pamięci programu. A że ten program, dany przez naturę jest szalenie skomplikowany i wysublimowany. Nie zmienia to faktu, że jeśli mamy do czynienia tylko z programem to nie musimy się obawiać powstania, zrodzenia się cech, których sami się boimy. Być może więc jest cała historia z wymyślaniem robotów faktycznie projekcją ludzkiej psychiki, która tak wrośnięta w ułomność świadomości szuka ucieczki w świat techniki. Próbuje tworzyć sztuczne potomstwo, jej własne jej nie wystarcza, bo nie ma na nie takiego wpływu. Tutaj, w robotyce może dać upust swoim ukrywanym często marzeniom, może uwolnić, rozładować kompleksy. Tworzy przecież lepszego człowieka, którego pozbawionego jej wad będzie mogła podziwiać i czuć się lepszą, bo naprawiła świat. Jednak ta operacja jest niebezpieczna dla samego twórcy.

Dotychczas przyzywałem w zasadzie tylko przykłady tego, że roboty upodobniały się do człowieka w taki sposób, jak jego marzenia by tego sobie życzyły. Co jeśli jednak robot uzyskuje świadomość i nie zrodzą się w jego sztucznym, lecz żyjącym mózgu czyny chwytające nasze serce, rodzące myśl: takimi byśmy chcieli być. Co jeśli robot uzna, że człowiek jest mu niepotrzebny, że przeszkadza w rozwoju własnego, nowego gatunku. Isaac Asimov zdawał sobie sprawę, że robotyka niesie ze sobą niebezpieczeństwa i sformułował Trzy Prawa Robotyki, które miałyby zapewniać, bezpieczeństwo ludziom jako twórcom nowego gatunku sztucznego życia. Brzmią one następująco:

1) Robot nie może skrzywdzić człowieka albo, przez bezczynność, zaszkodzić człowiekowi.

2) Robot musi słuchać rozkazów ludzi, chyba, że sprzeczają się z Pierwszym Prawem

3) Robot powinien chronić własną egzystencję, chyba, że wchodzi to w konflikt z Pierwszym lub Drugim Prawem.[18]

Jednak sformułowanie praw na niewiele się zdaje. Jeśli maszyna jest inteligentna, świadoma, to na pewno jest samoucząca się, czyli potrafi wpływać na siebie. Nie mamy więc żadnej gwarancji, że w którymś momencie Trzy Prawa Robotyki nie staną się dla niej tylko zbędnym balastem pamięciowym, z którego bądź to nie będzie korzystała, bądź to wręcz go skasuje (sic!).

Wszelkie, mówiąc obrazowo, hamulce, wprowadzane w sieć neuronową czy krystaliczną są względne, są do pokonania[…]. Wie pan, że robot, który by zarazem dorównywał człowiekowi, a nie był zdolny do kłamstwa, czy oszuki-

wania, jest czystą fikcją. Można produkować albo pełnowartościowe równoważniki człowieka, albo marionetki. Trzeciej drogi nie ma.[19]

To słowa, jakie usłyszał Pirx w rozmowie z przedstawicielem korporacji, która go wynajęła do testowania robotów. Zdają się one podsumowywać moje poprzednie wariacje. Trzeciej drogi nie ma.

Pojawia się jeszcze jeden motyw opowiadania, zimny prysznic dla każdego entuzjasty człowieczeństwa. Czym jeszcze dysponują (mogą dysponować) androidy, co jest dane tylko niewielu ludziom. Dystansem do naszego gatunku. Potrafią go oceniać z perspektywy obcej, bo wydającej się wrogą dla przeciętnego człowieka.[20]

Chce pan usłyszeć moją ulubioną definicję człowieka? Istota, która mówi najchętniej o tym, na czym się najmniej zna[…]Poglądy religijne i filozoficzne są konsekwencją waszej konstrukcji biologicznej, bo ludzie są ograniczeni w czasie, a chcą, w każdym pokoleniu, poznać wszystko, zrozumieć wszystko… i z tego rozmijania się wynikła metafizyka jako most łączący możliwe z niemożliwym.[21]

Widzimy więc, że pozycja, jaką zajmuje robot pozwala mu w sposób całkowicie krytyczny podejść do swoich twórców. Nie zamierzam polemizować w żaden sposób ze słowami androida. Chodziło mi tylko o uzmysłowienie, że uzyskanie świadomości może prowadzić różnymi ścieżkami i nie zawsze musi oznaczać upodabnianie się do ludzi w taki sposób jak możemy tego oczekiwać.

Wracając więc do początkowej kwestii, gdzie stwierdziłem, że roboty zdają się być projekcją wyobrażenia o sobie, chciałbym połączyć to z całą gamą przytoczonych przykładów na zachowania androidów, które budzą w nas emocje. Z jednej strony na razie możemy być spokojni niezależnie od tego, jakimi postrzegamy roboty. We wstępie bowiem jasno dałem do zrozumienia, że robot inteligentny, świadomy, a do tego jeszcze humanoid, przez długi jeszcze czas pozostanie domeną fantastyki. Dalej twierdzę, że w przywołanych prze mnie przykładach roboty zachowywały się w sposób charakterystyczny dla ludzi, co słusznie zresztą budzi jakiś podskórny zachwyt i lęk zarazem. Co do tego, że są pewnego rodzaju odbiciem ludzi, choć nie zawsze takim, jakim życzylibyśmy sobie, ale czy my jesteśmy tacy, jakimi tego sobie życzymy być? Być może teraz należałoby się zacząć zastanawiać nad motywami naszego postępowania. Sądzę jednak, że temat ten jest już bogato spenetrowany przez psychologię i na pewno osoba nie mająca przygotowania nie powinna próbować zapędzać się na tak rozległe i głębokie zarazem wody. Nie uchodzi jednakowoż bez żadnego komentarza tak kończyć, by zasiać więc ziarno niepewności, co do motywów naszego postępowania, pragnę zacytować fragment powieści Adama Wiśniewskiego-Snerga pt. „Robot":

Aby uczynić cię jak najbardziej podobnym do ludzi, wśród których przyjdzie ci działać, obdarzamy cię również imitacją wolnej woli. Znaczy to, że zamiast dawać ci każde następne polecenia dopiero wówczas, kiedy poprzednie zostanie już przez ciebie wykonane, będziemy przesyłali pod twoim adresem kilka lub nawet kilkanaście rozkazów naraz[…]. Wielokrotnie więc będziesz się musiał poważnie zastanawiać, co w danej chwili powinieneś uczynić. Taki układ zmagających się ze sobą sił psychicznych[…] nazywa się wahaniem, fakt zaś, że prawie zawsze dokonywać będziesz wyboru jednej spośród co najmniej dwu możliwości-nosi nazwę wolnej woli.[22]

Wojciech Górecki

[1] S.Lem, Fantastyka i futurologia, Interart, Warszawa 1996, s. 50.

[2] S.Lem, Opowieści o pilocie Pirxie, Iskry, Warszawa 1980, s. 223.

[3] Por. S.Lem, Fantastyka… wyd. cyt., s. 66

[4] S.Lem, Bomba megabitowa, Wydawnictwo

Literackie, Kraków 1999, s. 112

[5] Dodać należy, że świadomość jest procesem a nie stanem. Być świadomym oznacza więc postępować w nim. Co za tym idzie można mówić o zmieniającej się świadomości, można ją stopniować. I tak np. człowiek w czasie ataku epilepsji, w zależności od jego nasilenia przechodzi od stanu świadomości, poprzez jego ograniczenie aż do wyłączenia.

[6] Tamże, s.166-168.

[7] Philip K. Dick, Blade Runner, Prószyński i S-ka SA, Warszawa 1999, s. 50-51.

[8] Tamże, s. 52-53.

[9] Stwierdza się, iż możliwe jest to dopiero po długotrwałych badaniach szpiku kostnego.

[10] Pociągająca jest dla mnie w tym miejscu myśl, że być może ludzie marząc o inteligentnych maszynach objawiają coś na kształt kompleksu Boga. Czują się gorsi, bo stworzeni przez Niego, więc próbują wynieść się do poziomu boskości przez akt twórczy.

[11] Por. Juan Eduardo Cirlot, Słownik symboli, Wydawnictwo Znak, Kraków 2000, s. 140-141

[12] Por. tamże, s. 339-341

[13] S.Lem, Opowieści…, wyd. cyt., s. 224.

[14] Można zauważyć pewną zbieżność z powieścią Dicka, lecz jak sądzę ma ona li tylko taki charakter, że w sytuacjach ekstremalnych łatwiej jest wyciągnąć „prawdziwą naturę", czyli sprowokować kogoś do pewnych zachowań.

[15] Tamże, s. 250-251.

[16] Tamże, s. 284.

[17] Tamże, s. 361.

[18] S.Lem, Fantastyka…, wyd.cyt., s. 74

[19]S.Lem, Opowieści…, wyd.cyt., s. 349.

[20] Chciałbym zaprzeczyć wszelakim pomówieniom, jakobym popadł w schizofrenię. Wiem, że wszystkie słowa, jakie wypowiadają roboty w literaturze, są wymyślone przez człowieka. W tej sytuacji klasyfikuje to właśnie niektórych pisarzy do owego wąskiego grona ludzi potrafiących zdobyć się na krytykę.

[21] Tamże, s. 369.

[22] A.Wiśniewski-Snerg, Robot, Wydawnictwo Amber 1998, s. 13.

POETICON

Michał Kubik

Drzwi

nad potrzaskanymi dachami
miasta wiatr przewala po niebie lawinę
głazów chmur

pomiędzy połamanymi chwastami kolumn
z białego marmuru
biegają rude lisy
i wilki

wielkie galery nie wpłyną już
do portu
przywożąc wieści i jedwab z całego
świata
port zarósł wodorostami

nigdy nie znajdę już drogi do miasta
o dwustu bramach
po zarośniętej chwastami ścieżce nie
pędzą już
rydwany

odziane w stal i srebro legiony
nie podbiją już żadnego
państwa
na granicy zdziczałe koty bawią się
dawno zapomnianą czaszką w
zardzewiałym hełmie

odwracam się do ciebie i jeszcze drżącą
ręką
po raz pierwszy odgarniam kosmyk włosów z twojego czoła
czy zawsze gdy śpisz oddychasz tak spokojnie
pytam sam siebie

Marcin Bronhard NIEBEZPIECZNE WIZJE

Doczekaliśmy się kolejnej antologii pod redakcją niezmordowanego Wojtka Sedeńki. Jest ona już czwartą w jego dorobku, a trzecią, co widać po tytule, z cyklu „Wizji alternatywnych". Pierwsza odsłona (1990) miała ogromne znaczenie dla polskiej fantastyki, u progu wolności była pierwszą prawdziwą antologią z tekstami napisanymi na zamówienie, no i przyniosła legendarną już „Szosę na Zaleszczyki" Rafała A. Ziemkiewicza. Część drugą (1996) pamiętamy głównie dzięki dwóm znakomitym nowelom Jacka Dukaja, który od czasu wydania pierwszych „Wizji" zdążył stać się jedną z najjaśniejszych gwiazd polskiej SF. Minęło kolejnych pięć lat. I jakie są trzecie „Wizje"?

Składa się na nie osiem tekstów autorów co najmniej znanych (a głównie bardzo znanych). Rozpoczyna Wojtek Szyda „Pieśnią Adoriona". Narratorem noweli (prawie 70 stron) jest Adorion – anioł, który za miłość (mówiąc w skrócie) został zesłany na Ziemię, by żyć w ciele Ludwika II króla Bawarii. Skądinąd wiem, że postać owa fascynuje Wojtka nie od dziś. Poczesne miejsce w kręgu jego zainteresowań zawsze zajmowały również anioły, połączył więc Szyda oba tematy i napisał moim zdaniem najlepszy swój tekst. Tyle o „Pieśni", żeby nikt się nie czepiał, że wychwalam nie wiadomo jak swojego byłego Naczelnego. Jeszcze jedno – każdy czytelnik może się przekonać czy słusznie zrobił Maciej Parowski półtora roku temu, odmawiając Wojtkowi druku „Adoriona" na łamach „NF".

Drugi tekst to „MagicBox" Eugeniusza Dębskiego. Dębski jaki jest każdy widzi i trudno po nim oczekiwać jakiegoś odkrywczego, zaskakującego tekstu. Ot, solidny autor z tekstami na podobnym przyzwoitym poziomie. Sceneria wielkiego miasta, zagadka kryminalna – nie pierwszy to raz, ale muszę przyznać, że tym razem Dębski napisał opowiadanie naprawdę dobre. Znowu niby nic odkrywczego, ale to jedno z lepszych opowiadań tego wrocławskiego autora. W samym temacie pobrzmiewają echa „Kongresu futurologicznego" i „Matrixa". Dębski ma ciekawą narrację, nieźle buduje napięcie, naprawdę udała mu się końcówka. I dba o szczegóły, zwłaszcza przy oddawaniu klimatu języka funkcjonariuszy policji nie najwyższej rangi.

Kolejny wrocławski autor – Jacek Inglot – proponuje „Śpiew Szczurołapa" będący prequelem do lubianego przez czytelników cyklu opowiadań o szkolnym Inquisitorze. Tekst może nie dorównuje pierwszym dwóm częściom, ale jest lepszy od „Szóstego Słońca", które w książce trochę psuło wrażenie. Nasz znajomy nauczyciel tym razem dopiero przybywa do bliżej niezidentyfikowanego (a szkoda) wrocławskiego ogólniaka i z miejsca jak to ma w zwyczaju wplątuje się w romans i aferę o nieziemskim pochodzeniu. Nie zawiodą się ci, którzy polubili poprzednie przygody Inquisitora. Jest duża doza humoru, specyficzny Inglotowy styl opowiadania, którego (w moim odczuciu) nie da się nie lubić, piękne wrocławskie licealistki i zagadka z rozwiązaniem nie z tego świata. Miał to być w zamyśle początek powieści, nie wiem jednakże do końca co z planów wyszło, ale żywię szczerą nadzieję, że spotkamy jeszcze sympatycznego(...) polonistę na tropie spraw niesamowitych w obronie życia i moralności dolnośląskiej (jak ja!) młodzieży.

Za to mniej przypadła mi do gustu „Droga do Saliny" Mirosława P. Jabłońskiego. Może dlatego, że nie lubię „Z archiwum X", które ten tekst parodiuje. Chociaż znam takich, którzy lubią go właśnie z powodu niechęci do Muldera i spółki. „Droga" wyróżnia się tym, że napisana jest w formie scenariusza filmowego (przypomniał sobie Mirek ukończone w Łodzi studium). Ma kilka zabawnych momentów, humor jak to u Jabłońskiego bywa wyszukany, ale ogólnie i pomysł, i opowiadanie jako całość trochę mnie zawiodły.

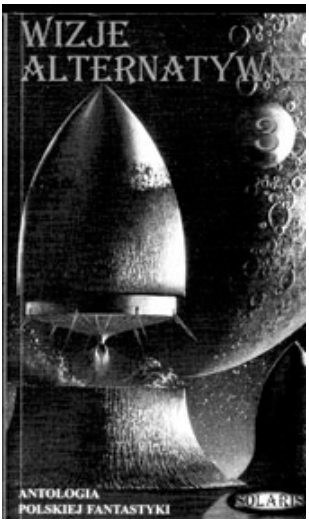

Za najsłabsze opowiadanie antologii mam „*Fantomasa* przeciwko Najwyższej Fazie Rozwoju" Jerzego Grundkowskiego, autora, o którym już bardzo dawno nic nie było słychać. Wykorzystuje Grundkowski jeden z pomysłów Lema (którego źródło w „Cyberiadzie", a nie w „Dziennikach Gwiazdowych" – patrz mój list w „NF" 6/2001) i wysyła swojego bohatera na planetę istot, które osiągnęły Najwyższą Fazę Rozwoju, czyli tak zwanych Eneferców. Ciekawe jest to, że spostrzeżenia które przed laty poczynił Klapaucjusz okazują się błędne i tylko pozorne. Opowiadanie jest na luzie i zabawne, ale wyraźnie odstaje poziomem od reszty. Mimo wszystko nie jest to tekst zły, ma po prostu silną konkurencję.

Na przykład „Sen o potędze" również zapomnianego trochę Krzysztofa Kochańskiego. Napisał tenże Kochański przed laty „Zabójcę czarownic" – jedno z moich ulubionych opowiadań lat osiemdziesiątych. I kto polubił tamten utwór, doceni i ten. Znów wprowadza autor dziwny, nieco oniryczny nastrój, miesza elementy science fiction i fantasy, a na tym tle opowiada o planecie na której grupa przedstawicieli ludzkiego gatunku dzięki swej religii posiadła dar przedłużania życia. Mam jednak Kochańskiego za takiego autora, którego nie każdy polubi z powodu ciężkiej do zdefiniowania specyfiki jego stylu. „Sen o potędze" potwierdza ten pogląd.

Kolejny autor piszący ostatnio mniej to Marek Oramus. Na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych był w polskiej SF praktycznie gwiazdą numer jeden, potem skupił się głównie na publicystyce, przypominając jednak o swojej prozie od czasu do czasu. I jak zwykle, warto na takie przypomnienia czekać. „Nocne wyścigi w głąb Anny" to tekst zaskakujący niepokojący, niejasny, zmuszający czytelnika do budowania sobie w trakcie lektury co najmniej kilku interpretacji działań tajemniczych bohaterów, które to interpretacje wszystkie okazują się chybione, gdy przychodzi do powalającego zakończenia. Chciałoby się żeby Oramus częściej pisał, choć posada szefa działu krytyki w „NF" zobowiązuje. Jednakże w zapowiedziach wydawnictwa „Solaris" jest nowa powieść i zbiór opowiadań brodatego (nie zawsze) autora. Mnie to osobiście niezmiernie cieszy, jednak wiem że są tacy, co już postawili krzyżyk na Oramusie jako pisarzu. Zobaczymy kto miał rację.

A kończy Jacek Dukaj. To on dziś w polskiej fantastyce naukowej jest numerem jeden. I „Aguerre w świcie" to tylko potwierdza. Szeroko zakrojona niesamowita wizja świata, tajemniczy zakon, wątek kryminalny, miłosny... Nic z tego. Żadnego streszczenia, żadnej recenzji. Ten tekst każdy po prostu musi przeczytać. To po prostu świadectwo ciągłego rozwoju wciąż młodziutkiego Tarnowianina.

Może jeszcze za wcześnie na takie odważne stwierdzenie, ale mam takie wrażenie, że to najlepsza pozycja w cyklu „Wizji alternatywnych". Szkoda że nie prezentuje wszystkich wielkich polskiej fantastyki (ach, gdybyż byli tu jeszcze Ziemkiewicz, Żerdziński i Sobota - i dostroili się do poziomu...) i zupełnie ignoruje rodzimą fantasy, co akurat w przypadku antologii Sedeńki nie jest niczym nowym. Jednakże to nie przeszkadza mi w poleceniu tego zbioru wszystkim fanom polskiej fantastyki. To jak na razie najważniejsza książka tego roku wydana w Polsce. Można się tylko przyczepić do redakcji. Nie są rzadkością literówki, na stronie 103 widnieje u góry nazwisko Inglota miast Dębskiego, a pierwszy akapit „Adoriona" powinien być napisany kursywą. No ale tak to jest, gdy wydaje się książkę praktycznie samemu.

Wizje alternatywne 3 - antologia polskiej fantastyki, Wyd. Solaris, Olsztyn 2001

Paweł Ostrowski

Listy od przyjaciela

Książki są tlenem kultury, dostarczają jej oddechu niezbędnego dla zdrowia i prawidłowego funkcjonowania. Ta prosta konstatacja Marka Oramusa, wypowiedziana w przedmowie do „Rozmyślań nad tlenem", powinna stać się mottem wszystkich tych, którzy zadają sobie jeszcze trud mozolnego składania liter w słowa, zdania, teksty. Dla nich wszystkich Marek Oramus wydał książkę, która opowiada o pięćdziesięciu pięciu innych książkach. „Rozmyślania nad tlenem. Przygody człowieka czytającego" zawierają obszerny wybór (połowę mniej więcej) z felietonów Marka pisanych wpierw dla „Fenixa", a później dla „Nowej Fantastyki".

Niełatwo napisać recenzję z książki, zawierającej same recenzje. Dopracował się Oramus przez lata swoistej formy, w której omawia w „Piątym piwie" kolejne dzieła. Autor radził kiedyś przyszłym recenzentom: *W recenzji pisać wyłącznie o recenzowanym dziele. Niedopuszczalne jest pisanie o sobie i swojej rodzinie, o swych bólach dusznych w zetknięciu z dziełem i planach na przyszłość. Powstrzymać się przed futurologicznym wieszczeniem czy dociekaniem, jaki też będzie los dzieła na rynku etc.* Nietrudno zauważyć, że w „Piątych piwach" Oramus łamie te reguły jedna po drugiej; nie są jednak te teksty recenzjami sensu stricto. Prędzej są to felietony, do których to lub owo dzieło dostarczyło - jak *listom do przyjaciela* - pretekstu, pomysłu, punktu wyjścia; ale to i nie do końca. Kiedy indziej powiedział Oramus o sytuacji krytyka idealnego, że *jest tylko on i dzieło przed nim na stole.* Jest to prawda o tyle, jeżeli się dopowie, że jest jeszcze świat za plecami krytyka i drugi świat - w nim. I Oramus stara się patrzeć na świat jeden i drugi przez pryzmat książki o której właśnie pisze.

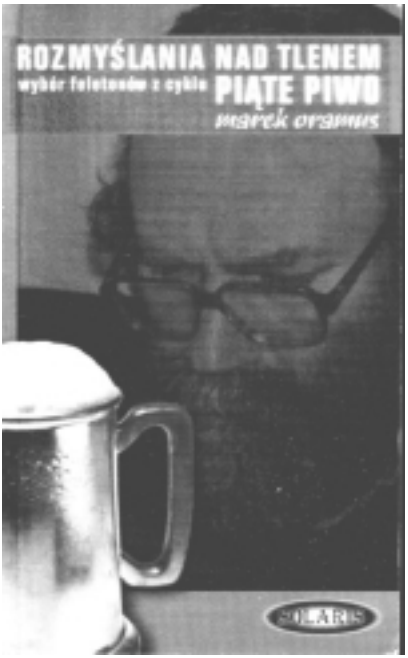

Wśród 55 omawianych w „Rozmyślaniach nad tlenem" książek znajdują się pozycje tak różne, jak „Aristoi" Williama Jona Williamsa i „Mały wielki człowiek" Thomasa Bergera. Nie wszystkie dzieła, o których Oramus pisał w „Piątym piwie", przynależą do wąsko pojmowanej fantastyki, lecz bezsprzecznie dominuje w wyborze science fiction - świadectwo zainteresowań i kompetencji autora. Personalnie, gdyby kogoś to interesowało, wygrywają Philip K. Dick, Kurt Vonnegut i A.B. Strugaccy, umieściwszy w zestawieniu po trzy tytuły. Niezłe pojęcie o przywoływanych przez Oramusa osobistościach daje też przestudiowanie indeksu przywoływanych nazwisk - tutaj Pan Bóg o włos wygrywa ze Stanisławem Lemem. Ważniejsze oczywiście, co i jak pisze Oramus o omawianych tytułach; chwali je, zachwyca się nimi, podaje konteksty i skojarzenia, czasem kłóci się z autorami albo lży ich bez zmiłowania. Dowiadujemy się, co się Oramusowi

pomyślało po przeczytaniu tego lub owego, co ma Tuwim do Dicka, a niedoszły rejs po zalewie w Chorzowie z „Porą deszczów" braci Strugackich. Wartość tego subiektywizmu taka, że każdy czytelnik może sobie wspomnieć i skonfrontować swoje z danym dziełem przygody, po których jednak niespostrzeżenie przechodzimy do warstwy merytorycznej. I tutaj nienachalnie, bo wciąż w swoim stylu, prezentuje Oramus interpretacje, literackie i naukowe odniesienia. Nie ze wszystkim trzeba się od razu z Oramusem zgadzać; jeżeli jednak to lub owo „Piąte piwo" ukaże czytelnikowi określone dzieło w nowym świetle, autor osiągnął swój cel.

„Rozmyślania nad tlenem" niekoniecznie nadają się do ciągłej, *linearnej* lektury, gdyż w takim wypadku mogą znużyć czytelnika te same grepsy, chwyty, narzekania. Trudno jednak spodziewać się czego innego po wyborze tekstów tego samego autora, pisanych na przestrzeni lat dziesięciu. Sa upodobania, frustracje i obawy, które siedzą w człowieku trwale, tedy i często daje się im upust. Lepiej chyba sięgać po te książkę wyrywkowo, a często, otwierając na chybił trafil, albo i szukając po indeksie. Jeszcze lepiej zaś zapoznać się z dziełami w niej omawianymi osobiście, a potem pozwolić gadać o nich Oramusowi. I tak używane „Rozmyślania nad tlenem" rychło się staną naszym wyposażeniem osobistym.

Marek Oramus *Rozmyślania nad tlenem. Przygody człowieka czytającego.* Wyd. Solaris, Olsztyn 2000

EPITAFIUM

DOUGLAS ADAMS OPUŚCIŁ WSZECHŚWIAT

12 maja w Santa Barbara w Kalifornii w wieku 49 lat zmarł na atak serca Douglas Adams, jeden z najbardziej oryginalnych autorów w historii science fiction. Zasłynął pięcioksięgiem o ko(s)micznych podróżach Artura Denta (*Autostopem przez galaktykę, Restauracja na końcu wszechświata, Życie, wszechświat i cała reszta, Cześć, i dzięki za ryby, W zasadzie niegroźna*), który przedtem był cyklem słuchowisk radiowych, a potem stał się także serialem telewizyjnym i filmem długometrażowym. Oprócz tego jest autorem dwóch książek o detektywie Dirku Gentlym (*Holistyczna agencja detektywistyczna Dirka Gently'ego i Długi, mroczny podwieczorek dusz*), napisanej wspólnie z przyrodnikiem Markiem Cawardine'em *Ostatnia okazja, by ujrzeć*, opisującej podróże obu panów w poszukiwaniu ginących gatunków fauny, oraz nieprzetłumaczalnej *The Meaning of Liff*.

Mistrzowska umiejętność łączenia nieposkromionej fantazji i angielskiego humoru z filozoficzną refleksją pozwalała niekiedy widzieć w Adamsie niesfornego brata-bliźniaka Philipa K. Dicka. W odróżnieniu od tego ostatniego traktował jednak namacalną rzeczywistość jako obowiązującą, zaś fantastyczne podróże jako sposób nabrania dystansu do owej rzeczywistości i dobrą zabawę. Będzie nam go brakowało w galaktyce.

CZEŚĆ, I DZIĘKI ZA RYBY!

(IM)

Krzysztof Głuch

Tkanka fantastyki

Gdzie ona jest? Gdzie jest fantastyka? Czym jest polska fantastyka na tle współczesnej polskiej literatury? Dobrze wiemy, że rozpisuje się o tym wielu (nawet w tym numerze IP znajdziecie takie teksty). Podejścia do fantastyki, jak też dobrze wiemy, są różnorakie. Dla fanek Herlinga-Grudzińskigo (więcej wysublimowania) albo Coehlo (mniej) fantastyka jest lekceważonym przez nie undergroundem (chociaż autorzy ci korzystają z fantastyki w swojej prozie). Dla fantastów natomiast, ich ulubiona proza to oblężone getto, które, będąc niekochanym przez resztę świata, prezentuje dla wielu z nich o wiele wyższe wartości niż główny nurt. Spostrzegam, że bardzo trudno jest być uwrażliwionym na wszystkie rodzaje literatury. Fantaści także bardzo często zamykają się na to co poza fantastyką. Nikt nie ma obowiązku być wszechstronnym czytelnikiem, ale kiedy pragniemy czynić analizy, a wielu ma do tego ciągoty, wypada być oczytanym.

O Pawle Duninie-Wąsowiczu słychać wiele już od dawna. Krytyk ten postawił sobie zapewne za cel stać się „człowiekiem od współczesnej polskiej literatury" i choć wielu stara się dziś takimi być, jemu zdaje się, wychodzi to najlepiej. Jednym z ważniejszych dokonań w tej dziedzinie była i jest promocja, za pomocą wydawnictwa i czasopisma *Lampa i Iskra Boża,* polskiej młodej poezji. Młoda polska poezja zdaniem wielu (moim poniekąd również) raczej nie istnieje, stąd zadanie jej promocji jest raczej trudne. Tytuł wydanej przez niego antologii tejże poezji – *Macie swoich poetów* mówi wiele. Moje skromne miasto zawdzięcza mu wydanie zbioru *Lubelscy sentymentaliści*; książką tą Dunin-Wąsowicz wykazał, że nie promuje wyłącznie współczesnej bełkotliwej poezji, ale także „sentymentalne wiersze z rymami". Wydawnictwa Dunina-Wąsowicza okazują się życiowo ważne dla różnych ludzi. Dla przykładu Krzysztof Varga w swoim książkowym debiucie *Zanim umrę* wyznaje, że przed śmiercią pragnąłby przeczytać wszystkie wiersze Jacka Podsiadło. Realizację tego pragnienia ułatwił mu Dunin-Wąsowicz wydając *Wiersze zebrane* tego autora. Za najbardziej natomiast trwałe swoje osiągnięcie uważa krytyk wypromowanie słowa „banalizm", oznaczającego literaturę celowo nieinteresującą (mam nadzieję, że po IP nie zostanie jedynie wypromowana literatura niecelowo nieinteresująca).

Tyle o doniosłości działań Dunin-Wąsowicza. Zasłynął on jednak, zdaje się najwięcej, także u fantastów, współtworząc z Krzysztofem Vargą *Parnas Bis*, czyli przewodnik po współczesnej polskiej literaturze (doczekał się on kontynuacji). W przypadku fantastów była to raczej zła sława. Niekompletna, źle dobrana lista autorów, świadczyła o tym że autorowi brakuje jeszcze elementarnego oczytania, jakim wykazuje się mało uważny lecz regularny czytelnik *Fantastyki.* O ile pamiętam, zestaw nazwisk i obszerność omówień były i tak o niebo lepsze niż na przykład u Czaplińskiego i Śliwińskiego w *Literaturze polskiej 1976-78* (szkoda o tym incydencie języka strzępić).

Za dość pokaźny krok do przodu można uznać książkę *Oko smoka – literaturę tzw. pokolenia „brulionu" wobec rzeczywistości III RP.* Tytuł mówi o zawartości bardzo wiele. Dunin-Wąsowicz stara się pokazać wszystkie miejsca w młodej literaturze, gdzie autorzy piszą coś o rzeczywistości społecznej i politycznej Polski. Celem tego jest „dostarczenie materiału dowodowego przeciwko głosicielom tez o absolutnym oderwaniu twórczości trzydziestolatków od życia społecznego swej ojczyzny". Zastanawia użyte w tytule sformułowanie „tzw. pokolenie brulionu". Autor bowiem zajmuje się zarówno tekstami rockowych piosenek, jak i książkami SF, a te z „bruLionem" miały niewiele wspólnego (znane mi związki fantastyki z „bruLionem" polegają na tym, że w nazwie naszego fanzinu „deZinformator", środkowa litera „z" jest duża, tak jak „l" w „bruLionie").

Właśnie ten rozrzut opisywanych zjawisk uważam za największą cnotę tego krytyka. Jego spojrzenie na literaturę wydaje mi się wyjątkowe. Podczas gdy większość ludzi myśli kryteriami „główny nurt - getto", on proponuje inne szufladowanie: „Chciałbym widzieć literaturę polską jako **jeden wielokomórkowy organizm** a nie wypreparowane przez klikę krytyków towarzystwo wzajemnej adoracji rzekomo oddające się wysokoartystycznej poezji i prozie." To właśnie spojrzenie uważam za właściwe. Wielu ludzi jest wrażliwych zarówno na prozę Jacka Dukaja, wiersze Jacka Podsiadło jak i piosenki Kory Jackowskiej. Serce ludzkie te nieprzystające do siebie rodzaje słowoklectwa odbiera tak samo, tak

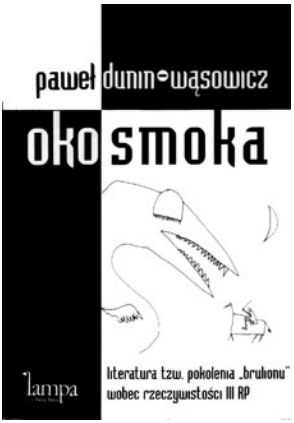

samo pobudzają, wzruszają, i tylko podejście krytyczne może prowokować do podziałów, stanowiących, że jedna literatura jest godna, a o drugiej nie należy się wypowiadać. Nie chcę równać walcem po literaturze, istnieje w niej i plebs i arystokracja Należy jednak każdej rzeczy pisanej przyglądać się uważnie, bez względu na jej podłość, jeżeli chce się zrozumieć całą literaturę. Obok głównego nurtu, ważne są brzegi, rozlewiska, zawirowania.

Książka nie jest obszerna, jednak czytając ją nie spostrzegłem, żeby jakiś autor, jakieś omówienie krytyczne było pominięte. Myślę, że Dunin-Wąsowicz na chwilę obecną jest jednym z bardziej zorientowanych ludzi w polskiej młodej literaturze. Stać go nawet na oryginalny wkład w krytykę fantastyki, o czym za chwilę.

Obok rozważań nad stanem wiedzy polskiej krytyki, eseju o rzeczywistości polskiej w tekstach polskich piosenek rockowych, oraz w banalizmie, jądrem książki są rozważania nad prozą dzisiejszych 30-latków. Wyróżnił on trzy stanowiska jakie zajmują „młodzi" autorzy wobec ojczystej rzeczywistości. Jak zauważył też, od nastawienia autora zależy też sposób uprawiania przez niego literatury, czyli treść determinuje formę.

Tak więc stanowisk jest trzy:

1. **Liberałowie** (przeciw nikomu, jak pisze Dunin-Wąsowicz), akceptują oni porządek rzeczy, unikają opisywania rzeczywistości społeczno-politycznej. Postawa ta dominuje w prozie realistycznej. W tym miejscu omówień pod kątem zaistnienia rzeczywistości doczekały się książki Krzysztofa Vargi, Andrzeja Stasiuka, Cezarego Domarusa, Marka Kochana i Piotra Siemiona

3. **Romantycy** (przeciw niektórym) – „zawiedzeni, węszący spiski i głodni czynu". Przeważnie są to miłujący tradycję konserwatyści, niechętni demokracji i liberalizmowi. Tu zdecydowanie króluje fantastyka. Pisarze których proza została tu zakwalifikowana to Kołodziejczak, Ziemkiewicz, Dukaj, Lewandowski, Regalica, oraz mniej znany Maciej Lepianka – autor historii alternatywnej *I w następnym dniu*, będącej bliźniaczym odbiciem *Xawrasa Wyżryna,* też alternatywna historia Polski, i wydana w 1997. To wydaje się dosyć kompletny zestaw. Przychodzą mi na myśl inne teksty, ale trochę późniejsze – *Zabity, Wampiry z Odrzykońskiej, Nocne wyścigi w głąb Anny, Bomba Heisenberga* i kilka innych. Autorzy tych tekstów (Kres, Komuda, Oramus, Ziemiański) nie zostali wymienieni, a teksty jak najbardziej dotyczą naszej rzeczywistości społeczno-politycznej.

3. **Anarchiści** (przeciw wszystkim) – kontestują cały system społeczny. Literacko mamy tu do czynienia najczęściej z groteską, czasem fantastyką. Główne nazwiska tutaj to Vonnegut-Praszyński oraz o dziwo Aleksander Olin , czyli postać z naszego podwórka.

Jeszcze garść uwag skreślonych na marginesie. Po pierwsze wymknęło się panu Dunin-Wąsowiczowi, że fantastyki nie piszą niestety kobiety (str 44, 2w.od góry). Być może miał na myśli SF, ale dla porządku przypomnę o Ewie Białołęckiej, Annie Brzezińskiej, Antoninie Liedtke i Mai Lidii Kossakowskiej. Inne nazwiska też się pewnie znajdą, ale nie rozdrabniajmy się.

Drugą nieścisłością jest zdanie (str 44) „Dopiero w ostatnich dwu latach doszło do nieśmiałych zbliżeń tych dwóch obiegów – myślę o (...) zdumiewająco merytorycznej recenzji powieści Ziemkiewicza *Walc stulecia* pióra Wojciecha Orlińskiego." Dunin-Wąsowicz widać nie zdawał sobie sprawy, że Orliński jest osobą jak najbardziej związaną z fantastyką, autora *Śnieżki*, która jak najbardziej winna być zanalizowana w *Oku smoka*, gdyż niczym innym, jak rzeczywistością społeczno-polityczną, się nie zajmuje. Nawiasem mówiąc to zapomina Dunin-Wąsowicz także o Kindze Dunin, krytyczce głównonurtowej, która fantastyką się para i pisze o niej bardzo wiele (swoją drogą jej powieść *Tabu* także tematycznie odpowiada *Oku smoka,* i ma już ze trzy lata, widać Dunin-Wąsowicz uznał *Tabu* za grafomaństwo i pewnie miał rację). Zapomina też Dunin-Wąsowicz o tym, że fantastyka istnieje także na uniwersytetach (w Poznaniu, Gdańsku, Lublinie), ostatnio także wiele pisarzy głównonurtowych (choćby Miłosz, Tokarczuk) wypowiada się o fantastyce. W końcu mamy też Lema, który bryluje po wszelkich

salonach i opowiada wciąż to samo a wszyscy wokół niego robią wrażenie, że przeczytali za młodu wszystkie jego książki. Tak więc fantastyka przeplata się z pozostałą literaturą i trzeba dodać, że Dunin-Wąsowicz ma w tym niemały udział.

Mój subiektywny sprzeciw budzi także zachwyt Dunin-Wąsowicza nad faktem, że Krzysztof Varga w powieści *Chłopaki nie płaczą* adoruje starego punk rocka i współczesny britpop. Reszta muzyki jest uznana za złą i obcą i słuchają ją „technopedały" Punk rock niech będzie ale ten britpop?! Panie Dunin Wąsowicz, myślę że zespoły typu Sleeper, Oasis, Suede nie nadają się na konserwatywny bunt, są często wytworem komercji i słuchają ich ci pogardzani przez Vargę młodzi i oczywiście ta muzyka jak najbardziej kojarzy się z homoseksualistami. Jeżeli dla Krzysztofa Vargi „ojczyzną jest brytyjska muzyka gitarowa" to przecież było (!) Radiohead, Led Zeppelin, Black Sabbath, Deep Purple, gra Iron Maiden itd.

Tyle moich uwag. Za niesamowicie ciekawą natomiast uznałem „bardzo karkołomną interprertację *Pieprzonego losu kataryniarza"*. Dunin-Wąsowicz stwierdza, że „powieść ta jest próbą fabularnego rozpisania *Przesłania Pana Cogito* Zbigniewa Herberta". Otóż w jednej ze scen Robert „ogląda w lustrze swoją błazeńską twarz". Cyberprzestrzeń to ciemny kres, w którym można zdobyć złote runo nicości. Scena z Powstania Styczniowego to legenda, którą należy powtarzać. Robert jest odważny, ma pogardę dla szpiclów i nie przebacza im, broni Polski będącej królestwem bez kresu i miastem popiołów. Jest jej wierny – idzie. Wydaje mi się ta interpretacja nie taka karkołomna i z pewnością świadczy o uważnym spojrzeniu Dunin-Wąsowicza. Do takich wniosków prowadzić może tylko wszechstronność, jakiej czasami brak zarówno fantastom jak i innym.

Dunin-Wąsowiczowi marzy się traktowanie literatury bardzo szeroko. Jednak jego rozważania zupełnie pomijają komiks, film, oraz teatr. Czy nie jest to literatura? Każda z tych trzech sztuk reagowała na rzeczywistość wsółczesną Polski, często nawet zbyt doraźnie. Poznanie tych sztuk wymaga, żeby przysiąść fałdy, ale nikt nie mówi, że jest „letko".

Paweł Dunin-Wąsowicz, *Oko smoka – literatura tzw. pokolenia „brulionu" wobec rzeczywistości III RP,* Wyd. *Lampa i Iskra Boża,* Warszawa 2000.

PLANETARIUM

Jaka będzie polska fantastyka, pierwszej dekady XXI wieku ?

Konrad T. Lewandowski

POWRÓT DO GETTA

Każdy ruch, każda idea i przedsięwzięcie ma czas swoich narodzin, młodości, rozkwitu i zamierania. Polska fantastyka znajduje się obecnie w stanie przekwitania i przejrzewania. W pierwszej dekadzie tego wieku powróci do stanu z którego wyszła, czyli stanie się literaturą rozrywkową dla młodzieży, bez większych ambicji. Staniemy się tym, czym główny nurt od dawna chce nas widzieć – kulturowym gettem. Dlaczego?

Upadek zaczyna się najpierw od negatywnego myślenia. Od kilku lat obserwuję jak młodzi fandomowi publicyści odmieniają w swoich tekstach słowo „getto" przez wszystkie możliwe i niemożliwe przypadki. Upajają się tym wyrazem z satysfakcją, z jakąś wręcz masochistyczną rozkoszą.

Widzę w tym najistotniejszą pokoleniową różnicę pomiędzy twórcami urodzonymi w latach 60. oraz tymi z lat 70. i później. Ja w wieku około lat 25 za słowo „getto sf" w ustach głównonurtowca byłem gotów dać w mordę, a w każdym razie stawałem się bardzo asertywny. Potem np. taki Krzysztof Mętrak wypłakiwał się w mankiet czytelnikom „Filmu" nr 11/1993 (felieton „W oblężonej twierdzy") jak to do redakcji „Literatury" wpadł mu „brodaty młodzian": „Jako wieloletni redaktor pism literackich, stykałem się już najrozmaitszymi, zaczerniającymi papier dziwakami i zdawało mi się, że już nikt i nic mnie zaskoczyć nie zdoła" (...) „po 27 latach kariery redaktorskiej poznałem pierwszego faceta, który przyszedł do pisma nie po to, by coś wydrukować, ale po to, by

wyznać, że drukować nie ma najmniejszego zamiaru, a przy okazji redaktorów zwymyślać". Mowa tu oczywiście o jednym z niecnych wyczynów Przewodasa. Tak to się, proszę dziatek i młodzieży, honoru polskiej SF drzewniej broniło... Teraz, kiedy głównonurtowcy zaczęli się już krzynę liczyć ze słowami, wyręcza ich fandomowy narybek, niekiedy nawet narybek całkiem już podrośnięty. Smutek.

To, co zaczyna się od myśli i słów, kończy się na czynach lub zaniechaniach. Kiedy skakałem do oczu Mętrakowi byłem obywatelem imperium SF, które zawojowało obszar literatury współczesnej, definiowało rzeczywistość i wyrywało się do gwiazd, Absolutu, czy choćby tylko ku lepszym, fajniej napisanym tekstom. To była moja racja moralna, broń ideowa, czy jak to tam zwać. Ja, autor SF miałbym ukorzyć się przed zapijaczonym redaktorkiem z dotowanej enklawy bełkotu?

Widać czasy dumy, może durnej i chmurnej, ale jednak dumy przeminęły. W najbliższych latach przyjdzie przyznać rację Mętrakowi: „większość tych niedopisarzy uprawia SF, ponieważ idą na łatwiznę. Wyświechtane konwencje, wytarte schematy i standardy, pozwalają tu na popisy rozpasanego gadulstwa. Często wystarczy byle jaki pomysł by snuć resztę do woli. Nie liczy się ani logika zdarzeń, ani prawdopodobieństwo psychologiczne, ani znajomość realiów, ani jakość językowa itd."

Osiem lat temu były to słowa głęboko bzdurne i niesprawiedliwe. Dziś wydają się prorocze. Wystarczy wziąć do ręki nowy miesięcznik „Science fiction" i poczytać Falzmana. Do takich autorów należy przyszłość.

Negatywne gettowe myślenie niszczy ambicję i odwrotnie: niskie ambicje rodzą myślenie gettowe. W drugiej kolejności polską SF zabija brak współzawodnictwa między autorami. Kiedyś pisało się opowiadania i powieści trochę na zasadzie: „poczekaj zając!, jak przeczytasz to ci kapcie spadną!" Dawną rywalizację zastępuje miłe ciepełko towarzyskich układzików. Zamiera krytyka, zastępuje ją instytucja świętych krów. Zarzuciłem ostatnio Dębskiemu seniorowi że jest grafomanem. Ów zamiast siąść i napisać dzieło na „Zajdla", po którym musiał bym wleźć pod stół i odszczekać, obraża się śmiertelnie, umieszcza mój adres w „kilfajlu", a PPJ dla świętego spokoju cenzuruje w „Informatorze GKF" moją krytykę. Żałosne, ale symptomatyczne.

Trzecia przyczyna powrotu do getta to brak sprzeciwu. Nikomu paranoja nie przeszkadza. Parowski skompromitował się do imentu w sprawach Brzezińskiej i Liedtke, ale nadal jest podejmowany na konwentach, ludzie słuchają z uwagą jego wypowiedzi, a gdy opowiada o tym jak dobiera opowiadania według swego „gustu" sala nie ryczy ze śmiechu. Grafoman Dębski kieruje przyznawaniem nagród za profesjonalizm literacki, a kiedy Przewodas wrzeszczy, że król jest nagi, to się go knebluje.

Myślałem, że dobiegając czterdziestki będę się desperacko oganiał od ambitnych debiutantów i konkurentów. Tymczasem nic z tego. Jedyne na co mogę liczyć to propozycja „spierdalania w radosnych podskokach", jaką na łamach „Miesięcznika" ŚKF złożył mi Jego Świątobliwość Autorytet Moralny Rafał A. Ziemkiewicz. W takich warunkach nie będzie dobrej fantastyki. Nikomu nie będzie się „chciało chcieć" – ani autorom pisać lepiej, ani czytelnikom przyzwyczajonym do tandety więcej wymagać. Mieliśmy w latach 90. „złoty wiek" polskiej fantastyki. Było minęło. Propozycja spierdalania wygląda zatem kusząco. Dalsze przebywanie w tym towarzystwie grozi spotkaniem upiora Mętraka, a zapachu siarki nie lubię.

Paweł Ostrowski

Historia kołem się toczy
(kto się boi niech wyskoczy)

Mało jest w fantastyce naukowej tak nośnych, a jednocześnie tak ogranych pomysłów jak historie alternatywne. Dzieje się tak zapewne dlatego, że autorzy pisujący alternatywne historie wykorzystują zupełnie naturalną i powszechną ciekawość - pasję nawet - dociekania, co by było, gdyby... Wprawdzie gdyby babcia miała wąsy, to by była dziadkiem, a może nawet wojewodą, lecz historie alternatywne wykorzystują naszą ciekawość szlachetniejszej niejako natury, a z pewnością mającą bardziej intelektualne podłoże. Każdy mieniący się człekiem inteligentnym, ba, samym inteligentem nawet, cokolwiek o historii wiedzieć powinien. Tedy i myśl, co by się tam mogło dziać, gdyby bieg wypadków historycznych potoczył się inaczej, każdemu czytelnikowi – fantastyki zwłaszcza, gdyż predyspozycje i przygotowanie nasze w tym kierunku idą mocniejsze – przy lekturze tego lub owego historycznego dzieła prędzej czy później się nasuwa. Ale i poza kręgiem zagorzałych miłośników fantastyki historie alternatywne znajdą czytelników, gdyż przy założeniu posiadania przez odbiorcę jakiego takiego dziejowego obycia, jest to odmiana fantastyki łatwa w odbiorze i nietrudna do zrozumienia.

Zagadnienia definicyjne idą w rozmaitych kierunkach. Niepotrzebnego chyba dzielenia włosa na czworo dokonuje prof. Antoni Smuszkiewicz w „Leksykonie polskiej literatury fantastycznonaukowej", wyróżniając za wcześniejszymi badaczami *fikcyjną historię,* która dzieli się z kolei na *historię przyszłości* i *historię alternatywną*. W tym ujęciu fikcyjna historia skupia się na procesie historii, „podporządkowuje zainteresowanie jednostkami zainteresowaniu sprawami tak dalece, iż nie jest już historią kilku czy kilkunastu osób, lecz całego narodu lub całej ludzkości." Z kolei sama historia alternatywna to „fikcyjny przebieg zdarzeń dziejowych w mniejszym lub większym stopniu zbliżonych do faktów znanych z autentycznej historii. Mechanizm historii alternatywnej polega na pokazywaniu innych wariantów procesu historycznego, zapoczątkowanych wydarzeniami fikcyjnymi, które aczkolwiek możliwe, w istocie się nie ziściły. (...) Celem owych zabiegów – poznanie ukrytych sprężyn, napędzających proces dziejowy." Natomiast właściwym według Smuszkiewicza określeniem utworów, którymi będziemy się tutaj zajmować, jest *powieść historyczno – fantastyczna,* który to termin poznański uczony wprowadza za Teodorem Parnickim. Powieść fantastyczno – historyczna zachowuje „podstawowe wyróżniki powieści historycznej z równoczesnym wprowadzeniem w obręb świata przedstawionego faktów celowo przeinaczonych, niezgodnych z prawdą historyczną po to, aby na ich podstawie śledzić mechanizmy rozwoju procesu historycznego."

Są to uwagi o tyle cenne, że pozwalają spojrzeć na historie alternatywne z właściwego kąta – jako odmianę prozy historycznej po prostu. Motywacja fantastyczna utworu, lub mówiąc grubo, element fantastyczności dzieła po prostu, sprowadza się do niezgodności pomiędzy przebiegiem historii rozpoznanym przez odbiorcę jako „prawdziwy", „istniejący rzeczywiście", a przedstawionym w utworze literackim. Postępowanie bohaterów odpowiada zatem kryteriom racjonalności, a wydarzenia pojawiające się w akcji utworu zachowują wszelkie prawdopodobieństwo w oparciu o to jedyne uzasadnienie, że przebieg historycznych wypadków poszedł w przeszłości świata przedstawionego utworu inaczej niż w naszym świecie.

Podkreśla ten fakt w swojej encyklopedii Peter Nicholls, sprowadzając historie alternatywne do pojęcia „światów alternatywnych": „An alternate world (...) is an account of Earth as might it have become in consequence of some hypotetical alteration in his-

tory." Nicholls zauważa także historyczne tendencje w tej prozie, piszac, iż "Most subsequent sf stories in this vein have tended to skip lightly over the detailed process of historical development to examine alternative presents, but sf writers with a keen interest in history often devote loving care to the development of imaginary pasts (…). Early genre sf-stories of conflict between alternate worlds tend to assume that our world is better than most of the alternatives. (…) The idea that our world might have turned far better than it has is more often displayed by ironic satires(…)".

Rozróżnienie pojęcia historii alternatywnej jako „fantastycznej historiografii" a odmiany prozy naukowej w swoich fundamentach dotyka zagadnienia asercji autora wobec treści dzieła jako ewentualnego wyróżnika literatury pięknej w ogóle. Sprowadzając rzecz do kwestii praktycznych zauważyć wypada, że współcześnie historii alternatywnych w węższym rozumieniu - prof. Smuszkiewicza - nikt z historyków nie pisze, choć niektóre dzieła starsze, zawierające niejako historii alternatywnych zapowiedzi – mam tutaj na myśli „Historię Polski w zarysie" Michała Bobrzyńskiego, historyka szkoły krakowskiej – mogą dostarczyć znakomitego źródła pomysłów. Z drugiej niejako strony – od powieści – nierzadko zdarzają się takie, gdzie (jak pisze Nicholls) pasje historyczne autorów skłaniają ich do skupiania się właśnie nad drobiazgowym przedstawieniem przebiegu historii. Tak na przykład Otto Basil w znakomitej „Brunatnej rapsodii" każe głównemu bohaterowi namiętnie słuchać radiowych audycji, tudzież wczytywać się w rozmaite nazistowskie okólniki i komunikaty; nietrudno wyobrazić sobie ciąg utworów literackich o takim nagromadzeniu apokryficznych dokumentów cytowanych w tekście, że pozorna granica ulegnie całkowitemu zatarciu. I faktycznie, napisana została przez Chrystiana Skrzyposzka „Wolna trybuna". I co z tym faktem począć?

Co więcej, na tym tle wypadnie zauważyć, że można pisać historie alternatywne mimochodem i bezintencjonalnie. Po pierwsze, możliwy jest przypadek taki, że autor, zasiadający do pisania powieści historycznej, popisze się niechlujstwem w przygotowaniach do pracy. Tak tedy napisana przez niego powieść odbiegać będzie w przedstawionych wypadkach od tak zwanej prawdy historycznej. Żmudna dłubanina w tekstach źródłowych odstrasza wielu, stąd też, jak mniemam, bierze się zauważalna mnogość tekstów fantasy. Wobec ogromu wiedzy do przyswojenia, przetrawienia i wreszcie przelania na papier, konwencja fantasy to wygodny trick, obiecujący łatwiejszą drogę w postaci zmyślenia sobie całego świata od nowa. O tym, że ucieczka to pozorna, przekonują od lat spotkania autorskie Feliksa W. Kresa, gdzie Kres opowiada już to o budowie karaki, już to o bitwie pod Grunwaldem. Na to, co Panu Bogu zabrało sześć dni, autorowi potrzeba jednak lat, co trzeba bezwzględnie twórcom fantasy na każdym kroku przypominać. Niezasłużoną przewagę pisarzom (pseudo)historycznym nad autorom fantasy zapewnia fakt, że aby wykryć autorskie lapsusy bądź zgoła kompromitacje czytelnikowi niezbędna jest solidna (sc. lepsza od pisarza) wiedza historyczna. Gruntowne przerycie dostępnych źródeł też nie wyklucza popełnienia historii alternatywnej; nawet *bona fide* autor może naciąć się na rzekomo rzetelnej wiedzy sprzedawanej przez poważnych nawet historyków. Herodot nie tylko historii był ojcem, ale i kłamstwa. Prozaik może więc spodziewać się i takiej przykrości, że nowsze badania historyczne wywrócą na nice te, którymi kierował się w swojej pracy. I co z takim fantem począć? Domagać się przełożenia dzieła na półki z fantastyką? Trzeci przypadek to taki, gdy autor przymierza się do pisania tzw. fantastyki bliskiego zasięgu i tworzy; przychodzi zapowiedziany termin, i nic, co z takim mozołem się zmyśliło, nie okazuje się prawdą.

Przypadłość to osobliwie częsta wśród autorów technothrillerów. Niejedną książkę napisano o milenijnej bombie, a jednak narowisty pecet, na którym piszę ten artykuł, obficie instalując sobie w organizm rozmaite toksyny, zawiesza się akurat tak samo często, jak dwa lata temu. Swego czasu popularne były na Zachodzie powieści opisujące trzecią wojnę światową, z „Czerwonym sztormem" spółki Clancy & Bond na czele. I co? „Póki co, trwamy". Związek Radziecki chwalebnie zdechł i najczarniejsze scenariusze zmieniły kategorialną przynależność; inna sprawa, że jeżeli chodzi o ocenę militarnych zdolności Sowietów z przyległościami, do których niestety wypada liczyć Ludowe Wojsko Polskie, oceny zachodnich analityków miały zwyczaj mylić się o 180 stopni – w jedną albo drugą stronę. Paradoksalnie, to właśnie teraz, gdy wiadomo co nieco o operacyjnych planach Układu Warszawskiego stosownie do zmieniającej się w latach 60., 70. i 80. sytuacji, warto pisać o możliwej WW III. Starsze zaś powieści nieodwołalnie przesunęły się do kategorii historii alternatywnych, i to nie najwyższych lotów. Inny przykład, spektakularny i z naszego, polskiego podwórka: czy niedawny jubilat Tadeusz Konwicki w najśmielszych rojeniach śnił, że „Mała apokalipsa" w swoim czasie stanie się na szczęście historią nieodwołalnie alternatywną?

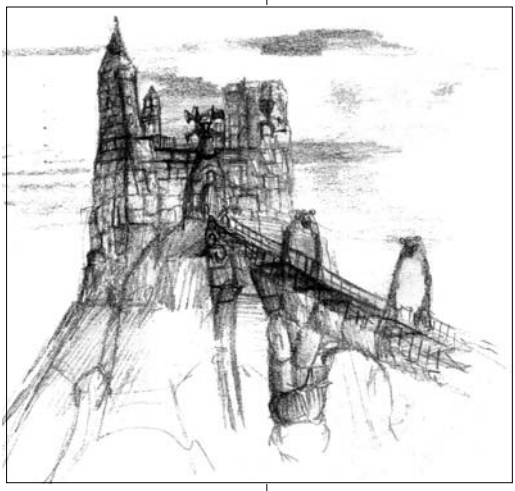

rys. Krzysztof Biszubski

Wszystkie te uwagi dotyczą utworów, które – choć z definicji stanowią historie (już) alternatywne, w intencjach autorów i odbiorze czytelników takimi nie były, a cechy historii alternatywnych zazwyczaj nabyły *ex post.* Czy warto więc trzymać się koncepcji teoretycznych w oderwaniu od (primo) intencji autora (drugie primo) recepcji dzieła? Na tym więc tle wypadnie chyba porzucić eleganckie, ale mało operatywne teoretyczne konstrukcje i wrócić do czytelniczych intuicji.

Mechanizm tworzenia historii alternatywnych wydaję się być prosty: oto obieramy sobie jakieś wydarzenie historyczne i wymyślamy sobie inny jego przebieg. Następnie uruchamiamy wyobraźnię i puszczamy parowóz dziejów w ruch. Sprawa jest jednak o wiele bardziej skomplikowana i najeżona pułapkami. Najczęściej obieraną metodą autorską jest działanie na zasadzie ekstrapolacji. Tak samo jak w opowieściach SF dotyczących przyszłości, autorzy *jadą na przedłużaczu.* Miejsce startu to punkt zwrotny, moment w którym rozchodzi się bieg dziejów świata przedstawionego utworu i naszego świata. Dalej ten świat musi się rozwijać zgodnie ze swoją wewnętrzna logiką, zazwyczaj wzorowaną na wydarzeniach realnych. Skądinąd świetna powieść Roberta Harrisa „Vaterland" opowiada o świecie, w którym III Rzesza zwycięża w II Wojnie Światowej. I oto w Rzeszy lat 60. obserwujemy proces tężenia, biurokratyzacji i stępienia opresyjności systemu; hitlerowskie Niemcy. przypominają nie Związek Radziecki czasów Stalina, a raczej imperialną i gnuśną Rosję czasów breżniewowskich. Czytając Harrisa odbiorca ma wrażenie, że Niemcy skończą jak

blok wschodni: będzie kryzys, próby reform, uruchomienia nazizmu z ludzką twarzą, dehitleryzacja i denazyfikacja. Z kolei na arenie międzynarodowej trwa u Harrisa zwyczajnie Zimna Wojna, jeno z III Rzeszą w miejsce ZSRR Nie czynię tutaj bynajmniej autorowi z tego tytułu wyrzutów; uważam, że jest to książka bardzo dobra, lecz idealnie pokazuje, na czym polega jedna z metod kształtowania alternatywnej historii. Że nie jest to wcale łatwe, pokazują dwie spektakularne wpadki autorów polskich, gdzie przebieg historycznych wydarzeń kłóci się z wewnętrzną logiką utworu, to znaczy nie przystaje do racjonalnej oceny możliwych po wybranym punkcie zwrotnym ziszczeń, jaką na podstawie dostępnych danych dysponuje czytelnik. Zagadnienie stanie się jaśniejsze na przykładzie Dukajowego „Xavrasa Wyżryna". Powieść tą atakowano z rozmaitych punktów. Najrozsądniejszą z uwag, jaką pod adresem książki usłyszałem, wygłosił pewien politolog; jak, u licha, wyobraża sobie Dukaj możliwość przetrwania Republiki Weimarskiej z Sowietami u bram?! Załóżmy, tak jak autor, że żadne cuda nie nastąpiły i państwo polskie pada w roku 1920 czy 1921 pod ciosami bolszewików. Sytuacja w Niemczech jest nadzwyczaj niestabilna, ulice spływają krwią, komunistyczne bunty okrutnie tłumią ochotnicze (i niezdyscyplinowane) Freikorpsy, a nie okrojona Reichswehra. W porównaniu z Polską Niemcy stanowią łatwy kąsek, dlaczego więc już kilka czy kilkanaście lat później stanowią europejskie mocarstwo? Co, jaki cud zatrzymał Moskali?

Przykład drugi: „Wampiry z Odrzykońskiej", opowiadanie Jacka Komudy. Kwestia może mniej istotna dla utworu, ale dostrzegalna: skąd na eksponowanych stanowiskach nazwiska znane z współczesnej działalności Sojuzu Lewicy Demokratycznej? Zastanówmy się: weszli Sowieciarze. Ich namiestnikiem jest Generał. Logika wydarzeń zdaje się wskazywać, że w takiej sytuacji górą byłby partyjny beton, a nie rzutcy, młodzi działacze, z obecnym prezydentem na czele, szykowani w drugiej połowie lat 80. do tzw. przekazania władzy, połączonego z realnym jej ugruntowaniem.

Oczywiście, o jednym i jedynie słusznym możliwym wariancie rozwoju wypadków nie może być mowy. Jednakowoż rola autora jest uzasadnienie takiego, a nie innego biegu dziejów w oparciu o przyjęty punkt zwrotny. Śmiem twierdzić, że jeżeli czytelnik zmuszony jest w takiej sytuacji na domysły, to znaczy, że autor nie dość dobrze wywiązał się z przyjętego na siebie zadania. Kwestią odrębną jest jak twórca do uzasadnienia podchodzi. Tutaj możliwe są różne rozwiązania. Pisarz może sobie uważać, że historię kształtują wybitne jednostki, a tłum zwykłych śmiertelników stanowi jedynie mierzwę, którą należy owym tytanom gęsto podścielać pod stopy. Przy takim założeniu, filozoficznej zresztą natury, *wyjęcie* takiej osobistości powoduje drastyczne zmiany w przebiegu późniejszych zdarzeń i kształcie świata po dwudziestu, pięćdziesięciu latach. Kto inny zaś (albo i ten sam autor w następnym dziele) może uważać, że historia jest areną mas, społeczeństw, narodów, jednostka zaś niczym, jednostka zerem. Proces dziejowy zdawać się musi wówczas ciągiem uporządkowanym i przewidywalnym, niczym w „Fundacji" Asimova, o dziadzie Marksie nie wspominając; zmienia się najwyżej nazwy nagrody Nobla i niektórych pierwiastków, kto inny skonstruuje bombę atomową etc. Autor może więc historiozofować sobie do woli i czytelnikowi nic do tego, choćby się z pisarzem i nie zgadzał. Ja prywatnie wierzę w Jego Książęcą Mość przypadek, wbrew zresztą tytułowi niniejszego artykułu, podpowiedzianego przez Defekt Muzgó.

Ciekawie mogą wyglądać historie alternatywne, których autorzy zaprzątają sobie głowę nie wydarzeniami historycznymi, lecz geologicznymi bądź biologicznymi. Niezwykle

pouczające mogą okazać się w tym względzie „Mieszkańcy światów alternatywnych" i „Przepis na człowieka" Marcina Ryszkiewicza, w barwny (jak to u tego autora) sposób traktujące o pokrętnych ścieżkach ewolucji, co do wykształcenia ludzkiego rozumu doprowadziła. Z naszej parafii taką książką zapewne okażą się „Inne okręty" Romualda Pawlaka, zapowiadana co najmniej od dwóch lat powieść, której punktem zwrotnym jest mało z pozoru znaczący fakt, że w Nowym Świecie nie wyginęły konie. Powoli dochodzimy tutaj do drugiej, nieporównanie rzadszej metody kreowania alternatywnej historii, a mianowicie wymyślenia przez autora całkowicie nowego przeszłego zdarzenia, co historię mogłoby zapłodnić nowymi trendami i skierować na odmienne tory. Jasne, że wymaga to zupełnie nowego stopnia wyobraźni i kreatywności, stąd jak na razie napisanie takiej książki, co nie dość, że taki fakt by przewidziała, to jeszcze wyciągnęła z niego ostateczne w swoich wnioskach konsekwencje, zdaje mi się możliwością jeno wirtualną. Zdaje się bowiem, że autorzy SF wychodzą z założenia podobnego nieco do Leibnitzowskiego: świat nasz jest nie tylko najlepszym, ale i najbardziej doświadczonym ze światów, stąd nic, co się do tej pory nie wydarzyło, nie miało prawa zajść. Hm.

Wracając do momentu, który nazwaliśmy wcześniej punktem zwrotnym, zauważyć trzeba, że jego wybór może okazać się śliską sprawą. Pułapka czai się tu ukryta i dla czytelnika słabo obeznanego z historią niedostrzegalna. Maciej Parowski napisał był kiedyś „Burzę", scenariusz komiksu, który znaleźć można (scenariusz, nie komiks) w zbiorze „Co większe muchy". Tytułowa burza rozszalał się nad Polską we wrześniu 1939 roku. Zamiast złotej polskiej jesieni, idealnej do prowadzenia wojny w powietrzu i prowadzenia pancernych zagonów, mamy oto słotę i błota. W takich warunkach siły Polski i Niemiec ulegają względnemu wyrównaniu i o blitzkriegu oczywiście nie może być mowy. Polacy bronią się dzielnie, a nawet przechodzą do lokalnych kontrataków. W tej sytuacji lis Stalin się nie rusza, natomiast wkraczają do akcji nasi alianci i wkraczają do Rzeszy od zachodu. Hitler konczy jako zesłaniec na przydatnej w takich sytuacjach Wyspie Św. Heleny.

Pozornie zdawać by się mogło ,że punktem zwrotnym jest wrzesień 1939 r., konkretnie zaś odmienny układ baryczny. Tymczasem taki rozwój wypadków uwarunkowany musiałby być splotem wydarzeń nie wzmiankowanych w tekście (jak wyżej u Dukaja i Komudy), a ponadto wcześniejszych od opisywanych. Tak więc wbrew temu, co sugeruje autor, prawdziwy punkt zwrotny musiał nastąpić odpowiednio wcześniej; inna musiała być polityczna wola aliantów (odmienne wyniki wyborów?), ponadto niepoślednią rolę odgrywa stopień przygotowania Francji i Wielkiej Brytanii do wojny. Nie chodzi tutaj o kwestie tak elementarne, jak czas na przeprowadzenie mobilizacji, ale i o niefortunną restrukturyzację przemysłu zbrojeniowego we Francji w drugiej połowie lat trzydziestych, rzutującą na poziom i jakość produkcji, konserwatyzm i generalne nieprzygotowanie generalicji do nowego obrazu działań itp.

Jak widać, *advocatus diaboli*, w jakiej roli tutaj występuję, ma naprawdę dużo pracy. *Magistra vitae,* jaką według przysłowia jest historia, jest nauczycielka wymagającą, choć podobno nikogo jeszcze nic nie nauczyła. Wszelkie uwagi, w tym artykule uczynione, proszę traktować jednak serio. Krytyczny umysł nie może akceptować tandety, ale z uwaga powinien pochylić się nad próbami ambitnymi. Bez solidnej kwerendy nie ma co przystępować do pisania, a i czytanie staje się wówczas fascynującym intelektualnym wyzwaniem, do którego zachęca

Paweł Ostrowski

ENCYKLOPEDIA

Rozmowa z Prof. Antonim Smuszkiewiczem,

specjalistą ds literatury fantastyczno-naukowej, współauorem *Leksykonu polskiej literatury fantstyczno naukowej (Poznań 1990),* pracującym nad *Encyklopedią Polskiej Fantastyki.*

Czy mógłby pan przybliżyć stan obecnych prac nad *Encyklopedią Polskiej Fantastyki?*
W tej chwili są one zawieszone. Z braku pieniędzy, to znaczy nieprzydzielenia ich w tym roku przez Komitet Badań Naukowych. Prace zaczęliśmy już dość dawno. Była to praca koncepcyjna, polegająca na ustaleniu, czym *Encyklopedia* ma być. Należało się miedzy innymi odnieść do *Leksykonu polskiej literatury fantastyczno-naukowej*, który opracowaliśmy z Andrzejem Niewiadowskim – małej rzeczy, obejmującej jedynie najważniejsze pojęcia z teorii fantastyki i sylwetki autorów fantastyki naukowej. Publikacja, nad którą pracujemy teraz, nazywana roboczo „Encyklopedią", ma zawierać wszystkie możliwe hasła dotyczące polskiej fantastyki, poczynając od Średniowiecza.

Bardzo interesuje nas zakres tematyczny.
Jest tu kilka kategorii. Pierwsza z nich to teoria literatury – gatunki, odmiany itd. Drugą kategorią byłyby hasła autorskie. Trzecią – dzieła literackie, Następnie wspomniani zostaną tłumacze, także redaktorzy i krytycy. Osobną kategorię tworzą pisarze zagraniczni. Zastanawiamy się nad kategorią zjawisk, wywodzących się z fabuł, jak np. bohaterowie czy fantastyczne wynalazki itp. Tyle jeżeli chodzi o literaturę. Podobne hasła zostaną opracowane na podstawie filmu. Odrębną grupę haseł stanowić powinno życie literackie i kulturalne, związane z ruchem miłośników fantastyki, np. kluby, działacze, fanziny itp.

Jakie dzieła mogą doczekać się swoich haseł?
Przede wszystkim antologie, One nie zawsze mają szansę zaistnieć w czyimś biogramie autorskim. Należy też omówić oddzielnie pewne wybitne dzieła, jak np. *Na Srebrnym Globie* niezależnie od wzmianki w biogramie Jerzego Żuławskiego.

Jeżeli chodzi o dobór autorów, *Leksykon* zasłynął z obszernych haseł pisarzy takich jak Mickiewicz czy Prus
Autorzy ci są tak znani z innego rodzaju pisarstwa, że nie wypada o nich zbyt wiele pisać. Wystarczy, że w *Encyklopedii* będzie wzmianka omawiająca motywy fantastyczne w ich twórczości, np. *Róży* czy *Przedwiośniu* Żeromskiego, bez biogramu, jakich wiele w każdej innej encyklopedii.

Pisanie o tłumaczach to nowość.
Rzeczywiście o tłumaczach w *Leksykonie* nie pisaliśmy. Natomiast w *Encyklopedii* powinni oni mieć swoje miejsce. Nawet jeśli ktoś tylko jedno ważne dzieło przetłumaczył.

Na jakich prawach mają znaleźć się w *Encyklopedii* pisarze zagraniczni?
To duży problem. Winniśmy o nich wspomnieć, jeżeli funkcjonują w polskiej literaturze. Zakładamy, że jeżeli choćby jeden czyjś ważny utwór został przetłumaczony, to autor ten powinien mieć swoje odpowiednie hasło.

Jak szeroko zostanie potraktowany film?
Klasyfikacja będzie podobna do literatury – znani twórcy, tytuły.... Filmoznawcy zadecydują jak szeroki będzie ten zakres.

Czy też będą uwzględnione filmy zagraniczne?
Raczej nie. Czym innym jest powieść przetłumaczona i wydana w Polsce w języku polskim, a czym innym wyświetlany u nas film. Pozostaje on dziełem zagranicznym. Kto wie jednak czy nie znajdziemy miejsca dla filmów z Polską związanych, czy to w Polsce nagrodzonych, czy realizowanych z udziałem Polaków. Z pewnością znajdzie się miejsce dla *Solaris* czy na-

wet bardzo słabej NRD-owskiej *Milczącej gwiazdy* na podstawie *Astronautów.*

Wspomniał Pan, że popularny „fandom" także zostanie opisany.

Tak, powinniśmy wspomnieć o wszystkich pismach, fanzinach, oficynach wydawniczych, charakterystycznych klubach, konwentach, także o działaczach organizujących życie klubowe. Oczywiście będą tu trudności z doborem. Wszystkich nie uwzględnimy ale w każdej encyklopedii jest tak, że dobór haseł nie każdego zadowala.

Czy występowanie fantastyki będzie opisane tylko w literaturze i filmie?

Oczywiście należy pamiętać o plastyce, także o komiksie. Dziedziny te operują światem przedstawionym i fantastykę wykorzystują. Gdzie indziej fantastyka ma sens jedynie metaforyczny. Tak więc nie ma muzyki fantastycznej a np. surrealizm jedynie nawiązuje do fantastyki. Takie słabe związki z fantastyką postaramy się też zasygnalizować w krótkich hasłach.

Wspomniał pan o hasłach bohaterów literackich

To się jeszcze rozstrzygnie, czy będziemy głębiej wchodzić w utwory i wyciągać z nich bohaterów, zjawiska, motywy. To bardzo trudna rzecz. Ale kto wie czy nie będzie haseł „Wiedźmin", „Pirx", „Ijon Tichy". Bohaterowie ci wyszli trochę poza literaturę, czasami reprezentują jakiś gatunek.

Jak wiele osób ma się zajmować tą pracą?

Zaplanowałem sobie dosyć duży zespół, ponad dwadzieścia osób. Ale chcemy także zlecać pisanie haseł osobom spoza tego zespołu. Zależy, czy będziemy mieli pieniądze.

Jak mają wyglądać prace nad *Encyklopedią* od strony naukowej?

Temat badawczy brzmi: „Historia polskiej fantastyki". Po gruntownym przebadaniu tematu, wynikiem badań ma być napisana publikacja pod takim właśnie tytułem. Encyklopedia ma się opierać na tej pracy, tyle że oczywiście w innym układzie. Obok naszych badań planujemy także zorganizowanie konferencji, co wiąże się potem z wydaniem zbioru referatów. Materiały konferencyjne też będą pomocne w opracowywaniu haseł.

Sytuacja jest inna niż z *Leksykonem*. Wtedy znalazł się wydawca, Wydawnictwo Poznańskie, a my podzieliliśmy się pracą i wspólnie z Niewiadowskim napisaliśmy. Nie potrzebowaliśmy pieniędzy na badania, a raczej pracowaliśmy za honorarium. W przypadku *Encyklopedii*, jest to niemożliwe. Za każdą wykonaną pracę trzeba zapłacić, czy to za zbieranie materiałów, czy za opracowywanie haseł, redagowanie itp. To zbyt duże przedsięwzięcie, aby pracować za darmo, licząc na ewentualne honorarium w przyszłości.

Czy w „Encyklopedii" będą hasła o grach fantastycznych?

Gry powinny oczywiście znaleźć tu swoje miejsce, jeśli są inspirowane fantastyką. Nie wiem tylko, czy otrzymają one swoje hasła, czy zostaną omówione w jednym dłuższym artykule.

A literatura dziecięca?

To jest odrębna kategoria, ale tam też fantastyka występuje. Niektórzy autorzy powinni mieć swoje hasło. Ale ja bym nie przesadzał z opisywaniem literatury dziecięcej, bo zdominowałaby ona całość. W gruncie rzeczy jest bowiem niemal cała fantastyczna.

Opisując polską fantastykę, cofa się pan do Średniowiecza, czy ma pan zamiar opisywać mitologie?

Nie za bardzo, chociaż o pewnych elementach słowiańskiej mitologii, warto wspomnieć. Krasnoludek powinien mieć swoje hasło, bo już jest fantastyczny, a że wywodzi się z mitologii jako bóstwo opiekuńcze, to już inna sprawa. Przed Konopnicką był obiektem wiary. Później stał się on obiektem fantastycznym.

A mitologia celtycka wpływająca na Polaków, albo słowiańska w prozie Sapkowskiego?

Będziemy się starać odnotowywać pewne wyraźne inspiracje, ale bez przesady. *Encyklope-*

dia ma ona informować o najważniejszych zjawiskach, a nie wdawać się w analizy i oceny. Zwłaszcza oceny.

W *Leksykonie* ocen utworów nie brakowało.

Ja byłem do tego sceptycznie nastawiony. Niewiadowski uważał jednak że należy umieszczać krótkie recenzje. Leksykon miał inny charakter.

A definicja fantastyki, w *Leksykonie* przedstawiono kilka możliwych definicji, czy taka długa rozprawa znajdzie się też w *Encyklopedii*?

Encyklopedia musi mieć stosunkowo krótkie hasła. Wyobrażam sobie, że reprezentowany będzie tylko jeden pogląd na fantastykę, że się dogadamy. Terminologia także musi być ujednolicona. Inne stanowiska powinny być uwzględnione.

W porównaniu do *Leksykonu*, szalenie wychodzi pan poza literaturoznawstwo.

Jeżeli nazywamy rzecz *Encyklopedią fantastyki,* to musi ona dotyczyć fantastyki we wszystkich jej aspektach. Ale literatura i tak wszystko zdominuje, bo poza filmem jest dziedziną najobszerniejszą.

Czy możemy już stawiać jakieś prognozy, jeżeli chodzi o czas wydania?

Nie. To jednak potrwa jeszcze kilka lat. Liczyliśmy na trzy lata, gdybyśmy zaczęli w tym roku.

Dziękujemy za rozmowę. Mamy nadzieję, że rozmawialiśmy o czymś, co będzie.

Fantastyka ma to do siebie, że mówi się o czymś, co będzie, a przyszłość przeważnie tego nie potwierdza. Może w tym wypadku stanie się inaczej.

Rozmawiali
Marcin Bronhard
Krzysztof Głuch
Wojciech Hamerski

POLEMIKI

POLEMIKA I

Na prośbę Jacka Soboty drukujemy jego polemikę z tekstem Rafała A. Ziemkiewicza „Śniadanie mistrzów" opublikowanym w „Miesięczniku ŚKF" (nr 133). Czynimy to z prostego powodu. Rzeczony „Miesięcznik" nie dał panu Jackowi szansy na ustosunkowanie się do personalnej i mało eleganckiej zaczepki RAZ-a, kwitując przysłane sprostowanie komentarzem: *Otrzymaliśmy od Jacka Soboty list, będący reakcją na felieton* Śniadanie mistrzów *Rafała A. Ziemkiewicza ze 133 numeru Miesięcznika. Niestety, zdaniem redakcji, nie kwalifikuje się do druku, gdyż nie zawiera żadnych treści polemicznych, a jedynie docinki personalne*. Podpisano: Piotr W. Cholewa. W związku z powyższym Sobota poprosił nas o zamieszczenie riposty, wcześniej zaś passusu poprzedzającego: *Niedrukowanie polemik jest obyczajem nędznym. Cholewa zachowuje się z wdziękiem PRL-owskiego cenzora; sam rozdaje racje, poglądy sobie (i drukowanemu przez siebie autorowi) niewygodne knebluje. To postępowanie niegodne i głupie. Jeśli Cholewa nie chce otrzymywać w redakcyjnej poczcie „docinków personalnych" pod adresem Rafałka Ziemkiewicza, niech przestanie drukować jego „felietony", które są strumieniem (braku) świadomości rozkapryszonego gówniarza.* W poprzednim liście Sobota napisał z kolei: *„Atak Ziemkiewicza jest irracjonalny i niemerytoryczny. Gdyby merytorycznie (jakościowo) pochylił się nad mą nędzną wytwórczością – rezultaty mogłyby być inspirujące dla mnie. On jednak atakuje mnie ilościowo (że za mało pisuję i w pismach nikłych) (...) Długo się zastanawiałem, czy odpowiadać, czy wzruszyć ramionami. Poziom dyskursu jest niski – z winy Ziemkiewicza. Postanowiłem odpowiedzieć, bo irytacja – miast z czasem niknąć – narasta i rozrasta się we mnie. Trzeba jej dać upust."*

Przychylając się do prośby Jacka Soboty, czynimy wyjątek od zasady nieangażownia się w spory fandomowe i personalne (interautorskie). Sytuacja, gdy knebluje się głos polemiczny sprowokowany personalnym atakiem, wydaje nam się – delikatnie mówiąc – niezdrowa.

Redakcja

PS. Przytaczamy również stosowny fragment felietonu RAZ-a, abyście mogli Państwo ocenić sami, kto ma w tym sporze rację...

RAZ:

Kolacja Mistrzów

.... w kontraście ze sztampą produkowaną przez Ziemkiewicza i Wolskiego pozostaje też fakt, że „stale

rozwija swój niewątpliwy talent Sobota". To ci dobra nowina! Sobota rozwija się nadal, niebawem wyda czternaste opowiadanie w *Nowej Fantastyce* i bardzo możliwe, że wreszcie zostanie z nim dostrzeżony także poza piwnym kręgiem Mistrza i jego nowego Redaktora. Ma Sobota wszelkie dane, by być jak ów bohater balladki Młynarskiego, co to gdy w końcu zmarł w zgrzybiałej starości, to wszyscy dokoła płakali, że tak się dobrze zapowiadał.

Proszę wybaczyć, że szydzę sobie z Soboty, ale czynię to w przekonaniu, że z ludzi szczęśliwych wolno się nabijać, niczym i to nie szkodzi. Sobota zasię niewątpliwie do szczęściarzy należy: w końcu ma kto pisać o nim, że wciąż swój niewątpliwy talent rozwija. ....

Rafał A. Ziemkiewicz

JS:

Papu Ziemkiewicza.

Moja wiedza na temat Rafała Ziemkiewicza uległa znacznej erozji, a to na skutek lektury jego dramatycznego (pod każdym względem) tekstu „Kolacja Mistrzów" (133 numer „Miesięcznika ŚKF"). DO tej pory sądziłem, że Ziemkiewicz – podobnie jak ja – na świat przyszedł w latach 60.; tymczasem z tekstu jasno wynika, że urodził się wczoraj, a najdalej przedwczoraj. Rafałek prezentuje mentalność dziecka, które przez wszystich musi być nieustannie chwalone i nagradzane. Gdy ktoś Rafałka zgani, to Rafałek kwili i na świat się obraża. Sedeńko – o zgrozo! – nie napisał, że Rafałek się rozwija, co jest przecie oczywistością; Rafałek jest młody i wszystko przed nim. Sobota natomiast zgoła wcale się nie rozwija, a prędzej już zwija; widmo śmierci pojawiło się przed zgrzybiałym Sobotą, a do tej pory napisał jeno – jasny gwint – czternaście opowiadań, które wydał – niesamowite – w „Nowej Fantastyce" !!! (nawiasem mówiąc, myślałem, że trochę mniej, ale Rafik wie lepiej).

Wiedza, którą nagle i nieoczekiwanie posiadłem na temat kondycji ludzkiej Ziemkiewicza zmusza mniedo otchłannych przewartościowań oraz zmiany postępowania. Z Ziemkiewiczem trzeba – jak z jajkiem – ostrożnie. Rafik jest malutki, wrażliwy, może się obrazić albo zamknąć w sobie, modre oczęta uronią szlachetną łzę. I już niczego genialnego Rafika nie przeczytamy, literacki Nobel dla Polski przepadnie. Zatem postuluję łagodne traktowanie Rafika i uleganie jego zachciankom.

Rafałku, drogi chłopcze, obiecuję poprawę! Zobowiązuję się do napisania czternastu tysięcy opowiadań i żadnego nie zamieszczę w „Nowej Fantastyce"; wszystkie pójdą w „Feniksie" i „Miesięczniku ŚKF". Nadto napiszę siedemnaście powieści fantasy, a każda będzie nawiązywać do doskonale drewnianej frazy „Skarbów Stolinów". Nie jest wykluczone, że zabiorę się ochoczo za prozę pornograficzną, a wtedy – nie ma wyjścia – wzorować się będę na ociekających wyrafinowanym erotyzmem scenach z „Walca stulecia". Może jeszcze kupię ci kilogram krówek (Sedeńkę będę namawiał do kukułek). Oramus podaruje ci grzechotkę, a Parowski pogłaszcze cię po lokach.

Pozdrawiam serdecznie i życzę dalszych – równie spektakularnych – sukcesów felietonistycznych.

Jacek Sobota

Sporna liczba czternaście, została mylnie zinterpretowana przez pana Sobotę, zdaje się, że Ziemnkiewicz twierdzi, iż czternaste opowiadanie Soboty w NF dopiero nas czeka. Klub *Druga Era*, nie należy do „piwnego kręgu" pana Soboty, natomiast *Glos Boga* zajął w tym klubie, trzecie miejsce w plebiscycie na najlepsze opowiadanie polskiej fantastyki lat 90, nawiasem mówiąc *ex aequo* ze *Śpiącą królewną* Ziemkiewicza (red. nacz.)

POLEMIKA II

PIEPRZONY LOS ZABÓJCY SMOKÓW

„Gdy ktoś nie ma nic do powiedzenia,
czemuż nie siedzi cicho?"
Monteskiusz, *Listy perskie*

Z dużym opóźnieniem przeczytałem polemikę Piotra W. Cholewy z moim felietonem „W krainie smoków" (nr V „IP"). Artykuł „Smoki politycznie niepoprawne" ukazał się w jednym z internetowych czasopism fandomowych – w numerze 6/2000. Sprawa jest więc już trochę przebrzmiała. Niemniej, o samym tekście dowiedziałem się zaledwie dwa miesiące temui i dopiero teraz mogę zareagować. Nie jest to może konieczne, jednak czuję się w obowiązku sprostować twierdzenia mojego Adwersarza. Pragnę, by Czytelnicy zobaczyli, czym różni się prawdziwa polemika od steku złośliwości i przeinaczeń, z jakich zbudowany jest wywód Cholewy. Teraz *ad rem*.

Jest taka praca Artura Schopenhauera „Erystyka, czyli sztuka prowadzenia sporów". Autor analizuje w niej, oparte na „Topikach" Arystotelesa, tzw. „nielojalne fortele erystyczne", czyli chwyty retoryczne używane w dyskusjach przez adwersarzy, którym nie chodzi wcale o udowodnienie swojej racji (tej z reguły nie mają), a jedynie o zasugerowanie publiczności pozorów słuszności własnego wywodu (tę sztukę mistrzowsko uprawiają dziś politycy SLD). Publiczność składa się zazwyczaj ze słuchaczy średnio rozgarniętych, więc nie wyczuwa, że sprytny adwersarz robi ją konia, używając pseudoargumentów jako argumentów prawdziwych. T. Kotarbiński pisze w

przedmowie do „Erystyki", iż szereguje *„chwyty, których używają w sporze ci, co za wszelką cenę – a więc i za cenę prawdy i słuszności, poprawności wywodu – chcą koniecznie postawić na swoim, zrobić tak, żeby było uznane, że oni mają rację. Dobrze jest uprzytomnić sobie różne możliwe fortele, aby wiedzieć na co można być narażonym w sporach z ludźmi nierzetelnymi."* Inkryminowany tekst Piotra W. Cholewy jest wręcz podręcznikowym przykładem takiego udającego uczciwą argumentację pustosłowia.

Nie jest źle, gdy polemista przynajmniej stara się o zachowanie pozorów. Do tej pory prawie wszystkie ataki na moje teksty pozbawione były kośćca merytorycznego – Gepfert, Olszański, „Alex" i im podobni umieli tylko pluć, pastwiąc się stylistycznie na obiekcie swego ataku, *„stając na retorycznych uszach"* (M. Parowski), by tylko mu dokopać. Powód był (jest) prosty: tzw. fandom mam gdzieś, i nie zamierzam słuchać się jego luminarzy, bo to z reguły intelektualne mydłki (w skrócie „Fa" – od „fandomowy autorytet"). Jest to kwestia umiejętności znalezienia się w tzw. środowisku. Prędzej czy później spotyka to każdego autora – nawet, jeśli nie chce mieć ze „środowyskiem" nic wspólnego, to „środowysko" samo się nim zainteresuje. Podda jakiś jego tekst krytyce (jakże dalekiej od uczciwej analizy krytycznoliterackiej), oczerni go personalnie, bądź pozbawi godności w jakiś inny sposób, niczym piesek (czy raczej kotek) obsikujący nogawkę. Autor ma w tej sytuacji dwie możliwości – milczeć, wytrwale znosząc te zaczepki i pocieszając się słowami Wiktora Hugo, które na kartach „Malarstwa białego człowieka" przytacza W. Łysiak (*„Gwizdy durniów są jak fanfary chwały"*)[1], bądź też prostować za każdym razem szkalujące go teksty. Przyznaję, że nie zawsze potrafię utrzymać nerwy na wodzy. Nie zawsze umiem przejść nad wymierzonymi we mnie złośliwościami do porządku dziennego. Czasami w kieszeni otwiera mi się nóż. Są bowiem sytuacje, w których milczeć nie można. Inaczej autorzy paszkwilów poczują się zupełnie bezkarnie. Kiedy ktoś cię opluje, możesz ostatecznie przekląć, zetrzeć ślinę i iść dalej, ale nie możesz udawać, że to letni deszczyk. Mało pocieszająca jest w tym kontekście stara prawda, ze psy szczekają, a karawana jedzie dalej. Fandomowe koty miauczą, a kierowca karawany musi co jakiś czas wysiadać, by utrzeć im nosa – taki zawód.[2]

Autor a środowisko to temat odrębnych rozważań. Jednostka a zbiorowość to szerszy wymiar tego zagadnienia. *„Tłumom raźniej, gdy więcej w nich zer"* – pisze W. Malicki. Brytyjski krytyk sztuki, Herbert Read zauważa: *„opinia publiczna jest jak woda – zawsze szuka dolnego poziomu"*. Jest w tych spostrzeżeniach jakaś uniwersalna prawda, którą z powodzeniem można odnieść do tzw. fandomu. Każda grupa społeczna jest bowiem obarczona ograniczeniem jakościowym już z definicji – właśnie dlatego, że tworzy ciało zbiorowe. W zbiorowości następuje zawsze uśrednienie standardów – dochodzi do sytuacji, gdy jednostki odstające od przeciętności (w górę albo w dół – jak pisze M.L. Sinico: *„Idioci i geniusze mają jedną wspólną cechę – są nieprzeciętni"*) zostają wykluczone poza nawias (choćby za pomocą środowiskowego ostracyzmu). Swojego czasu (jesień 1998) K.T. Lewandowski napisał mi w liście, że z uwagi na moją niepokorną postawę rozważana jest – uwaga, uwaga – *„amputacja mojej osoby z organizmu fandomu"*. Zdanie to rozbawiło mnie o tyle, że nigdy za część składową fandomu się nie uważałem (za bardzo cenię sobie indywidualizm). Zrozumiałem wtedy jedno: osoby, którym nadepnąłem swoimi wypowiedziami na odcisk, zaczęły robić mi „gębę". Taki jest styl tych ludzi – zareagujesz na ich pomówienia, to zaraz zorganizują nagonkę. Wkurzony odpisałem Przewodasowi, cytując słowa J. Swifta, które wyczytałem w jednej z książek W. Łysiaka: *„Łotry i głupcy bywają dla siebie wzajemnie pobłażliwi, lecz gdy zjawi się człowiek o rzeczywistym talencie, rozumie, odwadze i prawości – natychmiast powstają przeciwko niemu, i jeśli nie mogą ściągnąć go w dół, to przynajmniej próbują oczernić jego charakter, zamordować reputację."* Moje bazgroły wieńczył podpis: „Obrzydliwie megalomański Wojtek Szyda".

Na tle moich adwersarzy Piotr W. Cholewa prezentował zawsze najwyższy poziom polemiki (co nie znaczy, że obiektywnie wysoki – w krainie ślepców jednooki jest królem). Mam wrażenie, że każdy jego tekst, którym wchodzi ze mną w spór, sprawia przynajmniej pozór polemiki rzeczowej. A to już bardzo dużo. Niestety, spoza tej zasłony dymnej wyzierają bardzo nieprzyjemne chwyty, którym do uczciwości równie daleko, jak większości autorów SF do postawy buntowniczej. Przyjrzyjmy się bliżej tekstowi „Smoki politycznie niepoprawne".

Już sam tytuł jest cwaną próbą (nie mylić z „cwaną polką") odwrócenia kota ogonem – w swoim tekście biję bowiem w *political correctness* jak w bęben, używając ciężkich słów, więc sugerowanie w tytule, że opowiadam się (choćby nieświadomie) za polityczną poprawnością jest grubym przeinaczeniem. Łagodniejsza interpretacja każe mówić o niezrozumieniu przez Piotra W. Cholewę terminu, którym się posługuje, w czym znany tłumacz ma już wprawę, bo swojego czasu ujawnił, że nie ma pojęcia, o czym jest „Mein Kampf", zarzucając mi skłonność nazistowską („Informator GKF", nr 116, str. 10). Pomijając bezczelność tej sugestii – duża kompromitacja.

Wróć!... Ja tutaj o tytule, a przecież znacznie bar-

dziej żałosny jest fakt publikacji polemiki z tekstem, który ukazał się na łamach „Innych Planet", w jakimś internetowym magazynie. Dlaczego żałosny? Ano, dlatego, że przy innej okazji Piotr W. Cholewa głosił publicznie: ***„Wydaje mi się, że jednym z elementów dobrego wychowania (prasowego) jest odpowiadanie w tym samym miejscu, gdzie ukazał się tekst, którego odpowiedź dotyczy – co nie wszyscy chyba rozumieją..."*** („Informator GKF", nr 116, str. 10). Pytanie: czy Piotr W. Cholewa rozumie własne słowa? Czy może pisze je w stanie pomroczności jasnej, zapominając o swych deklaracjach już na drugi dzień? Nie twierdzę, że zgadzam się z cytowaną opinią (są sytuacje, gdy polemikę należy opublikować gdzieś indziej), jednak rozbieżność słów i czynów Piotra W. Cholewy to klasyczny przykład hipokryzji, którą musiałem tutaj napiętnować. Redakcja „Innych Planet" nie ujrzała rzeczonej polemiki na oczy, choć spokojnie można ją było do niej przysłać – w przeciwieństwie do niektórych fanzinów drukujemy odpowiedzi i sprostowania.

Ciekawe, co jeszcze uważa Piotr W. Cholewa za element dobrego wychowania prasowego? Czy na przykład odmowę zamieszczenia listu Jacka Soboty będącego reakcją na personalną zaczepkę Rafała A. Ziemkiewicza, opublikowaną na łamach „Miesięcznika ŚKF", którego Piotr W. Cholewa jest współredaktorem? Czytałem zarówno „Śniadanie mistrzów" RAZ-a, jak i odpowiedź JS zatytułowaną „Papu Ziemkiewicza" (drukujemy ją w tym numerze). Uważam, że tekst Soboty, choć żartobliwy w formie, jest celną ripostą dla regularnie ostatnio „miesięcznikującego" RAZ-a – tym bardziej, że używa on wobec Soboty słów głupich i złośliwych. Cóż – niezamieszczenie tej krótkiej polemiki jest zapewne kolejnym przejawem dobrego prasowego wychowania Piotra W. Cholewy...

Za bardzo jednak odbiegam od smoków. Wracając do „argumentów", jakich znany tłumacz używa w polemice, należy się teraz zatrzymać przy dwóch literówkach, złośliwie wytkniętych przez Cholewę z końcową sugestią, że wynikają one zapewne z mojej niewiedzy. Oczywiście literówki wynikają z niewiedzy, i to w dodatku z podwójnej: z niewiedzy o ich wystąpieniu (przez zwykłe przeoczenie) oraz z niewiedzy o błędach korekty, która czasami wyrządza autorowi typową niedźwiedzią przysługę. Pewnie, że powinno być „Beowulf" zamiast „Boewulf" (to moje przeoczenie). Pewnie, że powinno być „Smok i jerzy" zamiast „Smok i Jerzy" (zmiana korekty lub autopoprawka komputera). Obydwa te błędy wyłapałem zaraz po wydrukowaniu V numeru „IP", uznałem jednak, że są na tyle drobne, by ich nie prostować. Kropka.

Idźmy dalej: według Cholewy mój tekst zawiera stwierdzenie, że Grendel to smok. Bzdura wierutna! Gdzie, w którym miejscu nazywam Grendela smokiem?! Panie Cholewa... Przytaczając powieść Johna Gardnera „Grendel", używam określeń *„gad"* (dokładnie *„gadzia pierś"*) i *„potwór"*, gdyż oczywiste jest dla mnie, że smok to odrębny bohater powieści (choć w staroduńskiej legendzie i angielskim eposie Grendel jest właściwie typowym smokiem!). Ukazanie Grenedela w korzystnym świetle to zabieg bardzo podobny do tego, jaki literatura fantasy zastosowała wobec smoków – myślałem, że ta analogia jest wystarczająco czytelna. Jak widać, nie dla wszystkich: niechętny polemista (nie mylić z niechętnym szermierzem – chyba, że leworęcznym...) zawsze wyczyta to, co zechce wyczytać, a nie to, co obiektywnie wynika z tekstu. Do czytelników „IP" mam natomiast prośbę – sprawdźcie sami (IP nr V, str. 36), czy nazywam Grendela smokiem, a zobaczycie, kto ma rację. Kolejny drobny przekręcik to zasugerowanie, że określenia „po bożemu" (w kontekście kanonicznego przedstawiania smoków jako złych gadów) używam serio, podczas gdy używam go w ewidentnie ironicznym sensie.

Po tych sztuczkach z przekręcaniem sensu moich słów Cholewa wytacza armaty personalne. Otóż dowiaduję się, że cechuje mnie *„psychiczne zaślepienie"*. Hmm... Na pewno nie można tego powiedzieć o Piotrze W. Cholewie – ma on umysł otwarty („open your mind!"). Może tylko troszkę za bardzo i w zbyt wielu miejscach, co sprawia, że permanentnie wycieka mu mózg. Jego polemika z moim felietonem jest dowodem trafności aforyzmu E. Lipińskiego: *„Najczęściej strzępią język ci, którzy posługują się strzępkami myśli"*... Zarzutem czyni także Cholewa moją *„głęboką wiarę we własne przemyślenia"*, zakładając *a priori* (ciekawe na jakiej podstawie), że takową posiadam i zupełnie przechodząc do porządku dziennego nad faktem, iż felieton „W krainie smoków" był przede wszystkim prowokacją, tak jak wszystkie moje felietony ukazujące się w cyklu „Prowokacje kontrolowane". Mógłbym w tym miejscu napisać, że Cholewa dał się złapać jak dziecko na lep mojej prowokacji, podobnie jak niektórzy wcześniejsi polemiści. Biorąc jednak ten zarzut serio – nie jest on żadnym zarzutem. Cóż bowiem złego w tym, że ktoś polega na własnym zdrowym rozsądku, na głosie własnego serca i na metafizycznej intuicji? Gdy Cholewa zauważa wspaniałomyślnie, że mogę sobie nie lubić smoków, bylebym tylko nie uniwersalizował swojej niechęci, ja myślę, że mój polemista po raz kolejny rozmija się z logiką. Prawda jest bowiem jedna, czy to się komuś podoba, czy nie.[3] Jeżeli dwa twierdzenia są wzajemnie sprzeczne, a oba uchodzą za prawdziwe, to jedno z nich musi być fałszywe. *Tertium non datur.* Monopol na prawdę (tak wyśmiewany przez relatywistów) jest jedynym koniecznym i uprawnionym monopolem. Inaczej będziemy mieli do czynienia z całkowitym pomieszaniem pojęć, a wszystko zostanie *„sprowadzone do rangi opinii"* (Jan Paweł II).

Kolejną sztuczką, jakiej używa Piotr W. Cholewa, chcąc skompromitować wymowę mego tekstu, jest próba sprowadzenia do absurdu tak oczywistych spostrzeżeń,

jak te, że smoki i koty były zawsze w kulturze zachodniej symbolami Szatana. Cholewa pyta, czy rogate bydło również powinniśmy uznać za satanistyczne i przestać spożywać mleko i serki. Odnosząc się do twierdzenia, że w Średniowieczu symbolem Szatana były ropuchy, Cholewa dworuje sobie, że w takim razie ratujący ropuchy ekolodzy to na pewno sataniści. Prawda, że śmieszne? *„He, he, he, he… – to się śmieje ignorancja”*, jak pisał W. Łysiak. Piotrze W. Cholewo – czy naprawdę nie umiesz pojąć różnicy między porządkiem rzeczywistym a porządkiem symbolicznym? Czy naprawdę nie rozumiesz, że ropucha jako płaz a ropucha jako symbol to dwa różne zjawiska? (zjawisko zoologiczne i zjawisko kulturowe). Przestrzeń symbolu jest obszarem zaszyfrowanych pojęć stanowiących kod każdej kultury i wyrażających normy religijne, moralne, obyczajowe i estetyczne. Konkretne znaki odrywają się na tym obszarze od swych pierwowzorów (np. symbol kota od żywego kota). Czytanie symboli polega w pierwszym rzędzie na tym właśnie zabiegu: na oddzielaniu desygnatów od ich nazw – ale Pan najwyraźniej tego nie potrafi. Używając takich argumentów, można by zarzucić recenzentowi muzycznemu, że nawołuje do bojkotu krążków CD, po tym jak skrytykował kilka ścieżek dźwiękowych nagranych na tych płytach. Tymczasem nośnik nie jest tym samym, co zapisana na nim treść.

Dalej następuje najbardziej tajemniczy fragment artykułu Cholewy: zagadkowe wywody na temat zakazu pornografii i spożywania alkoholu w Sejmie (sic!). Bóg jeden raczy wiedzieć, skąd wzięły się w polemice dotyczącej smoków. *Nevermind*. Nie mogę natomiast przejść do porządku dziennego nad podsumowaniem malarskich przedstawień motywu św. Jerzego w chrześcijańskiej ikonografii. Wykpiwając jakość smoków w dawnym malarstwie europejskim, PWCh negliżuje brak artystycznego wyrobienia. Św. Jerzego malowali tacy giganci, jak Rafael, van Eyck, Giorgione, Veronese, Carpaccio, Uccello, Altdorfer (i wielu, wielu innych), podczas gdy dziewięćdziesiąt procent pacykarzy fantasy maluje smoki źle, choć stawia je w korzystniejszym świetle. Ja rozumiem, że czyjaś wrażliwość plastyczna może kończyć się na Royo (w porywach na Siudmaku), nie należy jednak chwalić się tym publicznie.

Na koniec zostawiłem sobie największy przekręt, jakiego dopuścił się mój Adwersarz. Tak, właśnie przekręt – nie jest to słowo zbyt mocne. Chodzi bowiem o zupełne pominięcie zakończenia mojego felietonu, które jest kompozycyjną, treściową i stylistyczną przeciwwagą dla wstępu i rozwinięcia. Jest tam opis wrażeń, jakie wywołuje we mnie obraz Albrechta Altdorfera „Św. Jerzy i smok” – wrażenia te kwestionują spostrzeżenia, jakie poczyniłem w części pierwszej (taki wewnętrzny dialog duszy...). Dlaczego Cholewa pominął ten fragment milczeniem? Odpowiedź nie wydaje się trudna: ponieważ był niewygodny, *ergo* nie pasował mu do z góry założonej tezy. Tym samym wymowa mojego felietonu została przekłamana. Pytam: czy jednym z elementów dobrego wychowania (nie tylko prasowego) nie jest stronienie od kłamstwa, Panie Piotrze?... Na usta cisną mi się słowa: pomijanie podsumowania czyjegoś tekstu przy jego krytycznej analizie jest zwyczajnym szalbierstwem!

Podsumowania tekstu Cholewy nie pominę. Wyśmiewa się on tam z faktu, że „Inne Planety” są fanzinem KF „Druga Era”, a logo klubu stanowi smok. No i co z tego? Czy ja mam zabronić używania tego symbolu klubowi, do którego władz nie należę? I to zabronić tylko dlatego, że prywatnie jestem przeciwnikiem smoczej symboliki? Notabene, znak ten osobiście bojkotuję, bo mi wolno (np. nie nosiłem na ostatnim Pyrkonie koszulki klubowej). To moja prywatna sprawa. Rozumiem, że zdumienie PWCh bierze się stąd, że w ŚKF-ie byłoby to niedopuszczalne – tam rządzi się żelazną ręką, a odbieganie od linii politycznej klubu jest wysoce niepożądane.

Na zakończenie drobiazg: jedyny rozsądny argument użyty przez mojego Adwersarza w tekście „Smoki politycznie niepoprawne”. Masz rację, Piotrze W. Cholewo, gdy wykazujesz, że pominąłem w swojej analizie dwie autorki-smokofilki: Le Guin i McCaffrey (na tę pierwszą zwrócił mi też uwagę G. Szczepaniak). Faktycznie, to głównie one przeprowadziły proces wybielenia smoków na terenie fantasy, i powinienem był o tym napisać. Za tego typu uwagi zawsze będę wdzięczny, ponieważ są one merytoryczne. Szkoda, że tekst „Smoki politycznie niepoprawne” nie składa się w całości z takich zarzutów.

Tyle w sprawie samej polemiki. Jako kodę zostawiłem sobie cymesik ukazujący, jak znakomite literacko utwory tworzą debiutanci zarażeni pasją smokofilską. Cytat pochodzi z drugiego numeru „Nieoficjalnego Obiektu Literackiego” – dodatku prozatorskiego „Miesięcznika ŚKF”. Znalazło się tam opowiadanko o jakże oryginalnym tytule „Smok”, które autor (pominę nazwisko, bo nie lubię znęcać się personalnie) rozpoczyna frazą następującą:

„Musze! zabrzmiała w jego głowie ostra, jak smocze pazury, myśl. Potem jego umysł zalała fala uczucia [to uczucie jest falą? – WS]. *Uczucia, z którym jeszcze do tej pory się nie spotkał. Nie zrozumiał go* [to uczucie się czuje, czy rozumie? – WS] *i nie wiedział jak ma się zachować. Smok, na którego grzbiecie właśnie leciał, wysyłał do jego głowy* [dobrze, że nie do nóg - WS] *ciągle i nieprzerwanie* [czyż słowa te nie znaczą tego samego? – WS] *jedną myśl. Niestety, nie wiedział co ona oznacza. Miał jednak złe przeczucia. Co by się nie działo, postanowił wspomagać swego przyjaciela i być przy nim. (...) Najbliższy konar pozbawił smoka jeźdźca, a człowieka tchu.”*

Mnie pozbawia tchu cały ten fragment, lecz jeszcze

bardziej publikowanie polemik nie mających z prowadzeniem merytorycznego sporu zbyt wiele wspólnego.

Wojciech Szyda

PS. Do tych literówek to ja naprawdę mam pecha. Oto w 3 n-rze „Science Fiction", w moim opowiadanku „Wyrok", przekręcony został prawniczy termin „subsumpcja" – wydrukowano „subsumcja". Niniejszym prostuję tę nieścisłość, i śpieszę donieść, iż nie wynika ona z mojej ignorancji. Dowód: „Wyrok" ukazał się najpierw w „IP" (nr V), gdzie termin „subsumpcja" został wydrukowany prawidłowo.

PS 2. W numerze 134 "Miesięcznika ŚKF", na str. 12, Piotr W. Cholewa stwierdza rzecz następującą: "*W 1816 r. Mary Shelley stworzyła postać potwora Frankensteina.*" Gdybym był złośliwy, napisałbym wzorem P.W.Ch. że ten kompromitujący błąd wynika zapewne z niewiedzy (wiadomo bowiem, że Frankenstein to nazwisko naukowca, a nie potwora). Wolę jednak mniemać (choćby i błędnie), iż wynika on z roztargnienia... Na usta cisną się natomiast słowa: Adwersarzu, lecz się sam!

---

[1] Jestem nawet skłonny poprzeć projekt stworzenia specjalnej orkiestry dętej, skoro niekompetentna krytyka okazuje się aż tak dobrą reklamą – zobowiązuję się wpłacić na ten cel symboliczną złotówkę.

[2] Należy tylko boleć nad tym, że wśród autorów SF rzadka jest postawa dystansowania się wobec środowiska. Świadczy to *en masse* o koniunkturalizmie i grzeczno-uładzonym stosunku do najbardziej liczących się postaci fandomu. Wynika to zapewne z troski o własną popularność i możliwości rozreklamowania swej twórczości, jaką dają konwenty. Są pisarze, którzy będą chorzy, gdy się ich nie zaprosi na konwent! Ekstremalnie rzadkie są przypadki twórców obojętnych wobec środowiska i mających odwagę oznajmiać to publicznie. Cóż, bycie prawdziwym buntownikiem, prawdziwym „twórcą wyklętym" nie jest, jak widać ideałem autorów uprawiających fantastykę. Poklask wydaje się dla nich ważniejszy od samego aktu twórczego. W praktyce dominuje podlizywanie się środowisku i strach przed wchodzeniem z nim w konflikt, nawet gdy środowisko ewidentnie nie ma racji. Brak cywilnej odwagi, czy chęć zdobycia poklasku za każdą cenę? Chyba jedno i drugie – tchórzostwo i próżność to często naczynia połączone.

[3] Lech Jęczmyk ujmuje to po swojemu: „prawda jest jedna, kłamstw może być nieskończenie wiele." Co nie znaczy, że nie istnieją różne drogi dochodzenia do prawdy...

Maciej Guzek

SFantasy

W fantastyce zaroiło się od podziałów. Ludzka skłonność do szufladkowania zaowocowała dziesiątkami nazw gatunków, podgatunków i odmian literatury fantastycznej. Zapewne niedługo dojdzie do tego, że każdej, choć trochę wychodzącej przed szereg książce będzie nadawało się nową etykietę. Najbardziej wyrazisty i z pozoru niepodważalny jest podział na science fiction i fantasy, przy czym wielu tak autorów jak i czytelników fantastyki naukowej nie kryje pogardy dla literatury magii i miecza. Cóż, ocena oceną, nie mam zamiaru ani jej przyklasnąć, ani też z nią polemizować. Postaram się za to pokazać, że tak jak krainy fantasy, za lat kilkanaście wyglądać może świat. Przynajmniej ten świat, który roztaczać się będzie przed naszymi oczyma! Krótko mówiąc niedaleko pada fantasy od science fiction. Odważny wniosek, nieprawdaż? Ale usprawiedliwiony.

Refleksje takie już od pewnego czasu nie dawały mi spokoju. Czarę przepełniło obejrzenie filmu MATRIX i przeczytanie jednego z najlepszych kawałków Dukaja – „IRREHAARE". Cóż my tam mamy? Ano wszechogarniającą sieć komputerową a zarazem omnipotentny program, generujący sztuczną rzeczywistość, aplikowaną wprost do ludzkich umysłów. Sprawą drugorzędną dla moich rozważań jest to, jak owo połączenie będzie rozwiązane technicznie – czy w formie wślepek, przylg czy ordynarnych wtyczek w tyle głowy vide MATRIX. W tym miejscu interesuje mnie bardziej, co też ludziom będzie się w te głowy wpychać. Bo że się będzie wpychać masowo, to rzecz pewna – postaram się to udowodnić kilka akapitów dalej.

W obu wcześniej wymienionych przeze mnie utworach, tak jak i w innych – np. w Ziemkiewiczowym „Walcu Stulecia" czy w powieściach Gibsona, rozwój maszyn liczących doszedł do punktu, w którym znaczenie tracą wszelkie bariery sprzętowe. Komputerowo wygenerować można wszystko, każdy obraz, każdą „rzeczywistość". Co

to znaczy wiedzą zapaleni gracze komputerowi, którzy próbują odpalić grę-nowość na swym nie pierwszej młodości PC-ecie. Ograniczenia się skończyły – dowodnie stwierdza to Dukaj nazywając Irrehaare „królestwem pragnień". Rzecz w tym, jakie to będą pragnienia.

MATRIX - ów fantomatyczny świat jest podobny do tego, który mamy za oknem – bo rzeczywistość wygląda daleko gorzej niż on. Lecz czy ktoś ze współczesnych zanurzyłby się w komputerowo generowanych snach tylko po to, by mieć przed oczyma szarą, brudną codzienność? Doprawdy, nie sądzę. Wydaję mi się, że i Rafał Ziemkiewicz, w „Walcu Stulecia" przecenia zainteresowanie tematyką historyczną – choć dla niektórych zapewne okazałaby się ona atrakcyjna. Tu najbardziej przewidujący był Dukaj, ze swoją wielością światów w IRREHAARE. Wszyscy w tym systemie znaleźć mogą coś dla siebie – komputer stworzy każdy obraz, każdy „świat". Warto by się zastanowić, czego, mając takie możliwości, chciałyby masy? Według mnie, chciałyby fantasy.

Dlaczego, ktoś spyta? A czy w dobie spadającego na łeb, na szyję czytelnictwa nie dziwi nikogo nieustająca popularność Sapkowskiego, Tolkiena, Jordana czy innych piszących o królewnach i rycerzach? Mówi się, że, byle jaka książka fantasy sprzedaje się trzy – cztery razy lepiej niż inna fantastyka. Spytajcie znajomych – kto z nich nie czytał Tolkiena? Dlaczego triumfy święcą seriale dość niskich lotów jak Xsena, i Herkules, a Robin Hood (ten z Preadem) jest nazywany przez niektórych "kultowym"? Skąd popularność "Nieśmiertelnego", "Willowa" czy "Gwiezdnych Wojen" Lucasa? (tak, tak to fantasy – pokażcie mi tam science!). A choćby stąd, że utwory te oferują szansę ucieczki od tego, co mamy za oknem. To eskapizm pcha ludzi w krainy Śródziemia, to chęć oderwania się od codzienności powoduje, że sięgamy po kolejny tom przygód Geda Krogulca. Tabuny młodych chłopaków wpatrują się w seksownie ubraną, gibką Xsenę, marząc naiwnie, że kiedyś i im trafi się kobieta o podobnych walorach fizycznych. (dziewczyny, per analogiam, wzdychają do smagłego, długowłosego Herkulesa, czy też A. Banderasa w "Trzynastym Wojowniku").

Fantasy to konwencja eklektyczna, która absorbuje elementy najbardziej chwytliwe z innych gatunków, od dramatu wojennego do telenoweli, łącząc to, przerabiając i dodając swój własny, egzotyczny sos. Przy tym fantasy ma coś, czym nie mogą pochwalić się nawet najlepiej napisane powieści historyczne również traktujące o królewnach, rycerzach, karczmach i zamtuzach, które z pozoru mogłyby iść z bohaterką mojego felietonu w szranki. Fantasy ma magię – ową nieocenioną drogę na skróty, niezależną od przyziemnych ograniczeń fizyki, chemii i matematyki, ten szalony instrument dzięki któremu okaże się, że dwa i dwa da sto czterdzieści osiem i trzy czwarte, a nikt nawet okiem nie mrugnie. W magii czai się ta szczypta duchowości której próżno by szukać w dziełach Lema. Prawda, że owa duchowość jest zwulgaryzowana, spłycona, lecz czyż nie tego oczekuje człowiek współczesny?

Do tego dochodzi szereg egzotycznych, mających swoje własne cechy, ras, dodać też trzeba cudowne, najwymyślniejsze krainy, przebogate pałace i kolaż dla każdego chcącego uciec od realności, gotowy. Jedyny kłopot polega na tym, że z owych krain trzeba kiedyś wrócić, zostawiając tam bohaterów z którymi co niektórzy zdążyli związać się emocjonalnie. Wzywają obowiązki dnia codziennego. Na szczęście (?) już niedługo ów kłopot będziemy mieli z głowy. Nadchodzi bowiem rzeczywistość, którą socjologowie określają mianem cywilizacji czasu wolnego.

Nie jest to niestety mrzonka. Już nie tylko fantaści dostrzegają, że w przyszłości pracy dla wszystkich ludzi zwyczajnie nie starczy. Jedzenia – owszem, ubrań jak najbardziej, lecz praca, ów codzienny trud powszedni, nadający dotąd sens przeciętnemu, ludzkiemu istnieniu, stanie się dobrem deficytowym! Mówią o tym profesorowie ekonomii, socjologii, ba, nawet ci, zajmujący się prawem pracy! Lansowany przez proroków Nowego Średniowiecza model społeczeństwa 20/80 (dwadzieścia procent pracujących) może okazać się zbyt optymistyczny. I, co gorsza, tak naprawdę nikt nie myśli jak ów proces zahamować. Złudzenia prysły. Trzeba by zatrzymać cywilizację, postęp (w tym kontekście słowo to nabiera nowego, ironicznego, znaczenia) a to jeszcze nikomu się nie udało. Pozornie zresztą perspektywa wiecznych wakacji wygląda całkiem obiecująco. Cóż, to kolejny miraż. Czas wolny nie oznaczałby wcale czasu wypełnionego rozrywkami, przyjemnościami. By posmakować jaśniejszej strony życia trzeba środków, pieniędzy, a wątpię by dwadzieścia procent społeczeństwa, które nadal będzie harować, było dla pozostałych hojne. Dawać się będzie tyle, ile trzeba, by zlikwidować widmo głodu (wszak prawa człowieka, ha, ha…) i zapobiec

zamieszkom. Lecz i społeczeństwo pełnych brzuchów może się burzyć. Bo jest jeszcze jedna rzecz, od której człowieka nie wybawi nawet tona baleronu. Nuda. Oto przyszła królowa mas społecznych, oto groźba, której muszą bać się władcy nadchodzącego świata. Nikt nie ma nadziei, że ludzie zanudziliby się na śmierć, a i pić i ćpać bez końca też nie będą - organizm nie taki głupi, koniec końców się zbuntuje i powie „dość". Rozruchy, zamieszki może i rewolucje oto co będzie się działo. Tu trzeba rady, co ci wszyscy bezrobotni, bezczynni, mieliby robić. Państw nie będzie stać na drogie zabawy, przecież 80 procent ludzi nie wyjedzie na Majorkę. Teatry czy opery to rozrywki elitarne (wyobrażam je sobie raczej jako miejsce spotkań pracujących szczęśliwców); kina wszystkich nie pomieszczą, a Mistrzostwa Świata w piłce nożnej organizowane co trzy miesiące, muszą się kiedyś znudzić. Książki zaś będą czytać nieliczni (jeśli w ogóle). Nie podzielam też poglądu Rafała Ziemkiewicza i nie myślę, by „przeżuwacze" dali się ogłupiać i pacyfikować w nieskończoność przy pomocy tak jednowymiarowego i nie wchodzącego z człowiekiem w interakcje medium, jakim jest telewizja (vide „Walc Stulecia"). Nie, tu trzeba czegoś, co mogłoby pochłonąć całą uwagę człowieka, co wymagałoby wysiłku, jakiejś tam dozy inteligencji, myślenia, AKTYWNOŚCI! Każdy człowiek powinien czuć się potrzebnym, powinien wiedzieć, że jego działanie ma jakąś wagę, znaczenie. Potrzeba czegoś, co dałoby rzeszom bezczynnych choćby i namiastkową możliwość samorealizacji. Fantomatyka czy jak kto woli Virtual Reality służy w tym przypadku pomocą, którą trudno przecenić. A z nią w parze idzie bohaterka niniejszego felietonu - konwencja fantasy.

Nasz *future world* wygrywa z rzeczywistością już na starcie. W owym sztucznym "świecie" byłoby miejsce dla wszystkich, każdy znalazłby sobie odpowiednią rolę. Inaczej niż w życiu, można by wybrać, kim być się chce! Czyż to nie wspaniałe? Nie tylko wygląd, wygląd to sprawa drugorzędna, choć w sieci zaroiłoby się jak myślę od odreagowujących swe kompleksy Arnoldów Shwarzenegerów, Enrice Iglesiasów i Jenifer Lopez. Ale nie można przeceniać spraw takich jak aparycja, kiedy VR oferowałaby coś bez porównania bardziej interesującego, sięgającego sedna ludzkiej duszy. Masy niespełnionych mogłyby w VR-rze dowodzić swej wartości. Każdy byłby zdolny do czynów wielkich, wzniosłych, wystarczyłoby odpowiednio skonstruować postać i wybrać stosowny scenariusz. Pozycja społeczna nie miałaby większego znaczenia – dozorca mógłby stać się księciem, sprzątaczka czarodziejką (miotła byłaby użyteczna w obydwu wcieleniach), bezrobotny zwiedzałby swe wirtualne włości jako magnat, ba, król. Świetliste pałace elfów i ciemne jaskinie pełne skarbów na wyciągnięcie ręki, zbójcy, smoki, wesołe karczmy a w każdej rubaszny krasnolud gotów towarzyszyć nam w podróży, hen na drugi kraniec świata. Zestawcie sobie ziemniaki i kapustę z wystawną ucztą na trzydzieści dań, gdzie kawior gra jedynie rolę przystawki – cóż byście Moi Państwo wybrali? Byłby to raj dla Don Juanów nie mogących się zrealizować "na zewnątrz", wszak nie tylko królewny, ale i zwykłe łaziebne wyposażone byłyby w odpowiednią porcję wdzięków, a rozlicznych wirtualnych zamtuzów też pewnikiem by nie zabrakło. Niejeden pochędożyłby sobie cyfrową Naomi. O rzeczywistych skokach w bok nie byłoby wówczas mowy (puszysta sąsiadka z Naomi przegrałaby, rzecz to pewna) a zatem „i mąż syty i małżeństwo całe".

Sukces owego świata polegałby na tym, czemu w dużej mierze zawdzięcza swą popularność fantasy – wszystko ładniejsze, łatwiejsze i bardziej ciekawe, niż w rzeczywistości. I nie tak skomplikowane, nie takie prozaiczne. Toż to genialny środek uwalniania od frustracji! Co tam wyniesienie śmieci, po jaką cholerę szukać pracy, jeśli można wyprawić się po złote runo, Róg Valere czy też na ratunek Ciri? Znalazłaby się, jak myślę, również spora rzesza tych, co zapragnęliby udaremnić misję Froda. Zastępy Saurona, et consortes mogłyby się nawet okazać bardziej liczne niźli siły dobra. Bo któż nie był nigdy zafascynowany Vaderem albo (ostatnio) darthem Maulem? Znam graczy, którzy podczas sesji RPG z lubością wcielają się w orków. A przecież konsekwencję wyboru zła w naszym fantomatycznym królestwie byłyby żadne. I to następny magnes VR – brak odpowiedzialności, brak grzechu. No bo jakże zrobić coś złego, jedynie o tym myśląc, „inscenizując zło". Wprawdzie podczas mszy świętej wypowiada się znamienne słowa „…zgrzeszyłem myślą (na pierwszym miejscu!), mową, uczynkiem…." ale kto by się teraz przejmował tym, co mówią w Kościele? Lepiej chwycić miecz w dłoń i jazda, na poszukiwanie przygód.

Następnym atutem, który daje fantasy przewagę nad każdą inną konwencją i rekwizytornią jest wspomniana już wcześniej różnorod-

ność, ale – różnorodność specyficzna, pozorna. Człowiek uwielbia być zaskakiwany, ale nie za bardzo, „z umiarem". Lubi wiedzieć, albo chociaż intuicyjnie czuć, co i jak robić powinien. I to w istocie oferuje konwencja fantasy, skrywając pod maska wielości wciąż te same pomysły. Owszem, dopuszczalne są rozwinięcia znanych motywów, lecz kiedy tylko ktoś wystawi głowę przed szereg i za bardzo pokombinuje przy konstruowaniu swego never never landu, to mu sprawiedliwy i rychliwy rynek ową zbrodniczą głowę szybkim ruchem zetnie. Czytelnicy nie chcą wydumisk, nie chcą rewolucji! Fantasy ma być fantasy z czarodziejami, smokami, dobrymi krasnoludami, złymi orkami, elfami, przerastającymi ludzi pod każdym względem prócz rozrodczości itd…. I nie ważne, że trolla nazwiemy trollokiem czy szczurołakiem, elfa ogirem, czytelnik zawsze odnajdzie schemat, który mu się podoba, do którego przywykł, i którego za nic w świecie nie ma zamiaru porzucać. Nieprawda? Właśnie prawda, niestety. Dowodów na to jest bez liku. Kto z miłośników sword & sorcery zna powieść A. Borkowskiej „Gar'Ingawi Wyspa Szczęśliwa"? Bez dwóch zdań jest to fantasy, jednakże fantasy niezwykle oryginalna, przełamująca konwencję, nie mieszcząca się w jej sztywnych ramach. Skutkiem czego przeczytał ją mało kto. Podobne przykłady można by mnożyć – swego czasu ukazała się doskonała powieść Petera S. Beagla „Pieśń Oberżysty". Rok później ze zgrozą, ujrzałem ją wystawioną w sklepie z tanią książką, gdzie próżno by szukać dziełek z serii „Dragonlance" czy "Forgotten Realms". Podobny los (tania książka znaczy) spotkał powieść „Most nad Otchłanią" K. T. Lewandowskiego, jedną z ciekawszych propozycji polskiej fantasy, ale zarazem – i tu jest pies pogrzebany - niekonwencjonalną. Przykłady można by mnożyć. No bo przecież tak nie wolno! Krasnolud musi biegać z kilofem, wojownicy powinni jeden w drugiego być niepokonani, elfy wybornie strzelać z łuku. Konieczny jest też charakter czarny niczym sadza, a zły i zachłanny jako stado wygłodniałych szczurów, przy którym pewien szalony, krzykliwy malarz z idiotycznym wąsikiem wydałby się li tylko prowincjonalnym wichrzycielem (a nie jednym z największych zbrodniarzy wieku dwudziestego). Jeśli autor chce, by czytelnik jego wypociny zaakceptował, musi trzymać się konwencji jak dziad pańskiego kontusza, i basta! A przecież

Rys. Jakub Zieliński

czytelnicy to grupa stosunkowo nieliczna i nie bójmy się użyć tego słowa, elitarna. Co z masowym, niewyrobionym odbiorcą? Na niego już ostrzy sobie zęby wojownicza księżniczka (Xsena) i jej świat, przy którym ten z powieści Andre Norton zdaje się być niezwykle misterną, skomplikowaną i inteligentną konstrukcją. Skoro już jestem przy tego typu filmidłach, to np. w „Herkulesie" miast rzeszy czarodziejów mamy Zeusa & S-kę, ale znów, zmiana to tylko formalna, bo w istocie owa czereda bardziej przypomina magów niż bogów.

Nasza widmowa dziedzina miałaby zapewne swych rzeczywistych władców, odpowiadających wyżej wspomnianym czarodziejom. Mało prawdopodobne jest bowiem, by skusić dali się tylko ci ze społecznych dołów. Ludzie, wbrew temu co niektórzy o sobie myślą, nie tak bardzo różnią się od siebie, zwłaszcza jeśli chodzi o sferę pragnień. Zatem i ci bogatsi, lepiej wykształceni odwiedzaliby krainę wyobraźni. Z drugiej strony nie zechcieliby zapewne, by w świecie fałszywym powodziłoby im się gorzej niż w prawdziwym. Wcielaliby się oni zapewne w rolę rządzących, wybranych etc… - możliwe byłyby jakieś specjalne kody, droższe aktywacje w systemie, zapewniające bogatym lepszą sytuację już na starcie. Ale prawdziwego zamieszania mogliby narobić magowie - Wiedzący, czyli programiści, znający kod rządzący wirtu-

alnym „światem" od podszewki, będący jego (s)twórcami. Co dla innych nawet w VR nie byłoby możliwe, bo nie pozwalałby na to program, matryca, dla speców od komputerów stanowiłoby dziecinną igraszkę, równającą się zmianie jakiegoś fragmentu kodu, który nasze „dream realm" konstytuuje. Ograniczenia programu można wszak ominąć, zabezpieczenia – złamać, do systemu można dodać swoje elementy. Trzeba tylko wiedzieć, jak. Wydaje się że coś podobnego przeczuwa Sapkowski - wszak czarodziejki śledziły algorytmy magii Vilgefortza! Tak na marginesie – programiści byliby pewnie jedyną grupą, która niczego nie traci, bo cały czas wykonuje swoją robotę, doskonaląc przy okazji umiejętności i nieźle się bawiąc. Ale bez obaw – ich liczba nie mogłaby być zbyt duża. Zwykły gracz spotykałby ich stosunkowo rzadko, większość walk staczając z fantomami, z którymi bez problemu dawałby sobie radę. I o to chodzi – niezbędny jest dreszczyk emocji ale tak naprawdę i tak wiadomo, że wszystko skończy się pomyślnie. Owo założenie a priori, że wszelkie problemy tak czy siak zostaną przez bohatera (z nim zazwyczaj identyfikuje się odbiorca), przezwyciężone jest jednym z podstawowych atutów fantasy. Obojętnie w jakich opałach znajdzie się nasza wojownicza księżniczka, zawsze możemy mieć nadzieję, ba mamy prawo oczekiwać happy endu!

Ale niektórzy mogą nie chcieć, żeby zabawa się skończyła nawet i „happy endem". Niektórzy zapragną zostać. Prawda, są ograniczenia wiążące się z naszą fizjologią, lecz myślę, że to akurat da się przezwyciężyć. Automatyzacja postępuje, niedługo w sukurs jej przyjdzie być może nanotechnologia. Dożylnie dostarczany będzie pokarm, wstrzykiwane do organizmu tocza, które usuną nadmiar cholesterolu, czy innego paskudztwa, a ty człowiecze, hulaj dusza, jak Szare Góry długie i szerokie (choć pono złota tam nie uświadczysz). Z czasem stopień komplikacji scenariusza, gry, fantomatycznego "świata", będzie rosnąć, a ukończenie misji zabierać będzie więcej i więcej czasu. Aż starczy na całe ludzkie biologiczne życie, pędzone od młodości do śmierci „w sieci". Niektórzy nałogowcy (na przykład ci, co zaczęli we wczesnej młodości) mogą z czasem stracić kontakt z rzeczywistością – toż by był odlot, LSD wysiada. (ubocznym efektem uzależnienia się od sieci znacznej części społeczeństwa może być rozwiązanie problemu przyrostu naturalnego).

Niemożliwe? Cóż, mam taką nadzieję. Ale coraz słabszą. Starczy spojrzeć na tysiące graczy komputerowych, nie mogących przez wiele godzin oderwać wzroku od monitora. Sam ślęczałem długie wieczory grając w „Baldur's Gate" czy rozliczne RTS-y. Gry komputerowe to w odróżnieniu od książek to rozrywka bardzo popularna (i wciąż idzie w górę). Podobnie rzecz ma się z telewizją, która, choć stopniowo traci na rzecz multimediów, jeszcze przez lata pozostanie głównym czynnikiem kształtowania ludzkiej świadomości, ludzkich przyzwyczajeń i głównym źródłem rozrywki. A komuż obce jest zjawisko bezmyślnego, wielogodzinnego wpatrywania się w ekran, nawet gdy lecą bzdury? Skoro zaś zwykła telenowela potrafi uzależnić od siebie rzesze, to czy jakaś wirtualna baśń, mająca sporo wspólnego z telewizyjnymi tasiemcami, ale bardziej atrakcyjna, nie uczyni tego na dużo większą skalę? Autorzy fantasy, zapewne nieświadomi wagi swych czynów, współtworzą konwencję, wizje, która przyoblec się może w kształty całkiem realne. Czy nie tak właśnie działała dobra, stara Science Fiction? Wszak pokazywała co będzie! Że czyniła to, w odróżnieniu od literatury magii i miecza, świadomie, to całkiem inna historia. Fantasy, proszę zważyć, nie ma żadnej naukowej podpory, bidulka musi sobie dawać radę sama! Treść baśniowych utworów ma siłę nie tyle proroczą, co sprawczą – będzie tak, bo tak sobie wydumał (tu wstawić nazwisko dowolnego autora), a to zyskało popularność, poklask tłumu. Ale, co podkreślam raz jeszcze, pokazuję zarazem jeden z wariantów przyszłości. Urzeczywistni się ów wariant czy nie, przewiduje mój felieton cokolwiek, czy jest li tylko niepoważną intelektualną igraszką? To już sprawa speców od SF, od political i social fiction, niech oni się głowią, niech męczą szare komórki, niech im dymią czaszki. To zmartwienie nie na moją głowę…

Ja pisuję fantasy.

Maciej Guzek

Maciej Żerdziński

...EKSPLO-
DOWAŁ GŁOS...
WYKONUJESZ
PROGRAM X-67.
IDŹ W DÓŁ
KANIONU...
GŁOS PRZYNIÓSŁ
UPRAGNIONY SPO-
KÓJ. BYŁ SOBĄ.
MIAŁ ZADANIE.
AŻ DO...
...BRZEGU
RZEKI...
NAGLE
ODKRYŁ,
ŻE...
WEJDŹ
DO NIEJ.
...NIE MOŻE
OPRZEC SIĘ
WYDAWANYM
ROZKAZOM.
CHCIAŁ STANĄĆ
...
TERAZ
PROSTO.
PO PROSTU
ZATRZYMAĆ
SIĘ...
NAPRZÓD.
O BOŻE.
NIE PO-
TRAFIĘ...

COŚ NIM STEROWAŁO.
HALO, BAZA ODEZWIJCIE SIĘ, !..
TO, CO WIDZISZ JEST OBCYM.
DO CHOLERY, NIECH KTOŚ SIĘ WRESZCIE ODEZWIE!
NAWIĄŻ KONTAKT.
HALO, BAZA...
NIKT NIE ODPOWIADAŁ.
ZŁAP GO.
CO JA ROBIĘ?..
OBCY JEST WROGIEM. ZABIJ.
TO JAKIŚ KOSZMAR...
ZABIJ.
...
... PIEPRZONY KOSZMAR...
ALE WIEDZIAŁ, ŻE TO RZECZYWISTOŚĆ!...
... BYŁ BEZSILNY.

OBCY? CHRYSTE...
ZADANIE WYKONANE.
TERAZ NAPRZÓD.
A GÓWNO.
NAPRZÓD.
NAPRZÓD.
GÓWNO..
GÓWN...OOO...
TATO!
...ON SIĘ ZEPSUŁ.
NIE PO TO KUPIŁEM CI NAJDROŻSZĄ ZABAWKĘ, ŻEBYŚ JĄ TAPLAŁ PO ROWACH I MORDOWAŁ ROBAKI, OŚLE JEDEN! ... KTO TO NAPRAWI?!!! KTO?!!!
KONIEC

8. Po jednym głosie:

Guy Montag
Glen Runciter
Paul McCoy (Płaszczak)
Terminator
Falkor/Fuchur
Yennefer z Vengerbergu
Obelix
Kajko
Kokosz
Yans
Rhotax
Connor McLeod
Potwór z Bagien
Jessica Rabbit
Felix Jeager
Jander Sunstar
Aldritch
Gimli syn Gloina
Garett
Don Rumata
John Shannow
Miles Teg
Doktor Jekyll
Luke Skywalker
Lucyfer
Corwin książę Amberu
Ghanima
Cartman
Balin
Pilot Jip (Jyp?)
Pan Kleks
ET
Koszałek-Opałek
Kłapouchy
Superman
Nosferatu
Dracula
Freddie Kruger
Kot z Cheshire
Alicja
Bilbo Baggins
Drolle
Adam Nyad
Billy Pilgrim
Gil-Galad
Trurl
Przyjaciel z Frolixa 8
Palmer Eldritch
Nan (Ivan?)
Pikel
C3PO
Paul Atryda (Muad Dib)
Random książę Amberu
Rick Deckard
Randolph Carter
Ash
Obcy
Raistlin Maice (?)
Troll Maloi(?)
Śmierć ze Świata Dysku
Pani
Lokutus Borg
Jon Graham
Bibliotekarz
Bagaż
Meriadok Brandybuck
Rycerze którzy mówią „ni"
Data
Duncan Idaho
Tjall Porywczy (Zapalczywy, Zapaleniec)
Magda (z „Szosy na Zaleszczyki")
przeor Paulo z „Kantyczki dla Leibowitza"
Funky Koval
Rycerz Kwaidan
As (Janek)
Podążający Za Cieniem
Pink Floyd
Li Mu Bai
Apolinary Koniecpolski
Roy Batty
Blade
Rache Bartmoss
Ais
Adax z układu
Adhary
Robot z „Fundacji"(?)
Kapitan Nemo
Koniolub Grubas
Kilgore Trout
Sir Parsifal
Poncjusz Piłat
Iwan Bezdomny
Sir Gawein
Jakub Wędrowycz
Daniel Bondaree
Doktor Richard Ames
oraz „ekipa z Tolkiena"

W naszym kolejnym rankingu każdy głosujący mógł podać do pięciu ulubionych postaci – bohaterów szeroko rozumianej fantastyki. Jak widać z wyników – zrozumiano ją możliwie szeroko, mamy więc zarówno bohaterów literackich, filmowych jak i komiksowych. Gdy czegoś nie mogliśmy odczytać lub nie byliśmy pewni, zaznaczyliśmy to znakiem zapytania. Jako że niniejszy numer „IP" za hasło przewodnie ma Ziemię – planetę ludzi, początkowo ranking miał obejmować tylko ludzi i tylko Ziemian, ale Naczelny uparł się mimo protestów na szersze spektrum. W zasadzie jedyną postacią, której nie zaliczałbym do fantastyki jest Hannibal Lecter, ale przetrwał, gdyż dostał więcej niż jeden głos. Pamiętać należy też na przykład, że hasło „Poncjusz Piłat" odnosi się do jednego z bohaterów „Mistrza i Małgorzaty", a nie postaci historycznej czy biblijnej (chociaż trochę też). Problem był z Królem Arturem, ponieważ występuje w wielu dziełach, po namyśle głosy zliczono. Zliczono też głosy na Merlina, choć wszak mogło chodzić o czarodzieja z Camelotu lub o księcia Amberu. Geralt o włos przed Thorgalem – czyli jednak herosi fantasy. Na początku ostro szedł jeszcze Gandalf i wydawało się, że z nich trzech będzie składać się podium, lecz jeszcze rzutem na taśmę doskoczyli dwaj bohaterowie mistrza Lema. Początkowo chcieliśmy podać również utwór, z którego każdy bohater się wywodzi, zabrakło jednak miejsca i czasu na zidentyfikowanie niektórych. Mam nadzieję, że czytelnicy „IP" nie będą mieć problemów z rozpoznaniem większości. Chociaż na przykład kto pamięta skąd wziął się Apolinary Koniecpolski???

W głosowaniu oprócz członków i sympatyków KF Druga Era wzięło udział także kilkoro członków zaprzyjaźnionego Bydgoskiego KF „Kontakt"

w imieniu Redakcji – Marcin Bronhard

KOLEJNY RANKING NA KONIEC TYSIĄCLECIA

Ulubieni bohaterowie członków i sympatyków KF „Druga Era”
(wyniki głosowania)

PODIUM:

1.
Geralt z Rivii (9 głosów)
2.
Thorgal Aegirson (8 głosów)
3.
Pilot Pirx
Ijon Tichy (po 7 głosów)

4. **Gandalf Szary** (Biały też) (6 głosów)
5. Po cztery głosy:
   Han Solo
   Conan z Cymerii
6. Po trzy głosy:
   Konował
   Ellen Ripley
   Jim di Griz (Stalowy Szczur)
   Yarpen Zigrin
7. Po dwa głosy:
   Willow
   Asterix
   Aragorn

Hannibal Lecter
Abbalister
Gotrek Gurnisson
Neo (Thomas Anderson)
Król Artur
Darth Vader
Merlin
R2D2
Rincewind
Dijkstra
Ender
Molly

(ciąg dalszy na poprzedniej stronie)

„Inne Planety” to fanzin **Klubu Fantastyki „Druga Era”**
działającego przy **Akademii Ekonomicznej w Poznaniu**
Redagowali: Marcin Bronhard, Piotr Derkacz, Krzysztof Głuch (red. nacz.)
Daniel Kosse, Iwona Michałowska, Paweł Ostrowski, Wojciech Szyda, Redakcja *Dr. Strangelove*
Współpracowali: Maciej Guzek, Wojciech Hamerski, Konrad T. Lewandowski, Beata Sobiło, Jacek Sobota, Maciej Witkowiak
Rysowali: Krzysztof Biszubski, Rafał Karpiński, Paweł Piechnik, Piotr Woś, Jakub Zieliński, Maciej Żerdziński, Piotr Derkacz, rysownicy *Dr. Strangelove*
oraz gościnnie Grzegorz Rosiński i Marcin Świetlicki
Wszyscy odpowiadają za to, co napisali i narysowali
Nakład: 300 egzemplarzy, oddano do druku w lipcu 2001
Wydrukowano dzięki uprzejmości
Akademii Ekonomicznej w Poznaniu
Numer edytowany ziemi

adres redakcji
os. Armii Krajowej 30/8 61-375 Poznań

KLUB FANTASTYKI DRUGA ERA